

Małgorzata Liścińska

# TROPICIEL



*Michałowi i Małgosi*

# SPIS TREŚCI

WILCZYCA

PRZEBUDZENIE MAGII

PANTOFELKI

SMOCZE GODY

MORSKI KRÓL

OŚLA SKÓRKA

LUSTERECZKO

DZIEWCZYŃKA

MROCZNY OKRUCH

NIE MÓW NIGDY

OLBRZYMY

# I

## Wilczyca

Donośny łomot w drzwi ponownie wstrząsnął komnatą. Tym razem dziewczyna lekko uniosła powieki, ale nie zmieniła rytmu. Unosiła się i opadała nieskończenie powoli, do granic wytrzymałości przedłużając każdą chwilę rozkoszy. Odchyliła głowę tak, że długie rude włosy pieściły nie tylko jej pośladki, ale i uda mężczyzny. Spojrzenie stłumione przyjemnością przesunęło się po twarzy kochanka.

– Nie przestawaj – powiedział spokojnie. Chwyciwszy włosy kobiety, lekkim szarpnięciem przyciągnął jej twarz ku swojej i niespiesznie pocałował rozchylone wargi. – Nie przestawaj – powtórzył łagodnie. Dziewczyna zamknęła oczy, przyspieszając tempo. Na moment jej oddech gwałtownie się spłycił, a mięśnie zdrząły w zapowiedzi nadchodzącego spełnienia. Chwila jednak minęła, a spełnienie nie nadeszło, więc piękne ciało wróciło do powolnego rytmu.

Kolejne uderzenia zatrzęsły wejściem.

– Panie Yasa! Ruszcie dupę! Sprawę mam! – rozległ się wrzask, a po nim kolejne łomotanie. – Panie Yasa!

Mężczyzna westchnął. Wsunął długie mocne palce w czerwone loki kochanki, przesunął opuszkami wzdłuż jej ramion, później pleców, wreszcie mocno uchwycił biodra i błyskawicznie zamienił role.

– Panie Yasa!

Rude włosy rozlały się lawą na białej poduszce. Mag uwolnił czar. Żar błyskawicznie stopił w jedno dwa splątane ciała. Połyskujący złotem i czerwienią płomień uniósł się ku powale, by po chwili rozpaść się na tysiące błyszczących kropel. Każda z nich drżała, nabierając światła. Coraz jaśniej i jaśniej. Szelest oddechów przeszedł w melodię jęków i gwałtownych westchnień. Wreszcie, przy akompaniamencie wysokiego zaśpiewu, oślepiający blask rozjaśnił komnatę.

Dziewczyna oddychała ciężko, a jej szczupłe ciało wciąż dygotało, wstrząsane spazmami zaspokojenia, gdy mężczyzna wstał z łoża. Nie spojrział na kochankę, nie zadał sobie też trudu, by ją okryć. Sam również nie zamierzał się ubierać. Nagi podszedł do drzwi, otworzył je i z niechęcią popatrzył na gościa.

– Cóż jest tak pilne, drogi Yudherthardere? – zapytał chłodno.

Krasnolud nie wyglądał na wystraszonego. Może na trochę zaniepokojonego, ale na wystraszonego na pewno nie. Przechylił głowę i spojrzął do wnętrza komnaty.

– Znowu? – zapytał z mieszaniną podziwu i niesmaku. – Od pięciu dni ino ruchacie i ruchacie. Dziewek braknie w okolicy albo, co gorsza, złapiecie jakiegoś syfa i nawet te wasze nieśmiertelne klejnoty szlag trafi. Mnie się po dwóch dniach znudziło, a wy z wyra nie wychodzicie.

– Gwoli ścisłości, dość często wychodzę – uśmiechnął się mag.

– Aż, kurwa, nie chodzi mnie o to, gdzie to robicie. Wiem, żeście w czarach sprawni, to bym się i nie zdziwił, jakbyście chędożyli u powały. Po tym waszym krzywym uśmiechu widzę, że rację mam. Tylko co za dużo...

– I po to mi przerwaliście, żeby mnie pouczać?

– Tam zaraz pouczać. Nie moja to sprawa, gdzie swój drąg wsadzacie. Znaczy trochę moja, bo mi wasza pomoc zdać się może, a jak dalej będziecie się sami ze sobą ścigać w ruchaniu, to się tej pomocy nie doczekam.

Czarodziej spojrzął na krasnoluda ponuro.

– Może ja nie chcę wam tej pomocy udzielić?

– Chcecie, nie chcecie, gównu mnie to obchodzi. – Sodi Yudherthardere wzruszył ramionami. – Uratowałem wam dupę, jesteście moim dłużnikiem. A jak dotąd długu żeście nie spłacili. Królowka wciąż ma magiczne glejty i nawet, niech ją osioł w legowisko ciągnie, pierdnąć bez jej zgody nie mogę. A że mnie cholera nienawidzi, to ze służby zwolnić nie chce.

– Przyszliście mi powiedzieć to, co już i tak wiem?

– Nie, przyszedłem, bo mnie szacowna królowa w Ciemne Lasy wysyła. Jakiś problem w tamtejszych wioskach mają i pani se umyśliła, że ja go rozwiążę.

– A wam się zachciało zabrać mnie z sobą? Tylko po co?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Może do towarzystwa. Tak mam, że nie lubię sam przez lasy się przedzierać, a i gębę wolę otwierać nie tylko do mojego konia. No i chcę mieć was na oku. Teraz, jak do Zakonnej należycie... Nie chciałbym się Kobiecie Tradycji narażać. W sumie nie wiem, ale możecie się przydać, kto wie? A macie coś lepszego do roboty? – Zerknął bez zażenowania na nagą dziewczynę.

Mag poszedł za jego spojrzeniem. Rudowłosa spała z rozchylonymi ustami, mlecznobiałą skórę wciąż znaczył rumieniec spełnienia, a sutki krągłych piersi sterczały ściągnięte ostatnim spazmem rozkoszy.

Westchnął.

– Ano chyba nie.

Sodi odetchnął z ulgą.



– Wyruszymy z rana. Muszę się przespać, a i wy pewnie chcecie odpocząć, nie?

– Dobranoc, Yudherthardere. – Czarodziej zamknął drzwi, pozostawiając za nimi krasnoluda.

Potem podszedł do łoża.

– Pod powałą? Hmm... – Uśmiechnął się i zakłębieniem obudził dziewczynę.

\*\*\*

Noc nadeszła za wcześnie. Ciemność zjawiała się znikąd, okryła okolicę czarnym płaszczem, mrokiem zamalowała kontury, hebanowym tuszem wcisnęła się między drzewa. Niczym szalony malarz zmasała obraz tworzony przez dzień, barwiąc go na jeden, tylko jeden mroczny, jednolity nieprzenikniony kolor. Noc. I cisza. Jakby cała wieś nagle wymarła. Domy pogrążone w ciemności u wrót lasu, okryte płaszczem nocy, zdawały się być opuszczone. W żadnym oknie nie płonęło światło, nawet najmniejszy kaganek nie rozświetlał mroku. I żaden dźwięk jej nie przerywał. Zdawać się mogło, że cała wieś nagle wstrzymała oddech, a może nawet całkiem go straciła. Tak głęboka była to cisza. Nie było rozmów, nie było nawet drżącego bicia serca. Cała wioska umilkła.

Cała wioska...

W jednym z domów na obrzeżach siedliska ktoś lekko uchylił drzwi. Wyjrzała zza nich pucułowata męska twarz, a rozbiegane spojrzenie próbowało dojrzeć coś przez zasłonę nocy. Bezskutecznie. Mimo to jednak, mimo ciszy i ciemności, niewysoki mężczyzna wyszedł z domu. Namiętność mu śpiewała. Pożądanie tańczyło w żyłach. Nie słyszał ciszy, tylko muzykę pragnień. Wyszedł więc na zewnątrz, zamknął oczy i, prowadzony słodką melodią, ruszył do lasu.

\*\*\*

Nikt z kłócącej się czwórki nie zauważył wejścia gości. Mężczyźni wrzeszczeli jeden przez drugiego. Dopiero odgłos policzka błyskawicznie uciszył kłótnię. Głowa najwyższego z młodzieńców odskoczyła, a pozostali dwaj zamilkli w jednej chwili, ze zdumieniem patrząc na potężnego mężczyznę, który zadał cios. Ten zaś, siwiejący na skroniach, z brzuchem wylewającym się ponad ozdobnym pasem ze skóry fryńskiego bazyliuszka, gwałtownie poczerwieniał. Nalane, obwisłe policzki napęczniały, usta zacisnęły się, a pociemniałe gniewem, przekrwione oczy niemal wyskoczyły z oczodołów.

– Nie będzie, kurwa, żadnej dyskusji, gówniarzu! – wrzasnął tłuścioch. – Zrobicie, co wam każe!

Żaden z chłopców nawet nie mruknął. Wystraszeni, najwyraźniej nienawykli do takich wybuchów, wgapiali się w oblicze krzyczącego.

– Jak wam, kurwa, mówiłem, nie tykać, mieliście, kurwa, nie tykać! – pieklił się grubas. – Trociny macie w tych pustych łbach?!

Yasa chrząknął lekko, chcąc przerwać tyradę, ale mężczyzna wpadł już w furję i nic nie mogło go powstrzymać. Krzyczał coraz głośniejsze, a jego słowa zlewały się w nieznośny bełkot. Mag uniósł lekko brwi, ale nim zdołał rzucić zamierzony czar, towarzyszący mu krasnolud otworzył drzwi i trzasnął nimi tak, że zadrżały w posadach.

– Dzień dobry, kurwa mać! – ryknął, przekrzykując wrzaski grubasa.

Mężczyzna zamilkł w pół słowa, z rozwartymi ustami gapiąc się na gości.

– Wójtka szukamy. Wyście to? – zapytał niegrzecznie Sodi.

Tłuścioch rozsunał młodzieńców i, minawszy ich, spojrzał na niską sylwetkę krasnoluda, a potem, specjalnie go ignorując, przeniósł wzrok na drugiego z przybyłych. Oszacował szybko odzienie młodzieńca – jedwabną koszulę haftowaną złotą nicią i kurtkę ze smoczej skóry, i uznał, że każda z nich kosztowała wielokrotnie więcej niż pas, na który wydał dwumiesięczny dochód z dzierżaw. Oczywiście zauważył też cenne odzienie krasnoluda, ale nie lubił kurdupli z wielką gębą, więc grzecznie uśmiechnął się tylko do drugiego z gości.

– Jestem Gorde, wójt Jofty. – Ukłonił się lekko. Niby grzecznie, ale z wyraźną wyższością. – A wy kim jesteście?

Zignorowany Sodi poczerwieniał. Czego jak czego, ale bycia ignorowanym Yudherthardere wyjątkowo nie lubił. Zaraz zaczynał się zaperzać, oddechu zaczynało mu brakować, a wściekłość ino czekała, żeby zatańczyć stukanym toporkiem na czyimś łbie.

– Jestem Yudherthardere, barani łbie – odpowiedział podniesionym już głosem. – Tropiciel na usługach Krasnoludzkiej Rady i twojej królowej.

Gorde bardzo by chciał dalej udawać, że krasnoluda nie widzi, ale usłyszawszy jego imię, poczuł naraz taką mieszankę emocji, że prawie złał się w gacie. Wyższość zniknęła w jednej chwili, a jej miejsce zastąpiła nieprzebrana jowialność, czysta słodycz i miłość bezwzględna, zaprawiona jednakowoż sporą dawką niepokoju, że nie rozpoznał posłańca swej pani. Miast jednak roztrząsać ewentualne następstwa owej pomyłki, skupił się na plusach i, odwróciwszy się do Tropiciela, rozłożył ramiona i serdecznie objął zdumionego małego lorda.

– Panie Yudherthardere! – zakrzyknął, a w jego głosie pobrzmiwało już tylko uwielbienie. – Nareszcie! Największy królewski Tropiciel! Tacyśmy wdzięczni! Tacy wdzięczni! Zaszczyt to wielki! Ogromny zaszczyt!

Yudherthardere rozwarł usta. Tak bardzo był zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu gospodarza, że brakło mu słów. Nieporadnie uwolnił się z wójtowych objęć i zerknął pytająco na z trudem panującego nad śmiechem towarzysza.

– Eeeee – zaczął mało elokwentnie – też się cieszę... znaczy się... Przestańcie się już we mnie tak wgapiać jak w urodziwą młódkę, bo se jeszcze coś dziwnego chłopaki pomyslą.

Wójt spojrział na młodzieńców, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o ich istnieniu.

– A tak. Synowie moi. Rozumu toto za grosz, ale młode jeszcze, może z czasem... Znaczy дума moja...

– Taaa... no, żeśmy słyszeli, jaka to chluba wasza – przerwał mu Sodi. – Obaj z ...

– Przyjacielem – przerwał mu Yasa, patrząc przenikliwie w krasnoludzkie oczy.

– Właśnie – kontynuował Yudherthardere, zrozumiawszy aluzję – obaj zauważyliśmy, jak dumniście są z owocu waszych lędźwi, ale nie przybyliśmy oceniać waszych efektów wychowawczych. Królowej doniesiono, że jakiś problem tu macie. Prawda li to?

Grubas rzucił szybkie spojrzenie synom. Młodzieńcy błyskawicznie pospuszczali głowy, a potem wyszli jeden po drugim. Ich ojciec tymczasem opadł ciężko na szeroką ławę, wskazując gościom miejsce obok siebie. Poczekał, aż usiądą, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Coś nam chłopaków morduje.

– To znaczy? – Krasnolud zmarszczył brwi.

– Coś w lesie. Już czterech.

– Słuchajcie, Gorde, ja tam wiele mam przeróżnych zalet, ale w myślach czytać nie umiem. Może tak po kolei opowiecie?

Wójt westchnął ciężko.

– No to tak było: jakiś czas temu młody Zyrke polazł w nocy do lasu. Nasze chłopaki raczej tego nie robią. Różne rzeczy w tych lasach już się działy, więc nikt w nocy doń nie wchodzi, a już w pojedynkę... Nikt, nigdy. A Zyrke poszedł. I dwa dni później znaleźli go, jak poszli drzewa narznąć. Znaczy to, co z niego zostało, a nie było tego dużo. Najpierw żeśmy myśleli, że to jakiś dziki zwierz, chociaż to, jak poraniony był... no, dziwne było. Przykazaliśmy wszystkim, żeby po zmroku z domów nie wychodzili, a i w dzień tylko z bronią i w kilku, i jeśli już do lasu mus, to żeby nie za głęboko... Kilka dni spokój był, a potem Kop się gdzieś zapodział. Znaleźli go, jak poprzedniego. Potem był Jato, a wczoraj Prym. Każdy w nocy z domu wyszedł, chociaż wiedzieli, że nie wolno. Coś ich tam ściągnęło. Coś...

Sodi spojrział na Yasę. Mag przymknął powieki i wydawał się nie słuchać. Poirytowany krasnolud zacisnął wielkie jak bochny chleba łapy.



– Wiecie, nie chcę bynajmniej waszemu wyczuciu magii przeczyć, ale chłopaki mogli na schadzki chodzić i rzeczywiście jakiś niedźwiedź czy wilk mógł...

– Nie może to być. Żadna szanująca się panna nie poszłaby w las po nocy.

– Się upierać przy szanującej nie zamierzam – mrugnął figlarnie Yudherhardere.

– Nie, panie, to dziwna jakaś moc... może strzyga czy wilkołak.. W taką noc coś się dzieje z wioską, czarny duch nas nawiedza, cisza jakaś taka, mrok taki. Strasznie jest... Zobaczycie. No i jeszcze te rany! Ostatni dwaj to już tylko dwie rany mieli... tylko te...

– Mówiliście, że wczoraj ostatni zginął? – zapytał leniwym głosem milczący dotąd Yasa.

– Tak, panie. Rano żeśmy go znaleźli.

– Gdzie jest ciało?

– W domu. Znaczący w jego domu. Ojciec mu pomarł zeszłej zimy. Sam mieszkał. Zanieśliśmy ciało do domu, kobiety go obmywają i do pogrzebu sposobią.

– Zaprowadźcie nas.

Wójt wstał. Sodi tymczasem skrzywił się i spojrzał na maga.

– Chodźcie – rzucił Yasa, a krasnolud posłuchał bez wahania.

W domu, na obrzeżach osady, głośno zawodziły wioskowe płaczki, przygotowując ducha do przejścia w lepsze światy. Tłoczyły się w maleńkiej chatce i tuż przed nią, rozdierając szaty i płacząc donośnie. Gorde rozsunął je mało delikatnie, robiąc miejsce dla gości.

W jedynej izbie, na stole, leżało ciało. Niewysoki i najwyraźniej otyły nieboszczyk okryty był prześcieradłami aż po brodę. Ponad okryciem tłusta i niezbyt urodziwa twarz zastygła w grymasie przerażenia.

Yudherhardere, który dotąd szedł, mamrocząc pod nosem, zatrzymał się gwałtownie. Sparaliżowały go wrzeszczące zmysły Tropicieła. Szarpały, piekły, rwały, płonąc węzowymi ścieżkami w głębi umysłu, wypalały bolesne linie pod czaszką krasnoluda. Tak dotkliwie, jak gdyby ktoś rozcinał mu skórę aż do kości. Zmrużył oczy, z trudem łapiąc oddech. Atak był tym boleśniejszy, że niespodziewany. Minęła dłuższa chwila, nim Sodi zdołał nad nim zapanować, mamrocząc ochronne zaklęcia. Potem z niejakim wyrzutem spojrzał na Yasę. Coś mu mówiło, że mag wiedział. Wiedział już w chwili kiedy zażyczył sobie odwiedzin u nieboszczyka. Mógł go uprzedzić. Mógł... ale Pierwotny rzucił się swoimi prawami. Teraz też nawet nie spojrzał na krasnoluda i podszedł prosto do mar. Sodi był pewien, że mag tak samo jak on wyczuł potężną moc w tym domu.

Czarodziej długo przyglądał się twarzy trupa, jakby czekał, aż ta coś mu powie. Wreszcie spojrzał na towarzysza.

– Chodźcie tu.

Sodi się zawahał. Skoro w progu uderzyła go taka fala, bliskość ciała będzie jeszcze boleśniejsza. Pierwotnemu Magowi jednak się nie odmawia. Spełnił polecenie. Nie było intensywniejszych doznań, a jedynie chłód. Yasa chronił ich przed magią.

– Pewnie chcecie zobaczyć, jak go załatwiło, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, wójt ściągnął prześcieradło.

Jakaś kobieta, zapewne jedna z tych, które nie przygotowywały zwłok, zaczęła krzyczeć. Sodi zaś poczuł, jak przewracają mu się trzewia.

– Kurwa, dobrze, że nie jedliśmy nic od śniadania – wymamrotał cicho.

Nie zrobiła na nim takiego wrażenia rana w miejscu, gdzie młodzieniec miał kiedyś gardło. Ziała tam potężna dziura, wyszarpana aż po wystający z zastygłej już krwawej masy kręgosłup. Nie, to nie targnęło jego pustym na szczęście żołądkiem. Zrobiła to wielka zakrzepła wyrwa w miejscu, gdzie trup powinien mieć przyrodzenie.

\*\*\*

W gospodzie zamiast gwaru rozmów panowała dziwnie napięta cisza. Mężczyźni z ponurymi wyrazami twarzy wpatrywali się w kufle piwa. Gdzieś słychać było ciche szepty, ale i te umilkły, gdy do środka wszedł wójt i jego goście. Milczący klienci unieśli głowy, a kilkanaście par oczu wpatrzyło się z nadzieją w słynnego królewskiego Tropiciela. Od wielu dni Gorde obiecywał im jego przyjazd, wychwalał pod niebiosa umiejętności i wciąż powtarzał, że to rozwiąże ich problemy. A przynajmniej ten jeden problem.

Wójt poprowadził przyjezdnych do największego stołu, tuż przy palenisku. Siedzieli tam co prawda dwaj miejscowi, ale wystarczyło jedno spojrzenie Gordego, by błyskawicznie się przenieśli.

– Bywaj tu! – wrzasnął grubas.

Z zaplecza wybiegła szczupła dziewczyna. Drobna i ładna, nie wyglądała na więcej niż piętnaście lat. Dygnęła przed wójtem, potem przed krasnoludem, a na końcu przed Yasą. Na żadnego z nich nie podniosła wzroku.

– Przynieś no gulaszu i wina. Goście są głodni. A migiem!

– Tak, panie. – Ledwie usłyszeli cichą odpowiedź, a dziewczęcia już nie było.

– Skaranie z tymi dziewczuchami. Głupie toto jeszcze bardziej niż moje chłopaki. Tylko do jednego się nadaje. – Oblesny uśmiech wypłynął na pucułowatą gębę. – Ta co prawda jeszcze trochę płaska, ale za rok, może dwa... No, chyba że któryś z wielmożnych panów takie lubi... Gościom niczego nie żałujemy.

Sodi spojrział za dziewczątkiem, a potem zmierzył wójta lodowatym wzrokiem.

– Nie zwykłem z dziećmi się pokładać.

– Wasza wola. A wy, panie?

Oblicze Yasy pozbawione było jakichkolwiek emocji.

– Dam wam znać – odrzekł chłodno.

Sodi zmarszczył brwi, ale nie skomentował. Zamiast tego ponownie zwrócił się do Gordego.

– Powiedźcie, wszyscy tak byli okaleczeni?

– Wszyscy. Pierwszych dwóch bardziej, ale każdy bez jaj.

– Coś ich łączyło?

– To znaczy? – Wójt podrapał się po rzednącej czuprynie.

– W jakim byli wieku?

– No, nie wiem tak dokładnie. Młodzi byli. Z moimi gówniarzami dorastali. Razem się bawili, razem na ryby chodzili, razem panny do szopy ciągal. To mała wieś jest, panie...

Sodi spojrział na towarzysza. Ten, oparty o ścianę, przymknął oczy i wydawał się spać.

– A dni? Kiedy to się stało? – kontynuował więc krasnolud.

– Czekać... nie pamiętam... Pomyśleć muszę...

W tej samej chwili wróciła służka, niosąc wino i kubki. Rozstawiła je szybko, nie patrząc na siedzących, ale jej przybycie wyrwało maga ze snu. Podniósł ciężkie powieki i przyglądał się gestom dziewczyny. Kiedy zaś jej ręka lekko zadrżała, tak że dzban niebezpiecznie się przechylił, mag błyskawicznie złapał naczynie, muskając przy tym skórę służki.

– Dziękuję, panie – wyszeptała i po raz pierwszy podniosła wzrok.

Niebieskie tęczęwki błyszcząły czysto i niewinnie. Yasa uśmiechnął się łagodnie i bez słowa skinął głową. Zaraz też ponownie zamknął oczy, jakby otaczająca rzeczywistość przestała go interesować. Dziewczę zaś pobiegło do kuchni.

– Kiedy? – Wójt myślał intensywnie. – Zyrke to chyba piątego dnia drugiego miesiąca...

– Zyrke w święto przesilenia, Kop w wigilię święta Ury, Jato w święto Ury – powiedział Yasa, nie otwierając oczu. – Wczoraj mieliśmy wigilię święta wiosny, a dzisiaj święto wiosny. To stare święta. Pierwotne. Magiczne.

– Skąd wiecie, panie? – zapytał zdumiony Gorde.

Yasa nie odpowiedział, ale wreszcie otworzył oczy i spojrział na krasnoluda. Sodi nie dopytywał, skąd mag wie. Nie interesowało go to.

– Dzisiaj będzie kolejny? – zapytał cicho.

– Dzisiaj będzie kolejny. – Przytaknął Yasa – Następni dwaj dopiero na wigilię święta zimy i w samo święto. Siódemka Zea.

– Kurwa mać – wyszeptał Sodi.

– No właśnie. – Znowu przytaknął mag.

– Nie rozumiem, panie. – Wójt przyglądał się to jednemu, to drugiemu, rzeczywiście nic nie rozumiejąc.

Yasa nie patrzył na niego. Leniwie wstał od stołu i ruszył w stronę kuchni.

– Panie? Gdzie on idzie? O czym rozmawialiście?

Krasnolud zmarszczył brwi, patrząc za czarodziejem.

– Siódemka Zea to stare zaklęcie przywracające życie – odpowiedział cicho. – Przeklęte przed wiekami. Najgorsze ze złych. Siedem ofiar w siedem świąt. Myślałem, że ten czar umarł setki lat temu. Uczono mnie o nim na zajęciach z prehistorii...

– Ale co to znaczy?

Czarne oczy Yudherhardere wolno spoczęły na poblądłej twarzy pytającego.

– To znaczy, że lepiej byłoby, gdybyście potrafili utrzymać waszych chłopców w domach tej nocy.

\*\*\*

Gulasz pachniał cudownie. Dziewczyna poczuła, jak jej pusty żołądek zaciska się gwałtownie. Mogłaby spróbować odrobinę, ostatecznie karczmarz wyszedł na chwilę... Nie, nie mogła. Stary łajdak miał swoje sposoby i zawsze wiedział, kiedy chciała coś uszczknąć. I nawet za odrobinę tłukł ją do nieprzytomności. Głód przynajmniej nie bolał.

Bogowie, jak to pachniało. Sięgnęła warząchwią do wielkiego gara i zamieszała. Usłyszała, gdy drzwi skrzypnęły. Odwróciła się gwałtownie.

– Ja wcale nie... ! – urwała nagle.

Spodziewała się zobaczyć karczmarza. Zamiast niego zobaczyła dwóch młodszych synów wójta.

– Co tu robicie? Zaraz wróci...

– Nikt nie wróci, głupia – przerwał jej pryszczaty rudzielec, pocierając nerwowo dłonie. – Zapłaciliśmy karczmarzowi za ciebie. Szybko nie wróci.

Dziewczyna cofnęła się gwałtownie.

– Jak to zapłaciliście? – wyszeptała.

– Normalnie. Talarami. – Rudzielec bez pryszczycy postąpił krok. – Wybraliśmy cię. Powinnaś być dumna.

– Dumna?! – powtórzyła nieco histerycznie, zaciskając dłonie na chochli. Jednocześnie zastanawiała się, czy zdąży dosięgnąć jednego z kuchennych noży.

– Dumna. Zrobisz z nas mężczyzn.

Może jej się uda. To nie tak daleko. Nie może im pozwolić. Nie może.

Chłopcy ruszyli ku niej szybko. Rzuciła się do ucieczki. Jeszcze krok, jeszcze...

Starszy złapał ją od tyłu za ramiona i odciągnął od stołu. Nóż się oddalił.

– Zostawcie mnie – szeptała błagalnie. – Nie chcę.

– Nie rycz, głupia. Nikt lepszy ci się nie trafi. – Wciąż trzymając dziewczynę przed sobą, zacisnął palce na jej piersi. Jęknął głucho, a ona poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. Szarpnęła się. Zacisnął ręce mocniej.

– Pospiesz się, Den – ponaglił młodszego brata. – Tym razem musi się udać. No dalej.

Pryszczaty zawahał się. Tylko na moment. Potem szybko zaczął rozwiązywać spodnie. Ręce mu drżały.

– Połóż ją, przecież nie będę tak na stojąco... – wysapał, ciężko dysząc.

Dziewczyna wciąż się szarpała. Wyrwała rękę i udało się jej podrapać trzymającego ją chłopaka. Ten zaklął i uderzył z całej siły. Głowa dziewczynki odskoczyła, a ona sama zwiotczała i osunęła się na podłogę.

Młodszy, postępując cicho, opuścił spodnie, ukląkł i zaczął podnosić suknię leżącej, kiedy starszy rozrywał materiał na drobnych piersiach.

Naraz obaj zamarli. Podniecenie zastąpił ból. Wszechobecny, straszliwy. Sparaliżował ich. Rozerwał mięśnie, połamał kości, rozerznął skórę. A potem wszystko uleczył. I zaczął od nowa. Próbowali krzyczeć, ale krzyk nie dotarł do warg, zamierając jeszcze w gardłach. Wybałuszali więc tylko oczy, patrząc na półprzytomną dziewczynę, gdyż nie mogli odwrócić głów.

– Zaraz cofnę zakłęcie – odezwał się cichym, łagodnym tonem Yasa. – Albo podkręcę je i zdechniecie z opuszczonymi gaciami na środku tej śmierdzącej kuchni. Jeszcze się zastanawiam.

Podszedł do nich i odepchnął, a że nie władali ciałami, padli na ubitą podłogę po obu stronach niedoszłej ofiary. Mag zaś pochylił się nad leżącą i łagodnie wziął ją na ręce. Była przytomna i cichuteńko płakała. Yasa patrzył na nią przez chwilę, a później, nie wypuszczając dziewczęcia z objęć, ruszył do wyjścia.

– Jeśli kiedykolwiek dotkniecie Likal, albo wy, albo ktoś z wami związany, bez względu na to, gdzie wtedy będę, gdzie wy będziecie, zdechniecie, wrzeszcząc – powiedział miękko, nie patrząc na młodych mężczyzn.

Nim wyszedł z karczmy, cofnął czar i pozwolił im krzyczeć.

\*\*\*

Mrok wychodził z lasu. Jak dzikie zwierzę, przyczajony, jeszcze skłonny do ucieczki, lecz już gotów do ataku. Łasił się do drewnianych ścian domostw, ocierał o fundamenty, ale jeszcze nie władał światem. Słał się dywanem na zieleni traw,

uciszał rozmowy, ale musiało minąć trochę czasu, nim przejmie władzę nad kolorami i dźwiękami.

Patrzyła na wioskę, stojąc u wrót lasu. Dzierżyła smycze ciemności, skłonna spuścić ją z nich, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. A chwila nadchodziła. Czuła ją. Niczego więcej nie czuła.

Tylko zew śmierci.

\*\*\*

Goście dawno już opuścili gospodę, lecz Sodi nadal siedział przy stole z kubkiem wina w dłoni i kontemplował dogasające palenisko. Opuszczony przez wójta, gdy ten pobiegł do swoich wrzeszczących w kuchni synalków, krasnolud bynajmniej nie dumął nad losem, a raczej intensywnie rozmyślał, jak wypłatać się z kabały, w którą zaplątała go Krasnoludzka Rada, oddając jego usługi królowej Doliny Serbithów. Liczył na pomoc Yasy, lecz ten najwyraźniej się do niej nie kwapił, zajęty chędożeniem coraz to nowych dziewczek. Zapewne i teraz zabawiał się z jakąś służką na pięterku gospody, gdzie przygotowano dla nich pokoje.

Tęsknota szarpnęła sercem Sodiego. Będzie już z tydzień, jak i on bawił się w ten sposób... może by tak...

Moc wpełzła ledwie zauważona. Czarna mgła wcisnęła się dziurami w oknach i drzwiach, mrocznym dymem wpłynęła przez komin. Otoczyła Tropicielea niczym żywe stworzenie, gotowe kąsać. Zacisnęła kleszcze czarnej magii i uderzyła.

Tym razem był na nią gotów. Odparł pierwszy atak zaklęciem Zamorskiej Gildii Magów. Otoczył umysł ochronnym murem białych mocy, wyłączył zmysły dane wszystkim żywym istotom i, balansując pomiędzy nimi, uruchomił Tropicielea. Dziki poszukiwacz wyrwał się z głośnym warknięciem, rozbłysnął jaskrawym światłem podświadomości i rzucił się, by odnaleźć Źródło.

Ledwie jednak wyskoczył z krasnoludzkiego umysłu, zawył rozpaczliwie. Mrok zacisnął się niczym imadło, dusząc i raniąc. Powstrzymał Tropicielea jednym potężnym uderzeniem. Sodi nie zdołał się osłonić. Jednocześnie, skupiony na mocy, nie zdołał ochronić ciała. Czarna magia otoczyła je gęstą mazią, wcisnęła się porami skóry i wreszcie zabrała oddech. Pozbawiony powietrza krasnolud zadrzał gwałtownie. Zatrzymał Tropicielea, żeby się ratować, lecz osłabiony nie znalazł sił. Szarpnął raz i drugi. Bezskutecznie. Bezdech rozrywał płuca, męka i strach paraliżowały. Umierał.

– Zostaw!

Płomień światła w jednym momencie spalił mrok. Maź cofnęła się, raniona pierwotną mocą.



– Zostaw! Już!!! – powtórzył Yasa. Czarne oczy maga błyszczały. Rozłożył ramiona, a potem z całej siły klasnął. Tylko raz. Mrok zniknął.

Sodi, charcząc, łapał oddech. Łzy płynęły po rumianych policzkach i ginęły w kędzierzawej brodzie.

– Ożeż kurwa, co to było? – wysapał wreszcie.

– Nie zorientowaliście się? – Yasa uśmiechnął się ponuro.

Krasnolud spojrział na niego urażony.

– Najpierw myślałem, że to Czar Powrotnej Fali, ale za potężny był, jakiś taki...

– Splotła go.

– Ona?

– Ona. Splotła z Siedem Zea.

– Ale coś takiego... Coś takiego tylko wprawny czarodziej może uczynić. Toż to szósty krąg... przynajmniej. No i Siedem Zea... myślałem, że to legenda.

– Jak widzicie, nie.

– Wiecie, kto to zrobił?

Mag skinął głową.

– Powiem wam w drodze – odpowiedział, idąc do drzwi.

– W drodze? Znaczy...?

– Tak. Piąty Zea właśnie wyszedł z domu.

\*\*\*

Las gęstniał. Młodzieniec przedzierał się w kompletnej ciemności. Śpiewała mu słodka pieśń, ciemność nie była straszna. Szedł z zamkniętymi oczami, uśmiechnięty i rozradowany. Potykał się, przewracał, lecz wstawał. Nie czuł bólu, kiedy gałęzie cięły mu skórę, ani gdy krew z drobnych ranek mieszała się z kroplami potu. Nie czuł zmęczenia. Wiodło go przeznaczenie. Czekwała nagroda.

Naraz drzewa się rozstąpiły, zapraszając na małą polanę. Pieśń urwała się. Nastąpiła cisza. Mężczyzna, obudzony ze zwodniczego snu na jawie, zamrugał szybko, a potem powoli otworzył oczy. Na polanie było jasno. Nie jak w dzień, raczej jak w gospodzie, gdy płonęły wszystkie kaganki. Rozejrzał się zaniepokojony.

W chwili gdy zrozumiał, gdzie jest i co to może oznaczać, w momencie gdy strach zmienił się w szalone przerażenie, pomiędzy drzew wyszła kobieta. Naga i doskonała. Uśmiechała się do niego. Czule, uwodzicielsko. Bardzo chciał myśleć o ucieczce, bardzo chciał zawrócić i wracać do domu. Ale pieśń znów śpiewała pełnymi wargami nagiej kobiety. Musiał pozostać. Musiał iść... Zrobił krok, a potem drugi. Gdyby choć przez chwilę był w stanie myśleć, zapewne rozpoznałby uwodzicielkę, a przynajmniej zauważył pewne podobieństwo... gdyby był w stanie.

Jednocześnie pieśń ponownie ucichła i spomiędzy krzaków wyskoczył zziębnięty krasnolud. Kobieta spojrzała na intruza. Wściekłość wykrzywiła piękną twarz.

– Uciekaj! – wrzeszczał Sodi.

Chłopak nie słuchał. Mimo że pieśń umilkła, czar trwał, a on, chociaż świadom, nie mógł nawet drgnąć.

– Uciekaj, do jasnej...! – Krasnolud zamilkł, zatrzymując się. Doskonałe nagie ciało gwałtownie napęczniało. Coś w jego wnętrzu, coś strasznego, błyskawicznie rozszarpało je od środka, warcząc. I rozerwało. Krwawe ochłapy zasłały całą polanę. Monstrualna czarna wilczyca otrzepała się, warknęła nisko, gardłowo, niemal radośnie, i zaatakowała chłopaka. Wbiła potężne zęby w jego podbrzusze i szarpnęła. Młodzieniec wrzasnął nieludzko.

Krasnolud drgnął. Wyrwał zza paska oba topory, zamachnął się i rzucił. Ostrza trafiły w grzbiet zwierzęcia. Drapieżnik zawył boleśnie i puścił ofiarę. Rzucił się na ziemię i przetoczył, wyszarpując z pleców krasnoludzką broń. Potrząsnął głową, odwrócił się i ruszył ku napastnikowi. Sodi odskoczył i rzucił się do ucieczki. Bestia, wyjąc nieustannie, ruszyła za nim.

W tym momencie na polanie pojawił się Yasa. Wszedł niespiesznie, leniwym krokiem. Obojętnie minął jęczącą ofiarę wilczycy. Chłopak złapał nogawkę maga, ale ten wyrwał się. Nie spuszczał przy tym wzroku z bestii i uciekającego przed nią krasnoluda. Kiedy potężna łapa dosięgła Sodiego, rzucając go na ziemię, mag zatrzymał się i gwizdnął. Cichy, ledwie słyszalny wizg sprawił, że drapieżnik również stanął. Warknął, szukając źródła dźwięku. Spojrzenia maga i wilczycy spotkały się. Oboje obnażyli zęby w parodii uśmiechu. Stwór skoczył.

Sodi wstał i ruszył za bestią, szarżującą na Pierwotnego. Biegnąc, złapał leżące na ziemi toporki. Zamachnął się i posłał jeden z nich za stworem. Znowu celnie. Trysnęła krew. Wilczyca warknęła, ale nie zwolniła.

– Stój, mała – szepnął Yasa. Drapieżnik mruknął przeciągle. Nie posłuchał. Pierwotny zmrużył oczy i uderzył. Pierwsza fala mocy nie zatrzymała stwora. Raniony zawył wysoko, przenikliwie. Rozwarł szczęki, obnażył kły.

Sodi, widząc, że nie dobiegnie, rzucił drugim toporkiem. Tym razem jednak chybił. Wilczyca odbiła się od ziemi. Yasa próbował odskoczyć, ale zwierzę wpadło na niego bokiem, zbijając z nóg. Przetoczyli się po ziemi. Mag szarpnął, ale bestia przygniotła go, unieruchamiając. Ogromny, ociekający krwią i śliną pysk muskał twarz maga.

Krasnolud dopadł wilczycę i wyszarpnął toporek, który tkwił w jej grzbiecie. Ból odwrócił uwagę stworzenia od czarodzieja. Pierwotny wykorzystał to, by zacisnąć palce na czarnej sierści i wypowiedzieć zaklęcie. Tym razem, wzmocniony dotykiem, pierwotny czar zadziałał. Wilczyca zamarła na chwilę, a potem zadrzała, wyjąc

rozpaczliwie. Mag szeptał dalej. Kolejne uderzenie pozbawiło bestię tchu, sprawiło ból, niemal sparaliżowało. Uniosła się nieporadnie na drżących łapach, a potem cofnęła, piszcząc niczym zraniony psiak. Yasa wstał powoli, nieustannie szepcząc zaklęcia. Wilczyca próbowała jeszcze raz doskoczyć do czarodzieja. Uniosła fafle i wyszczerzyła potężne kły, ale wtedy zaklęcie znów nabrało mocy i sprawiło zwierzęciu ból. Wreszcie stwór poddał się. Podkulił ogon i piszcząc uciekł do lasu.

– Kurwa – sapnął Sodi, patrząc na drzewa, między którymi znikła bestia.

Yasa w milczeniu pokiwał głową.

– Na coście czekali, ha? – Krasnolud spojrział na niego. – Chcieliście za uszkami pannę popieścić czy jak? Zaś musiałem wam dupę ratować. Trza było od razu trzepnąć mocą, żeby kły toto pogubiło, a nie w uściski iść. Lubicie takie kudłate czy jak?

Mag spojrział na towarzysza i wzruszył ramionami.

– A tak trza będzie wiedzmy szukać... – kontynuował rozeźlony Yudherthardere.

– Nikt nie będzie jej szukał.

– Znaczy jak? – Zaskoczony krasnolud zajrzał w oczy czarodzieja. Naraz zrozumiał i niechętnie pokiwał głową. – Ano, macie rację. Niech se żyje. Co nam do tego.

Yasa już nie słuchał. Podeszedł do leżącego. Chłopak jeszcze żył, chociaż był nieprzytomny.

– Kurwa, to pierworodny wójta – wyszeptał Sodi, pochylając się nad ofiarą wilczycy. Bardzo starał się przy tym nie patrzeć na krwawą masę poniżej paska ofiary. – Wykrwawia się.

Czarodziej patrzył bez słowa, nawet nie drgnąwszy.

– Panie Yasa? Nic nie zrobicie?

Mężczyzna spojrział na niego przeciągle. Obaj wiedzieli, o czym myśli.

– Musimy go uratować – powiedział Yudherthardere.

Yasa skinął głową. Pochylił się i dotknął leżącego. W jednym momencie krew przestała wypływać z ran, a te zaczęły się goić.

– Święta Ury – westchnął krasnolud, nadal nie patrząc na okaleczonego chłopaka. – Wiem, że to gnojek, ale, kurwa, co to za życie...

\*\*\*

Kiedy Yasa wrócił do izby, dziewczyna nie spała. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę na łożu, w którym czarodziej ją zostawił. Spojrzała płochliwie na wchodzącego, a w szafirowych tęczęwkach strach walczył z ulgą.

– Zabiłeś ją, panie? – zapytała, gdy zamykał drzwi.

Podeszedł do łóżka i usiadł na brzegu.

– Nie da się zabić tego, co już nie żyje. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową.

– Nie chciałam tego, ale oni zasłużyli.

Łagodnie odsunął włosy z jej wymizerowanej twarzy.

– Opowiesz mi?

– Przecież już wiecie, czytaliście mnie, prawda? Wtedy, gdy przyniosłam wino, kiedy mnie dotknęliście...

– Nie musiałem cię dotykać, Likal, żeby odczytać twoje myśli.

Ponownie pokiwała głową.

– Tak, rzeczywiście.

Przez chwilę milczeli.

– Co ze mną zrobicie? – zapytała wreszcie.

Nie odpowiedział. Wstał i podszedł do okna.

– Jak ci się udało połączyć dwa tak trudne zaklęcia, Likal? – zapytał cicho. – Nie jesteś tak potężną czarownicą. Gdybyś była, nie potrzebowałabyś mnie tam, w kuchni.

Wzdrygnęła się.

– Nie jestem. Gdybym była... – głos dziewczyny stwardniał – ale nie jestem. Nona powiedziała mi, co mam zrobić. Była jedyną osobą, która mnie kochała. Powiedziała mi, co robić, kiedy konała na moich kolanach. Nie widziałeś jej wtedy, panie. Gdybyś widział... zasłużyli sobie. Męczyli ją tak długo... tak długo, panie. I zostawili jak ochłap mięsa, bo myśleli, że już umarła. Zasłużyli na śmierć.

Wrócił do łoża i ponownie usiadł. Długo, w milczeniu przyglądał się rysom młodej kobiety, czytał jej myśli, słuchał wspomnień. Zobaczył obrazy, których widzieć wcale nie chciał.

– Zasłużyli na śmierć, Likal – powiedział wreszcie. – Spróbuj zasnąć. Jutro wracamy do stolicy. Pojedziesz z nami.

Szafiry rozbłysły i zaraz zgasły.

– Oddacie mnie katom?

Uśmiechnął się miękko.

– Dlaczego miałbym oddawać katom moją podopieczną?

– Panie?!

– Śpij, Likal. Wrócę później. Wejście jest zabezpieczone magią. Tylko ja mogę wejść i wyjść. Jesteś tu bezpieczna.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

W domu wójta płonęły wszystkie światła i nawet na zewnątrz słyhać było krzyki i lamenty tak kobiet, jak i samego gospodarza. Krasnolud i mag weszli bez pukania, bo

nikt by go nie usłyszał. Donośne wrzaski Gordego zagłuszały wszystko inne. Przy wejściu natknęli się na obu młodszych synów wójta, a ci, widząc Yasę, czmychnęli przerażeni.

– Zdaje się, że robicie piorunujące wrażenie na tutejszej młodzieży – powiedział z przekąsem Sodi.

Mag nawet się nie uśmiechnął. Czekał.

Wójt wybiegł z izby, trzaskając drzwiami, i właśnie wtedy dojrzał gości.

– Wy!!! – wrzasnął, rzucając się ku nim.

Tęczówki Yasy rozbliły i grubas zamarł w pół kroku z rozwartymi ustami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk.

– Od razu widać, po kim synkowie mają charakterki, prawda, panie Yasa? – uśmiechnął się złośliwie krasnolud. – Jak się grzecznie przymkniecie i dacie nam dojść do słowa, to może i szanowny Pierwotny Mag zechce zakłęcie nieco uchylić. To jak będzie?

Mężczyzna nie wydawał się uspokojony, więc nic nie zmieniło się w kwestii zakłęcia.

– Nie chcecie, trudno się mówi – wyszczerzył się Yudherthardere, podchodząc do gospodarza. – Więc sprawy się mają następująco: wasz synalek i jego czterech koleżków zgwałciło i zamordowało młodą czarownicę. Ta, zamiast się bronić, spreprowała wiązanke zakłęcia, dzięki którym miała wrócić do życia. Wiadomo, że ożywiona czarownica jest znacznie potężniejsza. Połączyła więc Zakłęcie Powracającej Fali, czyli, prosto rzecz mówiąc, czar zemsty, z zakłęciem Siedmiu Zea. Podejrzewam, że prócz waszego pierworodnego i dwaj młodszy brali udział w owej zabawie, stąd się czarownicy siódemka wzięła. Zostało jej tylko wymordować całą gromadkę. Jako że Powracająca Fala nie tylko dała jej magię przyzwania, ale jeszcze połączyła ją z wyjątkowo wredną wilczycą, nie było to specjalnie trudne.

Uśmiechnął się brzydtko i poklepał zastygłego wójta.

– Mielibyście tu niezłą rzeź, gdybyśmy nie przybyli i czarownicy nie przeszkodzili. Jakby się dziewczyna rozkręciła, to nawet dzieciaki by nie ocalały. Nie żebym was specjalnie żałował. Macie tu zwyczaj krzywdzenia i wykorzystywania słabszych od siebie, a gdzie się nie rozejrzeć, gwałciciele z fujarkami na wierzchu łążą. No, chyba że akurat jakaś wilczyca je obezre. – Wyszczerzył się jeszcze mocniej, widząc mord w oczach grubasa. – W każdym razie... co ja chciałem... a tak, rzecz w tym, że czarownica oba zakłęcia związała ze sobą. Skoro zaś my przerwaliśmy Siedem Zea, bośmy waszego gówniarza uratowali, to i drugie już wam nie grozi. Tak się mnie zdaje, ale wiecie, jak bywa... Na waszym miejscu trochę bym porządków we wsi wprowadził, bo kto wie, czy któregoś wieczora wilczyca z lasu nie wylezie, żeby osobiście się tym zająć. – Zawiesił głos, pozwalając Gordemu zastanowić się nad wypowiedzianym

ostrzeżeniem. – Na razie jednak czarownica odeszła, a i zemsta jej już skończona. Tak jak i nasza robota. Rankiem wyjeżdżamy.

Odwrócił się i podszedł do milczącego maga. Porozumieli się bez słów.

– Ach, bym zapomniał – mówił dalej krasnolud, nie patrząc na wójta – Widzę, że z niewiadomych powodów to nas chcecie winić za... powiedzmy... całkowite obrzezanie waszego pierworodnego. Postarajcie się zmienić zdanie. – Odwrócił się i z lodowatym błyskiem w krasnoludzkich oczach skończył: – Albo może nie zmieniajcie. Taaak, stanowczo nie zmieniajcie.

Dopiero, gdy wyszli, Gorde odzyskał władzę nad ciałem. Zamrugał, odetchnął głęboko i wrócił do rannego syna. Było coś w spojrzeniu krasnoluda i w obojętnej twarzy maga... Coś, co sprawiło, że jednak zmienił zdanie.

\*\*\*

Krasnolud rozartał ramiona. Było zimno, cholernie zimno, a wilczyca podarła mu wczoraj kurtkę. Wiatr tańczył w dziurach drogiej materii, wbijał się pod koszulę i szczypał ciało. Było zimno, a przed nimi długa droga.

– Kurwa – wymamrotał, przyspieszając pocieranie, co i tak niczego nie zmieniło.

Za jego plecami skrzypnęły drzwi, a z gospody wyszli Yasa i Likal. Mag niósł tobołek dziewczyny, a ona wpatrywała się w niego z uwielbieniem.

– Długo tak mam czekać? – warknął krasnolud. – Zimno jak cholera.

Likal zerknęła na niego przepaszająco.

– Pakowałam się, przepraszam.

– Dobra, już dobra. Jedźmy. Dupa mi zamarźnie jak nic.

Dosiadł swojego kuca, nie patrząc na pozostałych.

– Poczekajcie, panie! – zatrzymała go dziewczyna. – Mam coś, co się nada. Może i kolor nie taki, ale cieplej wam będzie. – Sięgnęła do tobołka i wyciągnęła z niego długą pelerynę z kapturem. – Ogrzeje was... Po babce mi została.

– Bierzcie, Yudherthardere. Ciepło wam będzie – przytaknął rozbawiony Yasa.

A potem narzucił na ramiona wściekłego krasnoluda śliczną czerwoną pelerynę.



## II

### Przebudzenie magii

Była noc, gdy dotarli na miejsce. Zamek, pogrążony w ciemności, zdawał się spać, tak samo królewskie stajnie. Zatrzymali konie, a krasnolud zsunął się z siodła.

– Nareszcie. – Roztarł pośladki, krzywiąc się niemiłosiernie. – Nie żal, żeśmy tak późno. Dupa tak boli, że dzisiaj człek i tak by nie poużywał.

Mag zmarszczył brwi.

– Czego? – Wzruszył ramionami Sodi. – Przecie widzę, że śpi. Se już mówić nie wolno?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, popatrzył wokoło. Dwaj strażnicy drzemali przy bramie. Oprócz nich i przybyłych na dziedzińcu nie było żywego ducha.

– Też mi, niech mnie toporek w rowek pocałuje, królewska obrona – mruknął Yudherthardere, nie przestając masować siedzenia. – Pójdę poszukać jakiego stajennego. Jak ja nie śpię, to i oni, psia ich mać, niech dupę ruszą.

I, kołyszając się na szeroko rozstawionych nogach, ruszył w kierunku stajni.

Yasa spojrział na dziewczynę. Krasnolud miał rację. Spała. Oddychała regularnie, wtulona w jego pierś, z lekko rozchylonymi wargami. Od czasu do czasu jednak z tych wciąż po dziecięcemu wydętych ust nastolatki wydobywał się przerażający, przypominający rżenie konającego dźwięk. Likal chrapała.

Uśmiechnął się łagodnie i przesunął dłonią po wymizerowanej twarzy dziewczynki. Zapadnięte policzki i ciemne cienie pod oczami podopiecznej sprawiły, że zacisnął zęby. Nie miał czasu na rozmyślanie, bo od stajni biegł już stajenny, poganiany utyskiwaniem krasnoluda. Rozchełstana koszula, stanowiąca jedyny i zdecydowanie zbyt skromny jak na porę roku przyodziewek młodzieńca świadczyła o tym, że został brutalnie wyrwany ze snu.

– Dziewek się gówniarzowi zachciało! – wrzeszczał Sodi, wymachując rękami. – Dziewek! Mleko toto pod nosem jeszcze ma, a zamiast roboty pilnować, siano, kurwa, miętosi. – Uchwycił potępiające spojrzenie Pierwotnego, więc ściszywszy głos, kontynuował: – Końmi się, smarku, zajmij! Stajnie jużeście z tą panną, co to dziw, że piskami połowy miasta nie obudziła, rozgrzali, to i zwierzakom cieplej będzie.

Chłopak podbiegł do maga, skłonił się głęboko, pamiętając, że ojciec uczył, by w oczy czarownika nie spoglądać, i chwycił za uzdę wierzchowca.

Yasa zsunął się z siodła, nie wypuszczając z objęć dziewczyny. Likal była tak lekka, że prawie nie czuł jej ciężaru.

– Ma gówniara sen, nie? – Sodi zajął mu przez ramię. – Takie toto chude i wymordowane. Dobrzeście zrobili, żeście ją z tej karczmy zabrali. Zmarnowałyby się tam jak nic. Za rok, może dwa już by nie wiadomo czyjego bachora bawiła. A ma dzieciak potencjał, niech mnie cichodajki omijają z daleka, ma potencjał. Siedem Zea uruchomić – pokręcił z podziwem kudłatą łepetyną – nie byle kto potrafi.

– Już wam mówiłem... – zaczął Yasa, idąc do zamku.

– Ta, wiem – przerwał mu Sodi, niemal biegnąc, by zrównać się z długimi nogami maga – jużście mówili, że wyuczyli ją zaklęć. Komu jak komu, ale wam chyba nie trza tłumaczyć, że nietkniętego magią czarów się wyuczyć nie da. Musi dziouška obdarzona być.

Pierwotny nie przeczył, chociaż w słabym świetle płonących na dziedzińcu pochodni, wyraźnie można było dostrzec sceptyczny wyraz jego twarzy.

– Chociaż rzeczywiście, nie czuję w niej mocy. Tropiciel nawet nie westchnie.

Zatrzymali się przed bramą. Żaden z drzemiących żołnierzy nie kwapił się jej otwierać. Wyklinając pod nosem, Sodi uchylił ciężkie kute wrota i odsunął się, by niosący podopieczną przyjaciel mógł przejść.

– Dziwne, dziwne, nie ma co. – Krasnolud wrócił do tematu, przyglądając się śpiącej. – Wiecie, co myślę?

Obojętne spojrzenie czarodzieja wyraźnie wskazywało, jak bardzo jest zainteresowany odpowiedzią na to pytanie, ale niezrażony Yudherhardere kontynuował:

– To dzieciak jest, magia u niej dopiero się rozbudzi. Ileż to ona ma lat? Trzynaście? Czternaście?

– Szesnaście – wymamrotała Likal. Ziewnęła i powoli uniosła powieki. Przez chwilę przyglądała się opiekunowi, a konkretnie fragmentowi policzka i zarysowi szczęki, bo tyle tylko mogła zobaczyć, wtulona w jego ramię. Czysty błękit tęczówek pokrywała mgiełka snu, zmieszana z absolutnym uwielbieniem. Na usta dziewczęcia wypłynął uśmiech, który jednak zbladł, gdy ciężkie od snu powieki na powrót opadły. Niosący ją mężczyzna ani na chwilę nie zwolnił kroku, nawet nie zerknął na podopieczną, a jednak milczący dotąd Tropiciel warknął podrażniony zaklęciem, którym mag na powrót uspił Likal. Yudherhardere zatrzymał się zaskoczony, ale zaraz, jako że jego przyjaciel nie zwolnił, pobiegł, by go dogonić.

– Szesnaście? – zapytał, nieco zdyszany. – A takie to chude, że myślałem... No, nieważne. Jak szesnaście, to trochę dużo, żeby się moc nie ujawniła. Dziwne... i dzieciak dziwny jakiś taki. Wiecie, co myślę?

Yasa westchnął.

– Myślę – odpowiedział sam sobie Sodi – że gówniara jeszcze was zaskoczy. Zobaczycie, że...

W tej samej chwili stanęli przed komnatą Pierwotnego, a Yasa wszedł do środka i, nie czekając wyjaśnienia, co takiego ciekawego miałby zobaczyć, zamknął drzwi przed nosem krasnoluda.

– Jasne, kurwa – wymamrotał zrezygnowany Sodi. – Po cholere słuchać krasnoluda, skoro się wszystko wie. – I ruszył do komnaty, którą przydzieliła mu przed miesiącami królewska służba.

\*\*\*

Yasa przez chwilę stał na środku komnaty, niezdecydowany. Olbrzymie łoże, przez które przewinęły się niemal wszystkie dziewczki z tutejszej służby, było świeżo posłane i, był tego pewien, zmieniono w nim pościel. Mimo to zawahał się, czy położyć w nim dziewczynę. Jakoś nie wydawało mu się to na miejscu.

Alternatywą była jednak podłoga.

Położył więc Likal bardzo delikatnie, mimo iż czarodziejskiego snu zapewne nie przerwałby nawet dźwięk katedralnych dzwonów tuż przy uchu dziewczęcia. Likal nie obudziła się, a jedynie wtuliła w zaorańskie jedwabie prześcieradeł. Pierwotny pochylił się nad nią i odsunął jasne włosy z wychudzonej twarzyczki. Rzeczywiście wyglądała na młodszą. Brudna i niedożywiona. Dałby jej, jak krasnolud, najwyżej z trzynaście lat. Nikt nie dbał o to dziecko. Yasa okrył dziewczynkę pięknym złotym pledem, haftowanym miesiącami przez elfki z Delghartu. Dysonans między zniszczoną, podartą suknią Likal a drogą materią nie zrobił na magu wrażenia.

Nikt nie dbał o to dziecko, ale teraz należało do niego. Usiadł na twardej ławie oparł głowę o ścianę i przymknął oczy. Nawet Pierwotny Mag bywał czasami zmęczony.

\*\*\*

Książę stoczył się z dziewczyny, a potem zepchnął ją z szerokiego łóżka. Upadła na marmurową podłogę, ale nie odważyła się nawet jęknąć. Oddychając płytko, utkwiała przerażone spojrzenie w nagim kochanku. Nie było jej dobrze. Przeciwnie. Było jej źle. Strasznie, okropnie. Źle. Jak kilkanaście zamkowych dziewcząt przed nią, bała się odmówić królewskiemu kuzynowi. Miał zostać następnym władcą Doliny Serbithów. Jej królem. A królowi się nie odmawia.

Książę westchnął, zadowolony z siebie, i zagapił się w złocistą tkaninę baldachimu rozpiętego nad głową. Wyhaftowano na nim historię serbithowskiego domu. Nie żeby go to interesowało. Matka od lat próbowała go zmusić do przeczytania rodzinnych zwojów. Zawsze pytał, po co. Po co, skoro i tak zostanie królem?

Już przed jego przyjściem na świat ojciec dogadał się z monarchą, że pożeni syna z kuzynką. Wychowali go w tym przekonaniu. Miał zostać mężem królowny i nowym panem.

Czas mijał, królowna dorosła, a zaproszenie ze stolicy nie przyszło. On jednak wciąż wiedział, że to tylko kwestia czasu. Wszyscy wiedzieli, że ta głupia dziwka, jego kuzynka, królowka, kochała niewolnika, co go wykastrowali za dzieciaka. Kiedy niewolnik zdechł, zarżnięty przez Zakonną, pograżyła się w żałobie. Trochę się wtedy bał, że może go wykolegować i znaleźć rozplodowego byczka wśród szlachetnie urodzonych rodaków. Martwił się, że może przyjdzie mu całe życie być tylko królewskim kuzynem. Wreszcie jednak dziwka przypomniała sobie o obowiązkach i przysłała mu zaproszenie.

Jego przeznaczeniem była wielkość.

Uśmiechnął się szeroko. Wizje świetlanej przyszłości, potęgi, która go czekała, podniecały bardziej niż kobiece ciało. Następnego dnia miał wyruszyć do serbithowskiej stolicy. Przez jakiś czas będzie musiał być nudnym grzecznym narzeczonym. Oczywiście tylko do koronacji. Potem znów będzie mógł się bawić.

Podniecenie wzrastało. Spojrzał na leżącą dziewczynę. Bała się go. Widział, że się bała i to przywiodło go na skraj spełnienia.

– Włóż tu – warknął, ekscytując się jej drżeniem.

Już wkrótce wszystkie będą się go bały. Już wkrótce...

\*\*\*

Wiosenne słońce stało wysoko, ale wciąż jeszcze nie dawało wiele ciepła. Krasnolud roztarł ramiona, przeklinając własną głupotę. Haftowana drogimi kamieniami kurtka z lekkiej jagnięcej skóry była piękna, ale nie ogrzewała.

– Tak, durny ty – burczał do siebie. – Chciało się szyku zadać, to teraz marznąć trza. I komuś to krasnoludzie tak się spodobać chciał, ha? Tutejsze panny i tak ci w łóżko wleżą. Ni na gębę, ni na klejnoty patrzeć nie będą. Starczy im, żeś królowki błaznem, przez pieprzoną Radę mianowan.

– Wielceście rozmowni, panie Sodi – zachichotała naraz za jego plecami Likal. – Ino nie wiem, z kim tak gwarzycie.

– Widzisz, gówniarzu, czasami człek musi wyjść se na dwór i z kimś rozumnym pogadać – odrzekł Yudherthardere, nie odwracając się.

– Pewnie i racja. Tylko czemuście w takim razie siebie do tej konwersacji wybrali?

Mężczyzna fuknął gniewnie i, zatrzymawszy się nagle, spojrzał na dziewczynę. Rozpędzona wpadła na niego i zaraz odskoczyła. Śmiała się przy tym tak z własnego żartu, jak i z krasnoluda. Chciał na nią nawrzeszczyć, ale jakoś... jakoś nie mógł.

Wciąż jeszcze była taka chudziutka, jakby jednym palcem mógł ją złamać, a i cienie pod oczyma też nie znikły. Zapadnięte policzki jednak powoli wypełniały się, a szarość skóry zastąpiła lekka opalenizna, którą teraz dodatkowo podkreślały rumieńce. Elegancki kubraczek i sukienka, wybrane przez Pierwotnego, dodały jej nieco lat, więc dziewczę prawie wyglądało na swój wiek. Kiedy tak słońce rozświetliło jasne włosy dzieciaka i zatańczyło w roześmianych tęczęwkach, tkliwość jakaś ogarnęła Sodiego i... No, po prostu nie mógł na nią nakrzyć.

– Czego panna się włóczyz sama po królewskich ogrodach, ha? – zapytał zamiast tego. – Nie pamiętasz, że pan Yasa zabronił?

– Przecież sama nie jestem, nie? – Nie straciła rezonu, chociaż, słysząc imię opiekuna, lekko uciekła wzrokiem. – Z wami na spacer wyszłam.

– Taaa? Jakoś nie pamiętam, żebym pragnął tak... wdzięcznego towarzystwa.

Strzepnęła z sukienki niewidzialny paproch i wzruszyła ramionami.

– Na pewno chcieliście – rzekła już nieco mniej radośnie. – Samiście rzekli, że kogoś rozumnego wam trza do konwersacji.

– Prędzej wziąłbym do takiej pogawędki tę kulawą kozę, co to się za panną od trzech dni pałęta. – Widząc, jak dziewczynie uśmiech spęta z pełnych warg, najwyraźniej z niepokojem o gniew Yasy, dodał: – Niechże ci, panna, będzie, żem na spacer wyszedł z kozą, a że ona bez ciebie iść nie chciała, tośmy i pannę wzięli.

Likal podskoczyła z radości, zupełnie jak dziecko, którym w sumie wciąż była, i ruszyła przed siebie. Pięć, może sześć kroków za nią szła koza ze zranioną nogą, pobekując od czasu do czasu.

– Ej, panna! – krzyknął krasnolud. – Jak już tak ze mną na ten spacer się wybrałaś, to może byś tak nie zapominała, że gazela ze mnie żadna?

Dziewczyna zwolniła.

– No, ale ruszcie się, panie Sodi. Dyc Nimfka z trzema nogami lepiej radę daje.

– Bo, kurwa – szepnął Yudherthardere, pamiętając, że Yasa zabronił mu przeklinać przy podopiecznej – ona ma trzy nogi, a ja jeno dwie. – Przyspieszył jednak na tyle by zrównać się z dziewczyną.

Przez chwilę szli w milczeniu. Co rusz Likal zwalniała, żeby krasnolud nie musiał za nią biec. Robiła to odruchowo, tak jak i przyspieszała odruchowo. Gdzieś ją niosło, gdzieś jej się spieszyło. Czuł jej niepokój, ciekawość świata, potrzebę pędu do przodu, w przyszłość. Zmieniła się. Nie była już tym zahukanym dziewczątkiem, ocalonym przez Maga. Była... niczym nowo narodzone źrebię, co to ledwie na nożynach ustać może, a już mu się galop marzy.

– Gdzież to pannie tak spieszno, a?

– A bo widział pan Sodi kiedy piękniejsze ogrody? – westchnęła, z nabożnym zachwytem rozglądając się wokoło. – Ile tu kwiatów! Ile drzew! A jakie cudne owoce! W wiosce nie było kwiatów, a drzewa w lesie tylko igły miały. Karczmarz i przywiózł czasami jaki owoc z dalekich targowisk, ale nie takie jak tutaj. Jest gdzieś piękniej?

– Ze dwa albo trzy miejsca do łba mi przychodzą – uśmiechnął się ciut obleśnie Yudherthardere.

Zatrzymała się gwałtownie.

– Z pięknieszymi kwiatami? – zapytała cichutko.

– No kwiatki, jak kwiatki, ale owoce tam mają... aż ślinka cieknie.

– Zabierzecie mnie tam?

No i masz. Teraz to dopiero mu się dziwnie zrobiło. Zaraz ten lupanar, co to o nim przed chwilką jeszcze marzył, sprzed oczu mu zniknął. A bo też gada o takich rzeczach... Jakby się Yasa dowiedział, zrobiłby mu z dupy ptasią wylęgarnię.

– Panie Sodi...? – Zmrużyła oczy, wpatrując się intensywnie w niskiego brodacza. Jakby... próbowała mu wejść w myśli. Nie, Tropiciel się nie obudził. Wciąż drzemał na granicy jaźni, ale czysty szafir tęczęweczek dziewczęcia zdawał się świdrować, hipnotyzować, wciskać się w podświadomość i wyciągać z niej to, co ukryte być powinno.

Potrząsnął głową i odruchowo wypowiedział w myślach ochronne zaklęcie.

– Dyc panna zobaczysz jeszcze wiele piękniejszych miejsc – powiedział nieco zmienionym głosem.

Westchnęła głęboko i, odwróciwszy wzrok, powolutku ruszyła przed siebie.

– Tak myślicie?

– Ano – przytaknął. – Świat jest ogromny, a wyście dzieciak jeszcze. Życie przed wami. A i opiekun wam się trafił nie byle jaki.

Obejrzała się rozpromieniona.

– Prawda? Bo nie żeby wam wdzięczna nie była... wy też dobroci mi nie żałujecie... ale pan Yasa...

– Taaa... pan Yasa i wyższy i piękniejszy, i mówić składniej potrafi – bez złośliwości dokończył Sodi, uśmiechając się przy tym wyrozumiale.

– A czy składniej, to nie wiem – mrugnęła filuternie – ale mniej na pewno.

Fuknął, nieco urażony.

– Panna pytasz, to odpowiadam. A że Yasa mruk, nie od dziś wiadomo. Taki jego urok. A jak już o nim prawim, trza nam wracać. Mag mnie lico przefasonuje, że mu podopieczną po okolicy ciągam.

Spojrzała bez słowa na brzydką facjatę krasnoluda. Nic nie rzekła, ale widać było, że nie wierzy, by jakiegokolwiek przefasonowanie mogło Sodiemu zaszkodzić. Kiedy tak



patrzyła, Yudherthardere znowu poczuł to dziwne mrowienie. Zmarszczył brwi. Tropiciel spał, ale... Pokręcił głową. Taaa... jasne, nie ma magii w tym dzieciaku. A on jest precudnej urody nowodajką w zamtuzie „Pod Sterczącym Cycem”.

\*\*\*

Widział strzeliste wieżyczki serbithowskiej stolicy od chwili, gdy wyjechali z lasu. Nie były dlań nowością, przyjeżdżał tu od dziecka, przynajmniej raz do roku. Zawsze jednak był gościem. Pierwszy raz przybywał jako władca. Bo tym miał zostać. Władcą. Wychylał się przez okno inkrustowanego złotem powozu, ledwie panując nad podnieceniem. Król Doliny Serbithów.

Kilka tygodni i jego przeznaczenie się wypełni. Będzie tym, czym zawsze wiedział, że ma być. Wielkim. Potężnym... Oddech zaczął mu się rwać. Wychylił się z wozu i spojrzął za siebie. Powinna tam być. Kazał jakąś zabrać. Została mu godzina wolności, nim będzie musiał udawać przed tą dziwką posłuszeństwo. Godzina wolności...

Gdzież ta mała kurewka? Jest!

– Stój! – wrzasnął do woźnicy, a ten posłuszenie zatrzymał konie. – Dawaj! – Machnął ręką w stronę przerażonej służki. Posłuszny żołnierz ściągnął ją z konia i powlekł do książęcego wozu. Opierała się, łkając głośno, ale jej opór był daremny. Mężczyzna otworzył drzwi powozu i bezceremonialnie wrzucił zapłakaną do środka.

– Pomiłujcie, panie, ja nigdy... – Nie zdołała dokończyć, bo ksiązę wcisnął jej twarz w niedźwiedzie skóry, zamykając tym samym usta.

Król Doliny Serbithów – powtarzał w uniesieniu, zrywając z coraz słabiej szamoczącej się dziewczyny odzienie.

\*\*\*

Pierwotny Mag stał na szczycie zamkowej wieży i wpatrywał się w dwójkę spacerującą po królewskich ogrodach. Nie słyszał, o czym rozmawiają. Nie żeby nie mógł. Odległość nie miała dla niego znaczenia. Po prostu nie miał zwyczaju podsłuchiwać. Przyglądał się więc tylko z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Odległość nie miała dlań znaczenia, jeśli chodziło o słuch, i tak samo nie miała znaczenia w przypadku wzroku. Doskonale widział roześmianą buzię dziewczyny. Nie umknęły mu nawet figlarne błyski w jej oczach, kiedy rzucała krasnoludowi jakąś złośliwość. Tak, to musiała być złośliwość. Dostrzegał reakcję Sodiego, zmarszczenie brwi, zaciśnięcie grubych warg.

Cień uśmiechu przemknął przez ascetyczną twarz Yasy. Podobał mu się ten dzieciak.

Zamknawszy oczy, uniósł głowę, a promienie popołudniowego wiosennego słońca ogrzały mu skórę. Przez chwilę stał tak, w kompletnym bezruchu, pogrążony w myślach, a potem ponownie spojrzął na Likal i Sodiego. I już się nie uśmiechał. Zmarszczył za to brwi. Zmrużył powieki, a potem westchnął.

\*\*\*

Przybycie przyszłego władcy postawiło na nogi cały zamek. Służba krzątała się jak szalona, wszędzie pełno było pokojówek i lokajów poprawiających posągi, meble tudzież inne elementy pałacowego wystroju. Wszyscy biegali, jakby budynek naraz zaczął płonąć i trzeba było go szybko ugasić.

Kiedy kolejny służący potrącił Sodiego, przepychając się obok niego korytarzem, krasnolud, już wcześniej poirytowany, wściekł się nie na żarty. Odepchnął chudego młodziana z siłą mogącą połamać mu kości. I zapewne to właśnie by nieszczęśnika spotkało, gdyby przed nieuchronnym uderzeniem w ścianę nie ocaliła go szybka reakcja schodzącego po schodach Pierwotnego.

Sodi syknął wściekle, zraniony krótkim uderzeniem Mocy, gdy rzeczywistość zatrzymała się tuż przed zderzeniem służącego ze ścianą. Chłopak zawisł krok od muru, tuż nad podłogą. Rozejrzał się przerażony, poruszył rękami i naraz zaczął wrzeszczeć, jakby go ze skóry obdzierali.

Westchnawszy ciężko, Yasa przymknął powieki i służący klapnął na posadzkę. Pozbierał się błyskawicznie i, wciąż wrzeszcząc, uciekł.

– Ot, widzicie, ludzką wdzięczność – wymamrotał Sodi, rozcierając skronie. – Prędeż się taki osłej uryny nachła, pomrukując z zadowoleniem, niż podziękuje za uratowanie dupska. Trza go było nie zatrzymywać. Jakby se rzyć porządnie otrząskął, przestałby łokciami wymachiwać i szacownych obywateli trącać.

Yasa patrzył na krasnoluda. Długo i w milczeniu.

– Niech wam, psia mać, będzie, trochem przesadził – wzruszył ramionami Yudherthardere. – Tak się mnie zdarza, jak mi pół popołudnia coś do łba się dobrać chce.

Mag skinął powoli.

– Gdzie Likal? – zapytał.

– Przebrać się poszła. Królowa nas na uroczyste przywitanie jaśnie wielmożnego rozplodowca... znaczy przyszłego małżonka zaprasza. – Zmarszczył brwi. – Jakoś was nie zdziwiło, co żem o moim łbie rzekł? I coś tak ani się nie sprzeciwiacie...

– Chodźcie. – Mag wskazał mu wyjście i, nie czekając, ruszył w tamtym kierunku.

– Jakbyście chociaż raz poprosili... – wyszeptał krasnolud, ale posłusznie wykonał polecenie.

Stanęli na dziedzińcu, na którym wciąż uwijała się służba. Zawieszono nisko już nad horyzontem słońce wkładało się ostatnimi promieniami przez krużganki i, przemykając przez kolorowe witraże zdobiące łuki kolumnad, rozbijało się w wielobarwne tęcze. Yasa sięgnął łagodnie ku tym barwom, zaczerpnął ich i, wolno kręcąc nadgarstkiem, otoczył siebie i przyjaciela niewidzialnym murem. Świetlista ochrona sprawiła, że naraz obaj przestali być tak widzialni, jak i słyszalni dla otaczających ich ludzi.

– Znaczący tera mi wierzyć – zapytał, uśmiechając się, Sodi – że dziewczuszka dotknięta magią jest?

– Obudziła Tropiciele?

– Niby nie, ale i wam czasami... – Lekkie uniesienie brwi maga sprawiło, że przerwał w pół zdania. – Dycie wiem, że nie równać się gówniarzowi z Pierwotnym. Ale we łbie szperać mnie próbowała, jak nic. I nie przecie, bo przecie nie cichodajka z gównianego lupanaru, co ślepa na jedno oko i za pięć miedziaków daje. Widzę, żeście zauważyli. Przyglądaliście się nam z wieży i wyczuliście pannę, nie?

Yasa zacisnął zęby.

– Nie wiem, co się tak żołądkujecie – kontynuował krasnolud. – Co inszego, jakby w tej wiosce została. Tam mogliby ją i ognisko podsycić. Jakby, oczywiście, wójtowe potomstwo wcześniej na tamten świat jej nie wysłało. – Dojrzał, że w spojrzeniu czarodzieja na wspomnienie synów wójta zapalił się gniew, więc nie drażył tematu. – Skoro jednak dzieciak w wasze ręce trafił, to i dobrze. Pomożecie jej magiczne moce rozwinąć. Jak się gówniara rozkręci...

– Nie.

– Co? – niepomiernie zdumiał się brodac.

– Nie będzie rozwijała żadnej mocy.

– He? – elokwentnie zapytał Sodi. Wgapił się przy tym w przyjaciela, jakby go pierwszy raz na oczy widział. – Przecie to dar jest! Siła nie pierwszej wody. Siedem Zea uruchomiła!

Yasa milczał.

– I niby jak zamierzacie to powstrzymać, co? Nie, no ja wiem, że skoro Tropiciel spał, to moc jeszcze nierozbudzona. Wiem, wiem. Ale przecie i wy wiecie, że rozbudzić ją byle co może. Starczy, że się dzieciak mocno wystraszy i bum! No i co mnie tak oczyskami mrozicie? Wiem, że już uprzednio ją straszili i nic, ale to wtedy było. Jak dziewczuchą od pieluch poniewierali, to się przyzwyczaiła. Tera, kiedyśmy ją wypaśli w dobrobycie, jak się wystracha, czar zapłonie niby pochodnia! Zamierzacie do końca życia pod peleryną ją trzymać?

Mag westchnął.

– Jeśli będzie trzeba – odpowiedział.

– Ale, kurwa, dlaczego? – zapytał szeptem Yudherthardere, kompletnie nie mogąc tego pojąć.

– Bo jeśli będzie czarownicą, z taką mocą, o jaką ją podejrzewacie, jaką ja w niej dzisiaj poczułem, nigdy nie będzie szczęśliwa – równie cicho odrzekł Yasa.

I usunąwszy świetlistą zaporę, ruszył dziedzińcem w kierunku zamkowych bram, zostawiając zaskoczonego krasnoluda.

\*\*\*

Nie spieszył się na uroczystość. Przecież to jego mieli witać. Jego, przyszłego władcę. Niech więc czekają. Nie było mu pilno do tej małej dziwki, którą miał poślubić. Pamiętał ją sprzed kilku lat. Ani ładna, ani młoda. Trzeba będzie się zmusić, żeby toto dosiąść – roześmiał się z własnego żartu. Oj, trzeba będzie. Musi jej przecież dzieciaka zrobić, żeby prawa swoje umocnić, więc może i więcej niż kilka razy dosiąść będzie trzeba. Skrzywił się z niechęcią, wolno przemierzając komnatę, którą chwilowo mu przydzielono. Zaraz jednak uśmiechnął się szeroko. Jakoś to będzie, pocieszeń tu sporo widział, kiedy na spoczynek się udawał. Młode, ładne, a że nie wszystkie chętne... będą chętne. Każda jest. Nawet ta, której truchło przy trakcie kazał wyrzucić. Trochę się zapomniał i dziewczucha zdechła. Nic to. Nie ona ostatnia. Bo jak dygotała... oddech mu przyspieszył... jak dygotała, nigdy tak dobrze mu nie było. Nigdy. Czy to przez jej agonię? Sprawdzi to, na pewno sprawdzi. Nie, nie teraz jeszcze, chociaż kiedy już we wspomnieniach się pograżył, stwardniał do bólu. Nie wytrzyma, nie może czekać. Rozejrzy się szybko. Weźmie jakąś służącą, to się dziwka nie dowie. A nawet jak się dowie... Nie może czekać.

Otworzył drzwi i wyrzwał z komnaty.

\*\*\*

Likal przejrzała się ostatni raz i uśmiechnęła szeroko. Pan Yasa dumny będzie, tak elegancko i dojrzałe wyglądała. Zupełnie jak nie ona. Jak inna, jakaś dorosła panna. Piękna, w drogiej sukni i z modnym uczesaniem, które u dam dworu wypatrzyła. Uśmiechnięta okręciła się, a zaraz potem poważnie uniosła głowę, zrobiła minę, jaką według niej prawdziwa kobieta zrobić powinna i ruszyła do drzwi.

Tak, pan Yasa mówił, żeby na niego poczekała. Ona jednak nie potrafiła tak cierpliwie czekać. Nie kiedy prezentowała się tak pięknie, tak... dostojnie. Sama poszuka opiekuna i zrobi mu niespodziankę. Zupełnie zapominając o dostojności, wybiegła z komnaty.

Zrobiła ledwie kilka kroków, gdy czyjeś ręce zamknęły się na jej szyi.

\*\*\*

Yasa spacerował krużgankami, rozmyślając, gdy poczuł strach Likal. Gwałtowne, atawistyczne przerażenie. Wwierciło mu się w umysł, zatrzymało oddech, lodowatymi mackami szarpnęło trzewia.

Zatrzymał się raptownie. Zmrużył oczy.

\*\*\*

Sodi poprawiał misternie uplecioną brodę, gdy usłyszał krzyk dziewczyny. Pojedynczy, straszliwy, nagle uciszony. Ze zdumiewającą jak na jego posturę prędkością skoczył ku drzwiom.

\*\*\*

Księżę wciągnął Likal do komnaty. Wymknęła mu się na chwilę. Zdążyła krzyknąć, ale potężne uderzenie w twarz zamknęło jej usta. Opadła bezwładnie na podłogę, tracąc na moment przytomność. Upadł obok niej na kolana. Trzęsącymi się z podniecenia rękami uwolnił się ze spodni i sięgnął do sukni dziewczyny. Rozpalony słabością ofiary, zaplątał się w jej halki. Sięgnął więc po sztylet, który przed chwilą odrzucił.

Zamarł nad nieprzytomną z dłonią zaciśniętą na broni. Zawahał się.

– Później – powiedział do siebie i zaczął ciąć suknię.

Naraz ostrze przecięło skórę leżącej. Powieki dziewczyny zadrżały i uniosły się. W ułamku chwili zrozumiała, co się dzieje. Szarpnęła. Bezskutecznie. Strach przeszedł w panikę, a oddech przyspieszył. Przerażenie pozbawiło Likal sił i niemoc zawładnęła ciałem. Dziewczyna załkała. Mężczyzna zachichotał nerwowo. Podniósł uzbrojoną rękę. Likal, wciąż płacząc, patrzyła w uniesione ostrze. Strach i słabość narastały... Wreszcie pękły.

Na jedno uderzenie serca czas się zatrzymał. Tęczówki dziewczyny szerniały. Mrok błyskawicznie rozlał się na białka. Likal krzyknęła. Niskim, straszliwym i nieswoim głosem. Dźwięk odbił się od ścian, zadrżał w powietrzu, poruszył płomień świec, przemknął przez otwierające się drzwi... I zawrócił.

Yasa i Sodi wpadli do komnaty w chwili gdy spotęgowana, rodząca się moc Likal uderzyła w księcia. Tropiciel zawył, raniony. Yudherthardere padł na kolana i, umęczony bólem szalejącego czaru, ledwie mógł patrzeć.

Magia poderwała półnagiego mężczyznę z podłogi. Wykręciła mu członki. Próbował krzyczeć, lecz z wykrzywionej śmiertelnym przerażeniem twarzy nie dobył się żaden dźwięk.

Moc szarpnęła. Wygięła ręce i nogi księcia do tyłu. Kości pękały głośno. Ciało jak kartka papieru złożyło się w pół, a potem jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Za każdym zaś razem to, co zostało, stawało się mniejsze. Wszystko działo się niesłychanie szybko. Sodi był pewien, że gdyby mrugnął, nie zdążyłby zauważyć kolejnych zmian. Gdy zaś ciało księcia zmalało do rozmiaru dużej męskiej pięści, zmieniło barwę. Stało się zielone. A potem opadło na podłogę.

I magia umilkła.

Oczy Likal odzyskały barwę błękitu. Pierwotny Mag podszedł do niej i, uklękawszy obok, łagodnie objął ramiona dziewczyny. Spojrzała na opiekuna, a potem drżącym głosem zapytała:

– Co się stało?

Yasa westchnął, ale nie odpowiedział. Sodi tymczasem podniósł się i podszedł do zielonej pozostałości księcia. Żaba patrzyła na krasnoluda czarnymi perełkami oczu. Yudherthardere spojrzał na wystraszoną nastoletnią podopieczną Pierwotnego Maga, na jej podartą suknię, rozczochrane włosy i potężne zaczerwienienie na policzku, które zapewne następnego dnia zmieni się w olbrzymiego siniaka.

– Co to, to nie. Nikt cię, kurwa, całować nie będzie – warknął i bez wahania rozdeptał płaza.



### III

## Pantofelki

Woń spalenizny wciąż unosiła się w powietrzu, mimo że karczmarz kazał pootwierać wszystkie okna, a kuchenna za domem szorowała przypalony gar. Wściekły gospodarz miotał się między stołami na zapleczu, wyklinając głośno, i co rusz tłukł chochlą któregoś z chudych kuchcików. Chłopcy umykali, zaciskając usta, by nie krzyknąć. Żaden nie odważyłby się przeciwstawić chleבודawcy.

Krasnolud na chwilę podniósł głowę, żeby zerknąć przez szparę w kotarze oddzielającej salę od kuchni. Nie żeby przejmował się losem dzieciaków, bo się nie przejmował. Nie żeby martwił go gniew karczmarza. Wręcz przeciwnie, to akurat był w stanie pojąć. Nagłą wściekłość rozpalającą żyły, tańczącą tuż pod skórą, amok jaskrawą bielą ślepiący rozum. Taaa... Rozumiał gniew. I nie podniósł wzroku, by się mu przyglądać. Zerknął tam, a potem we wszystkich innych kierunkach.

Tropiciel warczał głucho na granicy jaźni. Gdzieś blisko, tuż, tuż, znajdowało się aktywne źródło magii.

Dlatego też Sodi Yudherhardere rozglądał się po opustoszałej karczmie. Błyskawicznie przesuwiał wzrokiem po okolicy, nie podnosząc przy tym kudłatej łepetyny. Mięśnie pod grubą owłosioną skórą napięły się w oczekiwaniu.

– Panie Yudherhardere. – Cichy głos tuż przy jego uchu poderwał potężne ciało krasnoluda z ławy. Przerażony potrząsnął głową i wyszarpnął toporek zza paska.

– Co do kurwy..?! – wrzasnął, jako że przed chwilą nikogo obok niego nie było.

Młody chłopak, który jeszcze przed momentem szeptał mu do ucha powitanie, odskoczył wystraszony, patrząc na broń małego mężczyzny. Przez chwilę przyglądali się w napięciu jeden drugiemu. Sodi zmarszczył brwi, próbując odnaleźć w pamięci, skąd zna tego chudego gołowąsa, wyglądającego na jakieś piętnaście lat, w za dużym odzieniu smętnie zwisającym tu i ówdzie i czapce naciągniętej aż na oczy, tak że kolor ich i kształt nikał w cieniu daszka. Powinien go pamiętać, ostatecznie Tropiciel nigdy nie zapomina tak silnej magicznej aury. A to właśnie ten dzieciak roztaczał woń drażniącą alter ego krasnoluda. Nieprzyjemną, przyprawiającą o ból głowy, ciężką woń, podobną jedynie do tanich perfum kiepskich syrellskich kurtyzan. Taaa... Powinien pamiętać i gdzieś na granicy jaźni kołatało mu się jakieś niewyraźne wspomnienie. Nie

potrafił go jednak przywołać. – Co się tak skradasz, gówniarzu? – zapytał poirytowany zarówno niepamięcią, jak i bolesnym powarkiwaniem ranionego mocą Tropicielea.

Chłopiec nie odpowiedział, wciąż wgapiając się w toporek w zaciśniętej wielkiej pięści krasnoluda.

– No czego tak gębę rozdziawia, a słowa nie powie, ha? – warknął Yudherthardere, ale wcisnął broń z powrotem za wrzynający się w wielki brzuch pasek. – Czego?

Chłopak wciąż stał w milczeniu, ale buzię grzecznie zamknął.

– Skołowaciał ci jęzor czy jak?

– Nie poznajecie mnie, panie Yudherthardere? – Cichuteński głos wydał się Sodiemu znajomy, ale gdy wysilił pamięć, obolała od smrodu magii głowa zaprotestowała rozpaczliwym jękiem, wyrrywającym się z krasnoludzkiego gardła.

– Jakoś nie. Nie zwykłem pamiętać każdego szczyła, co mi w drogę włązi – mruknął zjadliwie. – Ktoś ty?

Młodzian podszedł bliżej i uniósł lekko czapkę, tak że krasnolud mógł wreszcie dojrzeć jego oblicze w świetle kaganka płonącego na ławie.

– Szlag! Likal! – Sodi poderwał się z ławy, zaraz jednak opadł na nią, pociągając za sobą gościa. – Zdurniałaś, dziewczyno? – Zniżył głos do gniewnego szeptu. – W chłopskim przebraniu? Toż jakby jaki kapłan cię nakrył... albo, co gorsza, jakiś napalony huncwot... Co ty tu robisz? Yasa wie?

Pokręciła przecząco głową.

– Takem myślał. Jakby chciał, co byś opuściła Dolinę Serbithów, zabrałby cię wtedy, jakeśmy i my wyjeżdżali. Oj, nie będzie zadowolony ten twój protektor, jak się dowie, żeś od królowki uciekła. Bo chyba cię nie wyrzuciła, co? To suka, ale swój rozum ma i Pierwotnemu raczej nie chciałyby się narażać.

– Nie wyrzuciła. Samam odeszła – cicho odpowiedziała dziewczyna.

– Źle ci tam było? Jak źle, to lepiej Yasie nie mów. Ostatnio strasznie się zimny zrobił i nie odpuszcza tym, co mu w drogę wchodzi. Mógłby pół zamku wytluc za twoją krzywdę.

– Nie było źle. Tylko... – zawahała się. Sodi zajrzał w błękitne oczy i, mimo iż czytać w myślach nie potrafił, bez trudu domyślił się, co po ślicznej główce dziewczęcia chodzi.

– Samotnie? – zapytał dziwnie miękko.

Pokiwała głową.

– Wszyscy niby mili byli, ale unikali mnie jak ognia. Jeść dawali, ale zawsze jakaś pilna sprawa ich od stołu odegnała, żeby ino się ze mną przy nim nie pożywiać. Najlepsze suknie miałam, najlepsze trzewiki, nawet królowa jakieś świecidełka kazała dać, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Jakbym trędowata była albo jaką inną

chorobą zarażona – jednym tchem recytowała dziewczyna. Na końcach rzęs zdrzały łzy. Otarła je szybkim ruchem dłoni. – To żem pomyślała, że was odnajdę i może się na co przydam... – Wpatrzyła się z nadzieją w krasnoluda.

– Jasne, potrzebujemy takich niedorosłych czarownic, co to jeno dmuchniesz, a się wywróca. – Uśmiechnął się krzywo Yudherthardere. – Zwłaszcza mnieście niezbędna, z tą czarodziejską wonią, co mnie od niej we łbie łupie.

Dziewczyna zamrugła zdziwiona.

– No co się tak wgapiacie, panna? Nie pamiętacie, żem Tropiciel?

– Pamiętam, ale...

– Co innego Pierwotny Mag – nie pozwolił jej dokończyć – co to sam stłumić aurę potrafi i nad czarami jednym westchnieniem panuje, a insza sprawa panna, której moc jeszcze nie wylazła z pieluch. Odkądś weszła do karczmy, czaszkę mi rozsadza. Dorastasz, nie ma co. Jakeśmy się ostatnio widzieli, to te twoje czary ledwie szemrały, a teraz palą, aż skwierczy. Przecie żem mówił w Dolinie Serbithów, jak będzie. Nikt mnie, cholera, nie słucha. – Westchnął z udawanym smutkiem. Pomasaował skronie, przecesał grubymi paluchami trefione loki, a potem uśmiechnął się trochę krzywo. – W sumie może i dobrze, żeś panna z Doliny nawiała. Przydasz się.

– Jak to?

– Ano przyda się trochę magii, żeby jaśnie wielmożnego waszego protektora z pałacowych lochów wyciągnąć.

\*\*\*

Królowa wciąż była atrakcyjną kobietą. Tak, musiał przyznać, że była. Nawet z furią w spojrzeniu i zaciśniętymi wargami. Biła od niej wściekłość, od całej smukłej postaci okrytej przejrzystym peniuarem. W sumie... miała się o co złościć.

Uśmiechnął się czarująco, jednocześnie wyjmując rękę z królewskiego kufra.

– Nie śpisz? – zapytał słodko.

– Uprzedzałam, że mam lekki sen – warknęła przeciągle.

– Rzeczywiście, uprzedzałaś. Zapomniałem. – Poglębił uśmiech, przesuwając powoli wzrokiem po wyraźnie widocznych krągłościach kobiety. – Myślałem wtedy o czymś zupełnie innym.

Otuliła się szczerzej, lecz miast ukryć, jedynie podkreśliła to, co już wcześniej widział nieodziane. Naprawdę była piękną kobietą.

– Domyślam się, o czym – wysyczała wściekle. – Wielu chciało mi to zabrać. Muszę jednak przyznać, że żaden nie był aż tak bezczelny. Mięknę na... z wiekiem – poprawiła się, by nie użyć przesładującego ją od jakiegoś czasu słowa. – Kiedyś nie dałabym się tak podejść.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Jesteś zbyt surowa dla siebie, pani.

– Taaak. Kiedyś nie rozłożyłabym nóg przed byle złodziejem z gładkim licem.

Wzruszył ramionami, bynajmniej nieurazony.

– Śmiem wątpić, pani.

– Nie uważasz, że teraz powinieneś milczeć? – warknęła tuż przy jego twarzy.

Wystarczyło sięgnąć. Więc sięgnął. Błyskawicznie przyciągnął kobietę i zamknął usta na jej wargach. Szarpnęła się, ale to tylko pozwoliło mu pogłębić pocałunek. Jedną ręką mocno przytrzymał kochankę, drugą delikatnie przesunął po jej napiętych plecach, aż na pośladki.

– Kradzież była tylko dodatkiem, pani – wyszeptał w pełne wargi.

Odskoczyła, wymierzając mężczyźnie potężny policzek.

– Zdechniesz w moich lochach – wysyczała. – Straż!

– Śmiem wątpić – powtórzył ledwie słyszalnie Yasa, nadal się uśmiechając.

\*\*\*

Zaskoczona dziewczyna cofnęła się lekko.

– Jak to z lochów? – zapytała, nieco unosząc głos.

– Oj, zwyczajnie. – Krasnolud wzruszył ramionami. Rozejrzał się też szybko po karczmie, czy aby nikt nie usłyszał. – Trochę ciszej, dziewczyno. – Przysunął się jeszcze bliżej i kontynuował: – Królowka z Doliny Serbithów posłała mnie do tego zamku po jedną rzecz, a wielmożny Yasa chciał mi w tym pomóc. Coś się jednak nie udało i wsadzili go do lochów. Całe miasto o tym huczy. Znaczy o tym, że ich pani uwięziła niejakiego Hrabiego, bo się pan Yasa nie zechciał tutejszej władczyni należycie przedstawić.

– Ale to Pierwotny... – Zawiesiła głos. – Może użyć zaklęć.

– Pierwotny, ale nie wszechmocny. Jak do lochów trafił, sam z nich nie wylezie. Czary potężne tam kraty chronią. Nikt z wewnątrz nie może ich otworzyć, jeśli zamkowi nie pozwolą. Wiem, bo jakem przechodził w pobliżu, to aż mnie skręciło. Wasza woń to przy tamtym perfuma.

– Toż jak on nie sprosta – nuty hysterii pojawiły się w głosie Likal – to tym bardziej ja. Sami wiecie, że jeszcze sobie z moją mocą nie radzę.

– I też nie musisz. – Machnął ręką. – Wystarczy, że za kotwicę po tej stronie krat będziesz robiła.

– Kotwicę?! – Teraz naprawdę panikowała. – Jaką kotwicę?! Nic nie wiem o kotwicy! W ogóle...

Przewrócił oczami i cmoknął zniesmaczony.

– Oż, dziewczyno! Toż nikt ci arcymistrzem być nie każe! Od tego jestem ja i wasz jaśnie wielmożny mentor. Ty tam ino postoisz, mocy trochę oddasz, a potem dopilnujesz, żeby Yasa w osłe jajca mnie nie zmienił za to, żem cię prędziutko do królowki nie odesłał. Bo się pan Yasa wkurwi jak nic. – Pokiwał głową, lekko zaniepokojony ewentualnością straszliwej przemiany. Potem spojrzał na podopieczną przyjaciela. W za dużym kubraku, połatanych porciętach i w czapce naciągniętej głęboko na oczy wyglądała naprawdę żałośnie. Jak zabiedzony chłopak na granicy wycieńczenia. Śmierdziała przy tym nie tylko magią, od której wciąż kręciło mu się w wielkim łbie, ale i innym, zdecydowanie bliższym naturalnemu fetorem. – Tylko trza z tobą, panna, coś zrobić. Tak się ludziom pokazać nie możesz.

– Jakim ludziom? – zapytała niepewnie dziewczyna, ale już zdecydowanie ciszej, patrząc przy tym na wstającego zza stołu krasnoluda. Ten jednak nie odpowiedział. Chwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą. – Gdzie mnie prowadzicie? – Nie próbowała się uwolnić, a jedynie grzecznie zapytała.

– Karczmarzu! – zignorował ją Sodi, krzyżąc do wciąż poirytowanego, zażywnego gospodarza. – Przyślijcie no mi do komnat sługi z balią gorącej wody. I jakimi pachnącymi olejkami. – Rzucił mężczyźnie pięć srebrnych talarów. – A migiem!

– Już biegną, wielmożny panie. – Grubas skłonił się głęboko i zaraz wrzasnął na swoich podwładnych.

Krasnolud zaś pociągnął Likal ku schodom na piętro, gdzie kilka dni wcześniej wynajęli wraz z Yasą dwa największe w gospodzie pokoje.

– Słyszałaś panna historię tutejszej pani na zamku? – zapytał, kiedy otworzył drzwi izby i wepchnął dziewczynę do środka. – Słyszałaś, jak to się stało, że teraz jaśnie wielmożnie tu panuje?

– Nie. – Uśmiechnęła się krzywo, ściągając z głowy czapkę. Brudny i ciężki od łajna, które weń wsmarowała warkocz opadł na plecy.

– Żeż, kurwa, nie sądziłem, że coś może cuchnąć gorzej niż wasza magia – jęknął boleśnie krasnolud i usiadł na legowisku. – Trza was będzie do krwi szorować, a i tak nie wiadomo, czy pomoże. Po coś tyle tego gówna na siebie wylała?

– Odstraszyć chciałam ludzi – wzruszyła ramionami – co by się nikt nie połapał, żem jednak nie chłopak.

– No dyc rozumu wam nie brak, inoście troszkę przesadzili. – Pokiwał niechętnie głową.

– To jak z tą królową było? – Usiadła pod ścianą, jak najdalej od krasnoluda. – Bo chyba z jakiegoś powodu żeście pytali?

– Ano, z jakiegoś pytałem. Opowiem wam, jak będziemy do zamku szli.

– Będziemy szli? – Żywo zainteresowała się młoda czarownica, a jej ładna buźka pojaśniała pod grubą warstwą brudu.

– Miałem wziąć jakąś tutejszą służącą. – Wciąż siedząc, sięgnął pod łóżko i wyszarpnął stamtąd wielki kufer. – Ale jakem już wspominał, wy lepiej się nadacie.

– Nie patrząc na dziewczynę, wyciągnął z bagażu połyskującą złotem suknię. Otrzeptał ją lekko i krytycznie obejrzał. Wreszcie uśmiechnął się. – Ujdzie. I powinna pasować.

Dziewczyna poderwała się by dotknąć materiału, ale krasnolud błyskawicznie cofnął rękę.

– Ej, panna, cuchniecie jak stara kozica, jeszcze kieckę ufajdacie i nie będzie w czym na bal iść. Jak się już domyjecie i jakiego bardziej ludzkiego zapachu nabierzecie, będziem mierzyć.

– Na bal? – wyszeptała Likal.

Przyjrzał się jej z zastanowieniem. Nawet z tym warkoczem i bez zasłaniającej oczy czapki wyglądała jak zabiedzony chłopak. Trzeba będzie, jak nic, wypchać gorset...

– Na bal? – powtórzyła dziewczyna jeszcze ciszej.

– I czego tak oczy wytrzeszcza? Na bal. Co roku do zamku towarzystwo spraszają i panny z całej okolicy. Tradycja taka, przez tutejszą królowkę zaczęta. To najlepszy sposób, coby się tam dostać. Ubierzemy cię, ufryzujemy, może się nawet jakie błyskotki znajdą... Ja na brak dobrego odzienia też narzekać nie mogę, więc pójdziemy razem. Powie się, żeś jaka krewna moja. Córka kuzynki męża siostry. Trochę potańczym, pokręcim się, a jak już towarzystwo popije, zleziemy do lochów. No wreszcie! – Ostatnie zdanie rzucił już do wnoszących balię służących.

Chłopcy wtargali olbrzymie naczynie, nad którym unosiła się pachnąca wonnościami para, skłonili się nisko i, nie patrząc na bogatego gościa, wybiegli z komnaty. Do głowy im nie przyszło czekać na napiwek czy przyglądać się chłopakowi, którego krasnolud przygarnąć raczył w łóżko. W całej gospodzie huczało, że dziwna to para, ów krasnolud i przyjaciel jego, Hrabia. Ten sam, co to go królowa w lochach zamknęła. Ponoć któraś z dziewczek widziała, jak magiczne znaki czynili i w jakimś cudzoziemskim, może nawet czarodziejskim języku, zaklęcia rzucali. Niemądrze takiemu w oczy włązić. Przekleństwo rzucić może i się człek prosięciem obudzi.

– No, panna – Sodi podszedł do drzwi, kiedy służebni za nimi zniknęli – wyszoruj się dobrze, a jak już skończysz, przebierz się i zapukaj. Będę czekał na zewnątrz. – Co powiedziawszy, wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Dokładnie poczuł moment, gdy minął magiczną barierę. Ukłucie w skroniach nie było bolesne. Nieprzyjemne, i owszem, ale minęło błyskawicznie. Strażnik popchnął

więźnia z krzykiem. Yasa zachwiał się i spojrzał na żołnierza. W półmroku oczy Pierwotnego Maga rozbłysły złym blaskiem, obietnicą. Strażnik, chociaż nie należał do bojaźliwych, cofnął się o krok. Zaraz jednak wraz z towarzyszem złapali więźnia za kajdany i szarpnąwszy, wepchnęli do celi. Tam, zgodnie ze specjalnym poleceniem jaśnie pani, przykuli łańcuchami do ściany. Twarzą do mokrego muru, tak ciasno, że policzek skazańca wtulił się w zimne, ostre kamienie.

– To zły pomysł, moi drodzy – miękko zauważył mag. Pozornej łagodności słów towarzyszył chłodny zaśpiew w tonie. Żołnierze spojrzeli na siebie. Włosy na ich grubych karkach uniosły się lekko, a nienawykłe do strachu serca minimalnie zadrżały. Coś było w tym człowieku... coś, co zupełnie nie pasowało do fircykowatej pozy, którą Hrabia prezentował na dworze. Coś twardego, stalowego. Coś, co sprawiało, że wahali się przed wykonaniem poleceń władczyni. I w tym wahaniu wpatrywali się jeden w drugiego.

– Bo co? – odważył się wreszcie zapytać starszy. Był wyższy i zdecydowanie potężniej umięśniony od Yasy, mimo to lekka niepewność drżała w jego głosie.

– Żaden z nas nie chce się przekonać... – miękko odpowiedział uwięziony.

Przez chwilę żołnierze przyglądali mu się w ciszy przerywanej krzykami dochodzącymi z innej celi. Ciche zawodzenia i przenikliwe wrzaski powinny jeżyć włosy, ale to łagodne słowa nowego więźnia przyprawiły potężnych mężczyzn o gęsią skórę.

Królowa wydała im jednak polecenie, a niewykonanie jej polecenia karane było śmiercią. Wyższy sięgnął więc po kańczug. Niższy rozdarł koszulę więźnia, odsłaniając jego plecy. Oprawca wziął zamach. Rzemienie świsnęły głośno... I zatrzymały się tuż przed obnażoną skórą.

– Lubiłem tę koszulę – westchnął Pierwotny Mag. Łańcuchy, które jeszcze przed chwilą krępowały mu ręce, opadły z brzękiem. Odwrócił się i z uśmiechem przyjrzał żołnierzom. Obaj zamarli, unieruchomieni czarem. I gdyby nie spojrzenie, pełne śmiertelnego przerażenia, wyglądałoby jak dwa posągi. – Naprawdę lubiłem tę koszulę. Krasnolud dał za nią trzy srebrne talary. Też nie będzie zachwycony. Powiem więcej. Będzie marudził. A kiedy marudzi, jest nie do zniesienia. Nie lubię, kiedy jest przytłaczający. Na samą myśl o tym mam ochotę kogoś skrzywdzić... – Zawiesił głos, wpatrując się obojętnie w obu mężczyzn. Wiedział, że ich wystraszył, ale ostatnio jakby mniej przejmował się uczuciami innych. Zwłaszcza tych, którzy na rozkaz czy z chęci przypodobania się władczyni gotowi byli zatłuc go na śmierć. – Powiedzcie mi więc, moi drodzy – postąpił krok, widząc jednocześnie, jak przerażenie w oczach zeszywniałych czarem zmienia się w panikę – co mam teraz z wami zrobić?

Nie odpowiedzieli. Nie mogli. Czar unieruchomienia zamknął też ich usta. Mag odsunął się i lekko poruszył dłonią. Mężczyźni opadli na kolana. Oddychali ciężko, patrząc w brudną podłogę. Żaden nie odważył się podnieść głowy.

– Mógłbym jednym tylko westchnieniem zmienić was w karaluchy – cicho kontynuował Yasa – lecz byłaby to dla tych pocziwych stworzeń prawdziwa obraza. Mógłbym też strzelić palcami i nie byłoby co po was zeskrobywać ze ścian.

– Pomiłujcie, panie – jęknął ten, który jeszcze przed chwilą zamierzał się pejczem.

Mag przestał się uśmiechać. Chłód z jego spojrzenia wolno spłynął ku sercu. Powoli uniósł dłonie.

\*\*\*

Delikatne pukanie wyrwało Sodiego z zamyślenia. Uniósł się z podłogi, na której usiadł czekając, aż Likal się oporządzi, i podszedł do zamkniętych drzwi.

– Czego? – zapytał głośno.

– Jestem gotowa, możecie wejść – odpowiedziała ze środka dziewczyna.

Skorzystał z zaproszenia... i zamarł w drzwiach. Nie trzeba było wypychać gorsu. Głęboki dekolt odsłaniał wdzięki nie chudego chłopaka czy dziewczęcia, lecz młodej i niezwykle urodziwej kobiety. Zaorański jedwab miękko opływał jej szczupłe biodra i długie nogi, a gdy się poruszyła, podkreślił łagodne krzywizny kobiecych krągłości. Złociste blond włosy, czyste i najwyraźniej wysuszone magią, puszystymi lokami pieściły odkryte ramiona i opadały na wyprostowane plecy.

– Ożeż kurwa! – jęknął krasnolud, zamykając za sobą drzwi. – Aleś panna dorosła! Trudno poznać.

Uśmiechnęła się nieśmiało i pokręciła w miejscu. Bardzo jej się podobało, jak jedwab pieścił skórę nóg, kiedy się ruszała.

– Dobrze jest? – zapytała, mimo że odpowiedź aż krzyczała z czarnych oczu małego mężczyzny.

– A co, lustra panna nie masz? – warknął Yudherthardere, poirytowany. Nie czuł się pewnie przy tym dziecku, co to nagle dzieckiem być przestało.

– Mam, ale zawsze pewniej od innych usłyszeć, prawda? – Wzruszyła ramionami. Potem uśmiechnęła się szeroko. – Czujecie?

– Co mam czuć? – zapytał wciąż zagniewanym tonem.

Roześmiała się i okręciła w miejscu.

– Udało się! Wiedziałam, że się uda!

– Wkurwiacie mnie! Co zaś się wam udało?!

Zatrzymała się nagle i ze zdziwieniem spojrzała na krasnoluda.



– Jak to? No przecież nie czujecie, prawda? Stłumiłam moc, żeby was głowa nie bolała. Mówiliście, że Yasa tak robi, więc spróbowałam... I udało się!

Przyglądał się dziewczynie zdziwiony. Rzeczywiście, Tropiciel nie czuł już jej mocy. Stała się dla niego taka jak inni ludzie. Dotychczas tylko jeden czarodziej potrafił oszukać nadnaturalne zmysły krasnoludzkiego alter ego. Tamten był jednak Pierwotnym, a toto ledwie od ziemi odrosło i bawi się magią dopiero od roku.

– Jak żeś to zrobiła? – wyszeptał wreszcie.

Wzruszyła ramionami.

– No przecież nie myślicie, że wam powiem? Pan Yasa kazał mi trzymać język za zębami w kwestii czarów.

– Dyc przed królowką i jej ludźmi, a nie przede mną.

Uśmiechnęła się szeroko.

– A nie mówił, przed kim. – Na chwilę, krótką jak mgnienie powieki, w oczach dziewczyny zamigotały chochliki, język zaś wyrywał się spomiędzy warg. I przez tę chwilę właśnie znów wyglądała jak dzieciak. Zaraz jednak spoważniała.

– To co? Idziemy uwolnić pana Yasę?

\*\*\*

Kiedy potknął się drugi raz, westchnął zniecierpliwiony i strzelił palcami. W ciemnościach lochu zamigotała skra światła. Małeńka, słabiutka iskierka. Yasa zmarszczył brwi. Spojrzał zdziwiony na swoje długie i mocne palce, jakby zaskoczyła go ich nagła słabość, a potem odetchnął głęboko i ponownie pstryknął. Tym razem pojawiła się feeria światła. Dziesiątki i setki płomyków tańczących wokół czarodzieja i migających tuż przed jego stopami, by rozjaśnić mu drogę. Uśmiechnął się usatysfakcjonowany i ruszył przed siebie. Nie szedł do wyjścia. Jeszcze nie.

Przemierzał wolno królewskie lochy. Ciemne i prawie puste, niemal wymarłe. Krótkim zaklęciem pozbył się żołnierzy, a i tych było niewielu. Nie byli potrzebni. Czar trzymał więźniów w celach tak skutecznie jak strażnicy. Gdzieś, całkiem blisko, jakiś więzień zawodził rozpaczliwie. Krzyczał wciąż głośniej i głośniej. Nabrzmiałym łzami głosem wyrzaskiwał niezrozumiałe słowa, jakby od tego zależało jego życie. Cóż, może i zależało.

Yasa, nie zatrzymując się, spojrzął w jego kierunku i pomyślał zaklęcie, ale nic się nie zmieniło. Odwrócił głowę i stanął, a potem, wciąż patrząc na jęczącego, złożył palce. Mrok pochłoniął dźwięki i nastąpiła kompletna cisza.

– Mocne – szepnął mag. – Przynajmniej pierwszy magiczny krąg. Może nawet wewnętrzny... Kogoś, moja miła, wynajęła dla tak kunsztownych zaklęć? – zapytał miękko. – I po co?

Podszedł do zamkniętego w kręgu ciszy i przyjrzał mu się. Bez problemów odczytał myśli nieszczęśnika. Z całą pewnością to nie on był sprawcą otoczenia lochów magią.

Ruszył dalej. Ostrożnie stąpając krok za krokiem, przyglądał się każdej z cel oświetlanych przez magiczne płomyki. Królowa się natrudziła. Obłożyła lochy czarami, które trudno było przejść, a do złamania których musiał użyć sporego zasobu własnej potęgi. Nic dziwnego, że krasnoludzki Tropiciele rwał się na wolność, kiedy Sodi mijał wejścia do podziemia. Z jakiegoś powodu królowej bardzo zależało na zabezpieczeniu tego miejsca. I to właśnie bardzo interesowało Yasę. Nieważne, kto użył zaklęć. Ważne dlaczego.

Wszystkie cele prócz jednej były puste. Zaglądał do nich mimo to, na wszelki wypadek, jakby to, czego szukał, mogło być niewidzialne. Tworząc płomyki oświetlające mu drogę, dodał nieco Światłocienia – zaklęcia wydobywającego z mroku to, co skryła magia. Kiedy światełko przemykało do celi, nic nie mogło pozostać niewidzialne. Skoro więc niczego nie dostrzegł, niczego nie było. Uśmiechnął się, wychodząc zza kolejnej kraty. Zimnym uśmiechem, nieobejmującym oczu. Uśmiechem zapożyczonym od przyjaciółki, o której bardzo pragnął nie myśleć. Bez słowa, chociaż złośliwe uwagi cisnęły mu się na usta, rozejrzał się wokoło.

Wyglądało na to, że zwiedził już całe lochy. Opustoszałe i obecnie pogrążone w kompletnej ciszy, nie były aż tak rozległe, jak można byłoby się spodziewać po królewskich ciemnicach. Zmarszczył brwi. Dziwne...

Światłocień zamigotał lekko i, po chwili krótszej niż mgnienie powieki, rozjarzył się intensywnie, oświetlając magicznym światłem ścianę. Płomyki zatańczyły na ciemnym, niejednorodnym, kamiennym murze. Yasa podszedł ku nim i powoli przesunął opuszkami po powierzchni kamienia. Ogniki drżały pomiędzy długimi palcami mężczyzny. Muskały skórę łagodnym magicznym ciepłem, kiedy przeszukiwał wilgotną płaszczyznę.

Wreszcie napotkał małą, ledwie wyczuwalną zapadkę. Chłodny uśmiech objął oczy Pierwotnego Maga, ale rozjaśnił je w bardzo nieprzyjemny sposób. Czarodziej wcisnął dźwignię. Ściana poruszyła się bezgłośnie. Światłocień zachybotał, poruszony słabym podmuchem z ukrytego korytarza. I zgasł, zdmuchnięty jego magią.

Yasa wszedł w mrok.

\*\*\*

Pałac rozjaśniały tysiące pochodni i świec. Migotały, tańczyły, odbijały się w zwierciadłach, rozświetlały inkrustowane złotem i drogimi kamieniami świeczniki. Likal nie potrafiła oderwać wzroku od feerii blasku i kolorów wydobywanych ze szkła i kruszców. Ich piękno poruszało uspięne struny, drżało tuż pod skórą, wzruszało

i olśniewało. Uśmiechała się, nie wiedząc, że to robi. Radość w błękitnych oczach, połączona z nierealnym pięknem, wyczarowanym w królewskich ogrodach przez pałacową służbę, przydała urodzie dziewczęcia magicznej mocy. Całkiem bez jej własnego udziału. Tego akurat Sodi był pewien. Żaden czarodziej, nawet Yasa, nie potrafiłby osłonić aktywnego czaru przed Tropicielem. A Tropiciel pozostawał uśpiony. Krasnolud nie przyglądał się dziewczynie. Co to, to nie. Jedno zerknięcie wystarczyło, by go omamić. Kurwa, z tymi babami! Do łba idą szybciej niż przedni miodzik. A jakby, co niech bogowie bronią, tknął gówniarę, Yasa by go własnym jego nabiąłem nakarmił!

– Nie, co to, to nie!

Nie podobało mu się również, jak patrzyli na dziewczynę mijani mężczyźni. Raz po raz przychodziło mu do głowy, że to może jednak nie był najlepszy pomysł, żeby zabrać pannę do zamku. Teraz musiał martwić się nie tylko o Yasę, ale i o jego podopieczną. No i o własny nabiął też.

– Bo też i Yasa ostatnio strasznie zimny się zrobił.

Yudherthardere potrząsnął głową, bo dreszcz strachu przemknął mu po kręgosłupie. Wystraszony zacisnął rękę na łokciu dziewczyny. Spojrzała na niego bez słowa. Zimne macki telepatii przemknęły przez myśli krasnoluda. Warknął cicho, ale zamilczał, bo właśnie wchodzili do pałacu i lokaj w ociekającej złotem liberii zaanonsował pana de Gra Yudherthardere.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Podaliście prawdziwe nazwisko? – zapytała prawdziwie zdziwiona.

– A co pannę tak dziwi? – warknął wściekle. – Nie jestem jakiś jaśnie wielmożny pan Gówniany Przydupas. Nie mam się czego wstydzić!

– Nie o to... Tak się od razu zaperzacie. – Uśmiechnęła się słodko, a Sodi zacisnął usta, bo mijający ich młodzian na ten widok wlaź na wielki srebrny świecznik, strącając przy tym ze dwadzieścia świec. Zrobiło się zamieszanie, a Likal, bynajmniej niezaskoczona, kontynuowała: – Dziwię się, bo skoro chcecie pana Yasę uwolnić i jakiś drobiazg zabrać tutejszej pani, to chyba nie powinniście tak wszem i wobec... Zwłaszcza że pewnie tu już wiedzą, żeście pana Yasy towarzysz.

– Nie sądzę, by ktoś tu się moją komitywą z uwięzionym Hrabią przejmował. Za to prawie każdy pozna nazwisko Yudherthardere. Mój ród sięga pierwszych Smoczyc Pieśni, a majątku zazdrości nam niejeden władca. Łatwiej wejść na bal de Gra Yudherthardere niż byle krasnoludowi.

– Ale skoro lochy czarem obłożone... Ktoś tu mógł o Tropicielu słyszeć.

Krasnolud uśmiechnął się paskudnie.

– Ano obłożone. I możliwe, że gdzieś tu jakiś czarodziej będzie...

Zawiesił głos i przyjrzał się dziewczynie.

– Chcecie, żeby magowie patrzyli na was – domyśliła się. – Chcecie odwrócić uwagę ode mnie!

– Niegłupiaś, panna. Jak się mnie przyglądać będą, to na was nawet nie spojrzą. Łatwiej będzie waszego protektora z lochów wytargać.

– Ale jak ten czarodziej zrobić wam jaką krzywdę zechce?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze ryzyko jakoweś jest, ale jużem do tego przywykł, odkąd jaśnie, kurwa, wielmożna królowka losem moim zarządza. – Widząc, że dziewczyna dalej chce pytać, dodał szybko: – Kończ już, waćpanna, te spytki. Robimy, jak ustalone. Starajcie się ino w oczy nie rzucać. Znaczy zbytnio, bo z tym waszym wyglądem tak całkiem to się chyba nie da.

Uśmiechnęła się, a on grzecznie nie dodał, że to bynajmniej nie był komplement. Nie w tej chwili. Ostatnie, czego potrzebowali, to zbytnie zainteresowanie.

Niestety, nie udało im się owego zainteresowania uniknąć. Kiedy tylko przekroczyli próg sali balowej, oczy wszystkich mężczyzn, bez względu na wiek, spoczęły na dziewczynie idącej obok krasnoluda. Sodi zacisnął zęby.

– No, tośmy już uratowali Pierwotnego – warknął wściekle. – Cycki mi wyrosną, wielkie jak u jednej kurwy spod Syrelle, jeśli zdołasz panna wymknąć się do lochów. Zaraz by za tobą stado napalonych gówniarzy poleciało.

Nie odpowiedziała, zajęta oglądaniem widowiska. Bo zaprawdę było to widowisko. Najbogatsi obywatele, odziani w najdroższe, ociekające złotem szaty, tłoczyli się pod ścianami. Upudrowane i nadmiernie uszminowane kobiety ledwie potrafiły udźwignąć ciężar biżuterii zdobiącej ich zbyt obszerne dekolty. Dziw brał, że mimo tego i ciasno zasznurowanych gorsetów zdolne były się jeszcze wdzięczyć do towarzyszących im mężczyzn. Ci, równie jak i ich damy upudrowani i jak one ozłoceni, z trudem udawali modny brak zainteresowania owymi rozległymi widokami, które roztaczały przed nimi niemal rozneglizowane panie. Wszyscy zamarli na chwilę, gdy zaanonsowano nowych gości.

I tak ich ujrzała. Kiczowaty obraz, z przesadną ilością złota i szlachetnych kamieni, zbyt rozmyty z powodu nadmiaru pudru i barwny nad miarę od karminu i czernidła.

Uśmiechnęła się do swoich myśli, a potem do krasnoluda. Kiedy zmarszczył brwi, pozwoliła mu wejść w umysł i się przeczytać. Rozbawiony tym, co ujrzał, Sodi parsknął pod wąsem.

– Niech ci, panna, będzie – westchnął. – Rób po swojemu.

Potem patrzył, jak kołyszając biodrami szła przez salę, przyciągając wzrok każdego obecnego mężczyzny.

– Żeż kurwa, dojrzała nam gówniara. – Pokręcił głową. Wolno przeniósł spojrzenie na gości. Przez chwilę przyglądał się im beznamiętnie. Wreszcie wypuścił Tropiciele. Stwór wyrwał się z głośnym warknięciem.

Niewidzialny, widział wszystko. Żadna moc nie mogła się przed nim ukryć. Z sykiem krążył wśród obecnych. Szarymi wstęgami opasał wszystkich, wsuwał się pod skórę, przepływał rzeką krwi. Niewyczuwalny, czuł. Kęs po kęsie próbował, smakował, gryzł, ssał... i wypluwał. Smakiem, węchem, dotykiem, słuchem i wzrokiem. Każdym naturalnym zmysłem, spotęgowanym aż po nieskończoność, i wreszcie tym magicznym. Absolutnym zmysłem Tropiciele. Zatańczył pomiędzy obecymi. I znalazł, czego szukał.

\*\*\*

Likał uśmiechała się, idąc. Nie musiała sięgać po czary. O tak, była czarownicą. Młodą, ledwie wyklutą, ale, jak zapewniał Yasa, czarownicą z możliwościami. Przed wszystkim jednak była kobietą. Od razu wiedziała, kogo szuka Sodi, bo tylko jeden mężczyzna przyglądał się bardziej krasnoludowi niż jej.

Podeszła do szerokiej pustej ławy i usiadła, przyjmując wystudiowaną pozę, której nauczyła się na dworze królowej Serbithów. Nie zdążyła jeszcze poprawić sukni ani opuścić wdzięcznie główki. Ledwie zdołała wyprostować plecy, a już, jak to przepowiedział krasnolud, stado napalonych gówniarzy przepychało się łokciami, otaczając ją ścisłym kręgiem. Przyglądała się im spod skromnie opuszczonych rzęs, jednocześnie obserwując Yudherhardere'a. Nie chciała, żeby znów rozboleła go z jej powodu głowa. Poczekała więc, aż wyjdzie przez olbrzymie drzwi do pałacowego ogrodu. Uśmiechnęła się pięknie do stojącego najbliżej kawalera. Jedyny mężczyzna, którego nie zainteresowała, wyszedł za Sodim.

Odetchnęła głęboko. Bardzo, bardzo głęboko. Zimne powietrze, mimo duchoty pokoju, wypełniło płuca młodej czarownicy, zagrało w żyłach i podsyciło ogień zaklęcia. Zaklęcia Yasy.

\*\*\*

W podziemiach, w absolutnej ciemności ciasnego korytarza, Pierwotny Mag odczuł uderzenie mocy. Zachwiał się. Uderzył łokciem o wystający kamień i syknął wściekle. Jego czar. Kto? Zdezorientowany potrząsnął głową. Zmrużył powieki.

Oslabiona koncentracja sprawiła, że nie zdołał się uchylić. Cienka jak nić, oślepiająca błyskawica pojawiła się znikąd, przecięła powietrze i, zraniwszy skórę na ramieniu maga, zgasła, wbijając się w kamienie tuż obok niego. Na kolejną był przygotowany.

Odkoczył, a jasność ponownie rozprysła się na ścianie. Zmarszczył brwi. Wyszeptał zaklęcie i ruszył przed siebie.

Błyski, jeden po drugim, szybsze niż bicie serca, uderzały w utworzoną przez maga tarczę. Skry sypały się pod jego stopy, rozświetlając wąski korytarz. Następował na nie, zanim zgasły, ale podeszwy jego eleganckich, szytych na zamówienie Sodiego trzewików pozostały nietknięte. Ogień nie był prawdziwy. Ale to wiedział od chwili, gdy uderzyła pierwsza błyskawica. Nie był Tropicielem, ale umiał rozpoznać zaklęcie wewnętrznego kręgu. Odrobinę mocy pomieszanej ze strachem. Lekkie, chociaż niełatwe. Zdolne zabić, mimo że nietrwałe.

Korytarz się skończył. W oświetlonej kilkoma pochodniami jaskini u jego kresu stał chudy mężczyzna. Machał rękami i to z nich wyskakiwały jaskrawe ostrza światła. Krzyknął, gdy ujrzał Yasę. Złożył dłonie i szybko zaczął je pocierać. Między kościstymi palcami zamigotał błękitny płomyczek i błyskawicznie zaczął rosnać.

– Nie rób tego – miękko powiedział Yasa. – Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Czarownik nie słuchał. Pocierał rosnącą, skrzącą się kulę, wykrzykując zaklęcia. Yasa westchnął i postąpił krok. Czarownik cofnął się, zamachnął i z całej siły cisnął ognistym pociskiem.

Tym razem Pierwotny nie zamierzał się uchylać. Sięgnął od niechcienia. I równie od niechcienia złapał lecącą ku niemu kulę. Skry zaskwierczały na odsłoniętej skórze, lecz miast ją spalić, rozbłysły spotężniałym blaskiem.

– Naprawdę nie zamierzałem – szepnął Yasa.

I odrzucił magiczny pocisk. Mężczyzna też się nie uchylił. Może uznał, że stworzony przez niego czar nie może go zranić. Może był już zmęczony. A może po prostu zbyt zaskoczony. Grunt, że się nie odsunął, a błękitny płomień trafił go pierś i powalił. W jednej, nieprawdopodobnie krótkiej chwili błękit zmienił się w żółć i czerwień. Magiczny ogień zapłonął prawdziwie. I nim ofiara zdołała choćby krzyknąć – żar spopielił ją do cna.

Pierwotny Mag podszedł do wciąż dymiącej się kupki popiołu. Zacisnął usta i wpatrzył się w nią z mieszaniną gniewu i żalu.

Już wcześniej wyczuł obecność kobiety. Lekki szelest sukni na kamieniach, intensywny zapach, po części wciąż jego, mimo że spędziła w kąpieli z olejkami długie minuty. Tak. Wyczuł ją. Nie odwrócił się jednak, nie spojrzał w jej kierunku.

– Co zrobiłeś z moimi żołnierzami? – zapytała chłodno.

Nie odpowiedział, więc podeszła bliżej.

– Zresztą to bez znaczenia. W wioskach są ich setki. Wezmę sobie nowych. – Minęła maga. Z fascynacją przyjrzała się kupce prochu. – Nie sądziłam, że to kiedyś zobaczę. Rozwiązałeś dla mnie dość duży problem, drogi Hrabio. Winna ci jestem

wdzięczność. – Przesunęła pantofelkiem przez środek kopczyka, wzbijając niewielką chmurę. Później tupnęła delikatnie, strącając z atłasu resztki spopielonego czarodzieja i ruszyła w stronę wyjścia.

Yasa złapał ją za ramię i zatrzymał. Zajrzał w oczy kobiety. Nie zapytał, ale ona i tak poczuła się zobowiązana odpowiedzieć.

– Wiedziałam, że jesteś czarodziejem. Od zawsze was przyciągam, taki mój urok. Ledwie kiwnę palcem, a każdy gotów czołgać się u moich stóp. Sama nie potrafię czarować. Nigdy tego nie potrzebowałam. Kiedy zachciało mi się wyjść za króla, ten tu – wskazała popiół – użył odpowiedniego zaklęcia i król wziął mnie za żonę. Kiedy zaś król stał się... rzeknijmy, że męczący... tenże sam pomógł mi się go pozbyć. Niestety z czasem i on stał się męczący. Znalazłam więc nowego czarodzieja. Ten tu był sprytniejszy. Ukrył się przed nami w podziemiach i obłożył je zaklęciem, żebyśmy nie mogli go odnaleźć. Mój nowy... opiekun zamknął więc zaklęciem całe więzienie. Po pierwsze, żeby nikt go nie opuścił, po drugie, by zemsta tego tu nie mogła nas osiągnąć. Wielu przed tobą próbowało rozwiązać mój problem. Żadnemu się nie udało. Dopiero tobie. Winnam ci więc wdzięczność.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– I wyrażę ją, nie uśmiercając cię, mój drogi. Będiesz mógł żyć tu, w lochach. Postaram się nawet o jakieś wygody. Może czasami zaszczycę cię swoją wizytą. Szkoda byłoby marnować takie dobro. – Unosząc brew, spojrzała na podbrzusze Yasy. – Bo rozumiesz, że nie mogę cię wypuścić, prawda?

– Skąd pewność, że tobie uda się stąd wyjść? – zapytał zimno.

– Bo, widzisz, to jest łączone zaklęcie. Tylko ja mogę wchodzić i wychodzić. Ja i ci, którym na to pozwolę. Moja śmierć zaś zapieczętuje wyjście na zawsze. Jeśli mnie więc zabijesz... Sam rozumiesz.

Nadal uśmiechnięta, wyswobodziła się z jego uchwytu i weszła w korytarz. Yasa też się uśmiechnął. Okrutnym uśmiechem. Bo, jak powiedział jego przyjaciel, Yasa się ostatnio strasznie zimny zrobił.

\*\*\*

Sodi mijał kolejną ogrodową alejkę i oddalił się już od pałacu na pewną odległość, ale i tak dotkliwie odczuł zaklęcie rzucone przez Likal. Tropiciel jeszcze nie zasnął, magiczne zmysły wciąż drżały w gotowości, więc uruchomienie czaru boleśnie je zraniło. Yudherthardere aż przykucnął.

– Kurwa mać! – jęknął głośno.

Nie zdążył się podnieść, gdy padł pierwszy cios. Tropiciel wrzeszczał. Wysoki i młody, a przynajmniej na takiego wyglądający czarodziej zamachnął się po raz drugi.

Sodi przeturlał się i wielki kij uderzył w trawę tuż przy jego głowie. Strach przed śmiercią dodał krasnoludowi sił. Poderwał się gwałtownie i sięgnął za pas. Toporków nie było. Jasne, oddał je przed balem.

– Może jednak pogwarzymy? – zapytał, intensywnie się rozglądając.

Młodzian ponownie się zamierzył.

– Znaczy nie? – Yudherthardere znów uskokzył. Ślizgiem na wilgotnej trawie wszedł między rozstawione nogi mężczyzny. I, nim napastnik zdążył znów unieść kij, wielka jak bochen krasnoludzka pięść trafiła w to, czym mężczyźni szczycą się najbardziej. Czarodziej zatchnął się i z jękiem złożył wpół.

– Ci, kurwa, dam atakować bezbronnego! – wrzasnął Sodi i potężnym kopniakiem pozbawił młodzieńca przytomności. Potem otrzepał spodnie z trawy i uśmiechnął się szpetnie. – Nie trza było zadzierać, gówniarzu, z takim potężnym wojownikiem.

Zaraz skrzywił się, bo głowę nadal rozsadzał mu ból zakłęcia. Roztarł skronie, ale to nie pomogło. Spojrzał w stronę otwartych okien sali balowej. Czar wciąż tam rządził, Tropiciel go czuł. Potężny, pierwotny czar.

– Aż, nie ma co gadać, dorosła pannica – zauważył Sodi ponownie. – Strach myśleć.

I kopnąwszy leżącego raz jeszcze, tak dla pewności, poszedł szukać dziewczyny.

\*\*\*

Królowa nie słyszała, czy więzień za nią idzie. W całych podziemiach panowała martwa cisza, przerywana jedynie dźwiękiem kropli spadających z sufitu. Władczyni szła szybko. Niosła ją radość i przekonanie, że nic złego jej nie spotka.

Kiedy zobaczyła dziewczynę stojącą u krat strzegących więzienia, zatrzymała się gwałtownie.

– Kim jesteś? – zapytała gniewnie.

– Kotwicą – Likal dojrzała idącego za kobietą Pierwotnego i skinęła głową.

– Czym?!

Dziewczyna chwyciła kraty. Yasa przyspieszył. Młoda czarownica przymknęła oczy. Rzęsy zadrżały. Skóra dziewczęcia zatraciła kolor. Pobieląła, stała się przejrzysta. Szron błyskawicznie objął stopy, przemknął przez suknię Likal, jej kibić, piersi, ręce. Gdy dotarł do twarzy, powieki podopiecznej maga zadygotały i uniosły się. Tęczówki, źrenice, białka... wszystko objął lód. I rozbłysnął. Dwa najczystsze promienie wyrwały się z oczu czarownicy i pomknęły wprost ku oczom Yasy.

Ten uchwycił je swoim spojrzeniem. Przejrzysty, lodowy most skracał się z każdym szybkim krokiem maga. Wreszcie czarodziej przekroczył próg więzienia. Szron stopniał szybciej, niż się pojawił, a nogi odmówiły dziewczynie posłuszeństwa. Zacisnęła dłonie na kratkach i uśmiechnęła się do swojego nauczyciela. Nie patrzył na



nią. Przyglądał się z zimnym rozbawieniem kobiecie, która stała wciąż wewnątrz. Powoli zamknął bramę więzienia. Stary metal zaskrzypiał głośno, a królowa cofnęła się gwałtownie. Milczała. Strach wycierał z jej wciąż pięknej twarzy. Ciało drżało tak mocno, że suknia u stóp kobiety poruszała się jak żywa.

– Zabijesz mnie? – zapytała wreszcie, bardzo cicho.

Yasa nie przestawał się uśmiechać. Nie odrywając spojrzenia od byłej kochanki, musnął palcami zamknięcie krat, a to stopiło się niczym położone na rozgrzanym palenisku. Potem odwrócił się i dopiero wtedy spojrzał na Likal. Wciąż kurczowo trzymała się krat i nieśmiało uśmiechała. Pokręcił głową, a potem, wciąż milcząc, wskazał dziewczynie drogę. Przygryzła wargę i w ciszy wypełniła polecenie.

– Hrabio! – krzyknęła królowa, gdy mag ruszył za swoją podopieczną.

– Nazywaj mnie Yasa, moja droga – powiedział, nie zatrzymując się.

A że nie patrzył na uwięzioną, nie zobaczył przerażenia, które wywołał, wypowiadając swoje imię.

\*\*\*

Yasa szedł w milczeniu, nie patrząc na dziewczynę. Likal rozpaczliwie pragnęła słów opiekuna. Czowała dystans, którego bała się bardziej niż gniewu. Umieścił ją w bezpiecznym miejscu, postarał się, by została otoczona troską i wygodami, a ona uciekła, by go znaleźć. Mimo to nie wyczuwała złości, a tylko chłód. I bała się odezwać.

– Noż, kurwa, nareszcie! – Krasnolud wyłonił się zza rogu. Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. – Zaraz mi łeb rozpęknie od tego smrodu. Aleś panna poszalała z tym zaklęciem. No, cholera, panie Yasa, się dziewczucha rozwinęła przez tych kilka tygodni. Takie czary... Marnuje się w tym zamczku królowki. Powinniśmy ją zatrzymać. Tak se myślę, panie Yasa...

Pierwotny Mag nie słuchał jego paplaniny. Stanął w otwartych drzwiach balowej sali i przyglądał się dziełu swojej podopiecznej. Dziesiątki kolorowych ptaków: papug, pawi, tukanów, kogutów i innych, których nazw nie pamiętał, przechadzało się po marmurowej posadzce. Gdakały, popiskiwały, śpiewały, wydobywając z siebie trele i wrzaski. Przekrzykiwały się, tańczyły między sobą, to zalotnie, to chełpliwie, to arogancko, to zaczepnie.

Yasa odwrócił się i, unosząc brwi, spojrzał na dziewczynę. Ona zaś w milczeniu wzruszyła ramionami.

– Tak se myślę, panie Yasa, że nam się dziewczyna przyda, wiecie... Dobrze by było, żeby z nami została. Czego się tam może nauczyć, na tym zamku?

– Cofnij to – miękko polecił Yasa.

– Nie, nie... poczekajcie aż... O kuuuuuuuurwa! – Sodi wrzasnął z bólu i upadł na kolana.

W pałacu ponownie rozległa się muzyka i gwar rozmów. Pierwotny Mag wyciągnął rękę do krasnoluda.

– Macie rację, panie Yudherthardere, dziewczyna powinna z nami zostać. Strach pomyśleć, ilu ludzi mogłoby przez nią w rosole skończyć.

Uśmiechnął się ciepło, gdy fuknęła gniewnie.

– Czas nam wracać do waszej dobrodziejki – ponownie zwrócił się do Sodiego. – W królewskiej sypialni znajdziecie to, po co was wysłała. Idźcie, poczekamy na was.

\*\*\*

Leżały w kufrze, jak Yasa powiedział. Dwa śliczne, kryształowe pantofelki. Mówiono, że to dzięki nim uboga dziewczyna została królową, że mają moc.

– Tam, kurwa, moc – warknął Sodi, bo głowa nie przestawała go boleć. – Moc to miała dupa królowej, a nie zgubione pantofelki. – Sięgnął po buciki i wcisnął je do sakwy. – Kimże ja jednak jestem, żeby moją, kurwa, dobrodziejkę z błędu wyprowadzać?

I trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z królewskiej sypialni.

## IV

### Smocze Gody

Drzwi skrzyknęły z bolesnym jękiem, wpuszczając do środka, prócz wichury i deszczu, także trójkę podróżnych. Nawet w barwnym towarzystwie przydrożnej gospody owa gromadka zwracała uwagę. Potężny jak na swoją rasę krasnolud potrząsnął głową niczym zmokły pies, strząsając wodę z ufryzowanej brody i długich, kręconych rudych włosów.

– No, nareszcie. – Zdjął mokrą kurtę i rzucił na pobliską ławę, by po chwili ciężko zasiąść tuż obok swego odzienia. – Dupa mi już przyrosła do końskiego zadu, a obita tak, że kolorem niezawodnie przypomina te suszone śliwki, co je żarliśmy na ostatnim postoju. I od tej siąpaniny pomarszczona pewnie też jak ta śliwka. Zara się obejrzę, czy tu jakiej panny ni ma, co by chciała tego owocu posmakować. No, co? – Wzruszył ramionami, bo uchwycił zniesmaczone spojrzenie towarzyszącego mu młodzieńca. – Że wam takie delicje nie w smak, nie znaczy, że jakaś chętna nie będzie.

– Taka u was sakiewka głęboka? – zapytało chłopię z ironią. – Bo jakoś inaczej sobie wyobrazić zainteresowania tej panny nie mogę.

Krasnolud uśmiechnął się krzywo, złym uśmiechem. Podniósł się i postąpił o krok, ale nim zdołał rzec słowo czy chłopakowi uszu natrzeć, pomiędzy nich wszedł trzeci z gromadki. Nie spojrzął na żadnego z towarzyszy. Nie powiedział ni słowa, ale pozostała dwójka, jak skarcone dzieciaki, usiadła grzecznie przy stole.

Pierwotny Mag usiadł obok nich w milczeniu. Ciężkie powieki przysłoniły czarne oczy, nadając ascetycznym, przystojnym rysom mężczyzny leniwy, nieobecny wyraz. Myliłby się jednak ten, który tak właśnie postrzegałby Yasę. Nie było bowiem ni miejsca, ni osoby w gospodzie, która umknęłaby jego umysłowi. Znał imię każdego z kilkudziesięciu gości. Znał myśli. Poznał je ledwie przestąpił próg. Inaczej nie pozwoliłby Likal przezeń przejść.

Był za nią odpowiedzialny.

– Rzeczywiście, gromadami padają dziewczęta od waszego uroku, panie Yudherthardere. Któż zdołałby się mu zresztą oprzeć? Sama ledwie zdzierzę.

Była pyskatą panienką. Pyskatą panienką w za wielkim kapeluszu, pod którym ukrywała nie tylko długie jedwabiste loki, ale i pół ślicznej twarzy. Ten kapelusz i w wielu miejscach przetarte porcięta, a także chłopięca kurtka skrywały jej płeć równie

dobrze, jak rzucony w tajemnicy tak przed nią, jak i przed Tropicielem czar. Albowiem, wbrew przekonaniom Sodiego, Yasa potrafił rzucić i utrzymać ukryte przed mocami Tropicielea zakęcie. Tylko się tym nie chwalił.

– Nie męczcie się tak, Likal. – Krasnolud błysnął w uśmiechu zepsutymi zębami. – Takaście urocza, że deszczu nie trza, żeby i inne miejsca mi się pomarszczyły.

Dziewczyna warknęła cicho. Poderwała się z ławy... i opadła na nią, czując karcące spojrzenie opiekuna. Krzywy uśmiech krasnoluda również szybciotko znikł, bo i on dojrzał wzrok Yasy.

– Ejże tam, bywaj! – wrzasnął Sodi w kierunku kuchni, żeby ukryć, iż poczuł się nieswojo. – Niech no ktoś tu wreszcie ruszy du... – nie skończył swej jakże eleganckiej myśli, gdyż z ciemnej sieni wyszła służka, popychana przez zażywnego karczmarza. Dziewczę pochylało się i, chowając głowę w ramionach, stawiało drobne kroczyki, niemal biegnąc w kierunku nowych gości. Karczmarz szedł za nią, mamrocząc pod nosem, od czasu do czasu szturchając ramię służki. Nie było w tym jednak niechęci czy złości, a jedynie jakies... przyzwyczajenie. Mężczyzna wytarł wielkie jak bochny dłonie w fartuch i błyskawicznie otaksowawszy bogate odzienie dwóch z trójki przyjezdnych, gnąc się w ukłonach, wysforował przed kulące się dziewczę.

– Jakżem zaszczycony! Goście tacy szacowni... Czym mogę służyć?

Pierwotny Mag obserwował spod opuszczonych powiek gospodarza i jego pracownicę, więc to Sodi postanowił zająć ich błyskotliwą pogawędką:

– Czego się tak wyszczerza, ha? Czym może posłużyć? Żarcia da i pokoje przygotuje. Przecież, że do łóżka brać go nie będziemy.

Karczmarz na krótką chwilę przestał się uśmiechać, zaraz jednak wspomniął złote guziki i zaorańskie jedwabie, w które przyodziany był krasnolud, więc naciągnął uprzejmy grymas na grube wargi.

– Oczywiście, jaśnie panie. Zaraz dziewczyna przyniesie polewki i zacnego pieczystego. Najlepszego w okolicy.

– To zdaje się trudne nie będzie, bo w odległości trzech mil żadnej gospody nie ma – ponownie zakpił Yudherthardere.

Gospodarz z wielkim trudem utrzymał grzeczną minę.

– Ale wioska jest – warknął przez zaciśnięte zęby. – I tam też pieczone robią... jaśnie panie. Nasze jest lepsze. Co do pokoi, tylko jedną izbę wolną mam. Gości sporo zjechało.

Sodi już otwierał usta, żeby ponownie obrazić mężczyznę, lecz naraz Yasa uniósł ciężkie powieki i spojrzał na towarzysza, a potem na karczmarza.

– Weźmiemy ten pokój – powiedział miękko, wyciągając jednocześnie sakiewkę. – Raczcie przygotować w nim trzy posłania. Za pieczone też będziemy wdzięczni. –

Skinął lekko głową, podając gospodarzowi dwie złote monety, co sprawiło, że ten ponownie przypomniał sobie o uprzejmości. Uśmiech, którym obdarował szczodrego gościa, z całą pewnością był szczery.

– Coście dla niego tacy mili, panie Yasa? – zapytał krasnolud, gdy gospodarz wraz z dziewczyną wrócili do kuchni. – Tyrkał tą dziewczuszkę, że żal patrzeć było.

Mag tylko się uśmiechnął i spojrzął na Likal. Wiedział, o czym dziewczyna myśli, nie musiał jej czytać. Wspomnienia o karczmie, w której służyła, wypisane miała na twarzy.

– Nie – zaprzeczyła, odrywając wzrok od drzwi, za którymi zniknął mężczyzna. – Tylko tak udają. Nie ma okrucieństwa w tym człowieku.

– Aaaa, to co inszego. Skoro mędrzec tak rzecze – prychnął Sodi.

– Ta, jasne, że wy wiecie lepiej – zaperzyła się dziewczyna. – Z mądrością waszą ino uroda równać się może.

– Trzymajta mi ręce!

– Siadajcie. Oboje. Już. I milczcie – cichym, nieznoszącym sprzeciwu tonem polecił Yasa.

Usłuchali niechętnie. Krasnolud zacisnął grube wargi i z racji tego, że nic ciekawszego nie miał do roboty, zaczął się rozglądać wokoło. Gospodarz mówił prawdę. Wszystkie stoły były zajęte. Ludzie, elfy, krasnoludy i nawet Gaale tłoczyli się przy nich, głośno dyskutując. Dialekty z różnych stron Krainy mieszały się w ciepłym, wilgotnym powietrzu. Wyłapywał poszczególne słowa, ale ich nie pojmował.

Zmarszczył brwi i lekko się przesunął ku rozmawiającym. Mimo to nadal nic nie rozumiał. Naraz Tropiciel szarpnął się pod jego skórą. Fiołkowy aromat magii podrażnił mu zmysły.

– Król zapłaci. – Chudy i łysiejący krasnolud przy sąsiedniej ławie wydawał się być pewnym swego. Mówił w dialekcie z delghartowskich gór, ale teraz Sodi rozumiał go doskonale. – To ponoć jego ulubiona córeczka jest.

– Ta, ponoć. Ponoć to ja jestem piękny jak młody bóg – zachichotał z własnego żartu drugi z krasnoludów, wyjątkowo miernej urody. – Jak mamy dupska narażać, trza nam nieco pewności.

– Noż, przecie jak królownę z rąk smoka wyswobodzimy, to jej ojczulek serca by nie miał, jakby nas bez gotówki odesłał.

– Ta... bo wszystkie króle to takie wrażliwe i serdeczne.

Służka przyniosła miski z polewką, ale Yudherthardere, chociaż chwil kilka wcześniej nie mógł przestać o jedzeniu myśleć, nie zwrócił na nią uwagi. Wstał i podszedł do krasnoludzkiej braci.

– Wybaczcie, szanowni panowie – zaczął w delghartowskim dialekcie, kłaniając się elegancko – przypadkiem usłyszałem, jak o jakiejś królownie prawicie i o smoku coś wspominać. Wielce mnie to zaintrygowało i chętnie bym szczegóły jakiejś poznał.

Trzech krasnoludzkich wojów podniosło głowy znad mis i przyjrzało się pytającemu. Jeden w drugiego wyglądali na straszliwych zabijaków. Każdy brzydki, nie żeby gatunek krasnoludzki w ogóle urodą szczyścić się mógł, każdy chudy i żylasty. Patrzyli gniewnie spod krzaczastych brwi.

– A wyście kto? – warknął jeden.

– Rzeczywiście, nie przedstawiłem się. – Sodi rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. – Jestem Sodi de Gra Yudherthardere.

Yasa uśmiechnął się pod nosem, wiedząc ile kosztuje przyjaciela owo „de Gra”.

Nazwisko Sodiego, a zwłaszcza przydomek, osiągnęły cel. Wojowie rozpromienili się, a radość ta przydała im obliczom jeszcze większej brzydoty.

– Radzimy poznać przedstawiciela tak zacnego rodu. – Łysiejący chudzielec wstał i uklonił się dwornie. – Jestem Treder Ughre, to Erdyn Suher, a tamten milczek to Kry. Nazwiska nie ma, bo go pod karczmą matka porzuciła, jak jeszcze gówniarzem był. Zechcecie do nas dołączyć? Czy też wasza kompania miałaby coś naprzeciwno?

Wszyscy czterej spojrzeli na maga i chudego młodziana, który mu towarzyszył. Likal zajął się zupą, jakby od tego zależało życie, zaś jej nauczyciel grzecznie skinął głową nowym znajomym Sodiego.

– Chętnie z waszego zaproszenia skorzystam, dziękuję. – Dosiadł się do nich. – To o jakiej królownie rozmawialiście?

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– To wy nie na ratunek? – zapytał Erdyn.

– Na ratunek?

– Dyć wszyscy tutaj na ratunek wiosce i królestwu przybyli. Wy nie?

– Nie, my w drodze do Doliny Serbithów jesteśmy. Na służ... znaczy królowej Leonerre jesteśmy przyjaciółmi. Dawno ześmy przez te ziemie nie podróżowali, to i nowin tutejszych nie znamy.

– To i nie wiecie, że się do tutejszej wieży smok wprowadził?

– Smok? Tutaj? Przecież wszystkie smoki...

– Do Itru się przeniosły – zakończył Erdyn. – Też tak ześmy myśleli. Aż tu nagle, z pół roku temu, barany ginąć zaczęły. Potem jakiś dzieciak zobaczył śmigającego pod niebem złotego smoka. Wielka gadzina była. Przeleciała ponad polami i na wieżę wylądowała. Wieża opuszczona od wieków. Mówią, że kiedyś do smoków należała.

– Ale królowna...?

– Bo jak się gadzina baranami napasała, dziewic jej się zachciało.

– A jak wiecie, tego towaru zawsze deficyt – krzywo uśmiechnął się Treder. – A ten tam akurat takie lubił konsumować. No wiecie... konsumować. – Uniósł oblesnie brwi.

– Przymknij mordę, brachu – warknął Erdyn. – Pewnie i chędoży panny, rzygać się chce, jak się myśli, ale potem zżera jak nic. Żadna z czterech nie wróciła.

– Czterech?

– Ano, czterech... I czterech chłopów.

– Chłopów? – powtórzył zniesmaczony Sodi.

– Bo jak te panny smok zabierał, to się chłopaki na ratunek im rzucili. I też żaden nie wrócił. Wreszcie smok porwał królownę. Już z tydzień będzie, jak ją do wieży przytargał. To się też wszyscy zjechali i deliberują.

Yudherthardere pokiwał głową.

– Wszyscy królewskiego złota chcą?

– A niektórym, jak tym młodym Gaalom z Zalasu, jeszcze się ręka królowny i dziedzictwo marzy. Król synów nie ma i wiadomo, że mąż królowny kiedyś tu władać będzie.

– Wy do ręki nie pretendujecie?

Zarechotali głośno wszyscy trzej, nawet milczek Kry.

– Nie, jakoś nam się królowna za żonę nie marzy – odpowiedział Erdyn.

– Pewnie i tak już przechodzona będzie.

– Przymknij się, Treder. Nie godzi się tak o królewskiej córce...

Chudzielec wzruszył ramionami, ale więcej nie komentował. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jakies pomysły już macie? – zapytał wreszcie Sodi.

Odpowiedziała mu cisza. Krasnoludy z taką intensywnością wpatrywały się w swoje wielkie włochate dłonie, jakby istnienie świata, a przynajmniej ich własne, od tego zależało.

– Znaczy macie, ale nie chcecie powiedzieć.

– Nie gniewajcie się, panie – grzecznie przeprosił Erdyn. – Już nas jest trzech do podziału. A w całej okolicy z setka pewnie na ratunek biegnie. Wam, z tego co widzę, złota nie trzeba.

Sodi podniósł się i uśmiechnął.

– Mój drogi, złota nigdy dość. Dziękuję wam za historię i towarzystwo. Trzeba mi jednak wracać do mojej kompanii.

Grzecznie skinęli głowami, nieco tylko zaniepokojeni słowami o złocie. Yudherthardere usiadł obok Pierwotnego Maga, przysunął sobie miskę i zabrał się do jedzenia. Kiedy skończył, spojrzał na towarzyszy i powiedział filozoficznie:

– Tak se, kurwa, myślę, że trza by bidulkę wyrwać z tych smoczych okowów. Żal straszny tak... złoto zostawiać.

\*\*\*

Wieża zaiste robiła wrażenie. Gdyby trzydziestu chłopów wzięło się za ręce i stanęło wokół niej, chyba pierwszy nie zdołałby uchwycić ostatniego. Gdyby zaś stanęli sobie na ramionach, to może, ale tylko może, ostatni sięgnąłby jej szczytu. W zacinającym deszczu, bo tego poranka padało równie mocno, jak poprzedniego wieczoru, ledwie można było ów szczyt zobaczyć. Krasnolud zadarł głowę, przyglądając się budowli. Zmarszczył wielgachny nochał i nerwowo pociągnął sumiaste wąsy. Olbrzymie krople ściekały mu po twarzy, ale tym razem jakoś mu to nie przeszkadzało. Myślał.

Yasa, stojący u jego boku, z lekkim rozbawieniem przyglądał się to Sodiemu, to biegającej wokół wieży podopiecznej. Dziewczyna wymachiwała rękami, zatrzymywała się co kilka kroków, dotykała muru i biegła dalej. Wreszcie wróciła do obu mężczyzn.

– Nie ma wejścia! – krzyknęła.

– Co się tak wydziera? – Wyrwany z zamyślenia krasnolud skrzywił się niechętnie. – Toż ślepi nie jesteśmy. Jakby wejście było, nie byłoby trudności.

– I niby jak wleziemy do środka, żeby tę waszą królową uwolnić? Bo jakoś tak nie widzę was wdrapującego się po tej linie, co to z okna ją ktoś spuścił. Całkiem warkocz przypomina, nie? Jakby ta królowa włosy przewiesiła, żeby jaki książę po nich wlaź, coby ją ratować. – Rozmarzyła się na moment, jakby wspomniała, że jednak jest kobietą. Zaraz jednak trzeźwy osąd zwyciężył, więc dodała: – Ale się dziewczuszka rozczaruje, jak was zobaczy.

Krasnolud tym razem nie skomentował, co wyraźnie świadczyło o intensywności, z jaką pracowała jego mózgowica. Nie odrywając wzroku od szczytu wieży, zrobił dwa kroki w jedną, potem dwa w drugą stronę, pokręcił głową, wzruszył ramionami... Już miał coś rzec, gdy naraz cofnął się gwałtownie.

Potężny gad przysiadł na wierzchołku budowli i zdawał się przyglądać moknącej trójce. Przekręcił łeb, jakby chciał lepiej ich zobaczyć. I krasnolud dałby głowę, że stwór uśmiechał się, patrząc. Sodi błyskawicznie opuścił wzrok. Dziadulo przestrzegał go przed mocą smoczego spojrzenia. Odległość była co prawda spora, ale kto wie, czy i z tak daleka smok człeka nie może zaczarować. Złapał Likal za ramię i pociągnął.

– Nie patrz! Nigdy nie patrz smokowi w oczy! – wrzasnął do niej, a ona, chociaż przekorę miała we krwi, tym razem posłuchała od razu.

Oboje zerknęli na Yasę. Pierwotny Mag patrzył w górę. Wciąż się uśmiechał, mimo że w jego tęczęwkach rozbawienia już nie było. Powoli skinął głową, a smok powtórzył ten gest. Zimne macki smoczej telepatii otarły się o umysł Yasy, bezskutecznie



próbując sforsować jego bramę. Mężczyzna łagodnie pokręcił głową, niemal z rozbawieniem, na co gad wyszczerzył przerażający garnitur zębów w dziwacznym uśmiechu.

Po tej niezwyklej wymianie niemych uprzejmości i ostrzeżeń właściciel wieży wolno rozpostarł skrzydła. Nawet w szarości deszczu złoto łusek uwodziło pięknem, gdy starożytne stworzenie odbiło się i poszybowało w przestworza.

Przez chwilę cała trójka stała w milczeniu.

– Tak se, kurwa, myślę – szepnął lekko drżącym głosem Sodi – że królewna ma tylu wybawicieli... Nas już jej nie trzeba. Prawda, panie Yasa?

Zapytany uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie, drogi Yudherthardere. Właśnie nas jej potrzeba.

\*\*\*

Wrócili do karczmy, do izby, którą uprzejmie wynajął im gospodarz. Sodi przeklinał całą drogę powrotną, dodając jednocześnie do przekleństw prośby. Usilnie bowiem próbował namówić Yasę, by darowali sobie ratowanie królewny. Najwyraźniej smok zrobił na nim ogromne wrażenie.

Pierwotny Mag nie odpowiadał. Kiedy weszli, zamknął drzwi.

– Dajcie pantofelki, Yudherthardere – powiedział, wyciągając rękę.

– Po co? Przecież to tylko buty. Wiecie, że to tylko buty, prawda? Odkąd żeście tego czarodzieja, co to je poprzednio zaklął, do przodków wysłali, są to ino trzewiki i to jeszcze niezbyt wygodne.

Yasa nie odpowiedział, a jego dłoń nie zmieniła pozycji.

– No, dobra, jak se tam chcecie – wzruszył ramionami krasnolud. Wyszarpał z torby parę kryształowych trzewików, tych samych, które ledwie kilka dni wcześniej zabrał ze skarbca pewnej władczyni i podał przyjacielowi.

W chwili, w której kryształ zetknął się ze skórą Pierwotnego Maga, jego oczy zamknęły się ciężko, a ukryty w ciele Sodiego Tropicielel zawył rozpaczliwie. Krasnolud krzyknął i upadł na kolana, rażony siłą uwolnionej bez ostrzeżenia pierwotnej mocy. Powietrze płonęło, spalając płuca Tropicielela. Światło obezwładniało, cięło aż po kości, sprawiało fizyczny ból, niemożliwy do zniesienia.

Naraz wszystko znikło.

– Wszyscy tu obecni czarodzieje w dupie mnie mają – wyjęczał rozpaczliwie Yudherthardere, zbierając się z podłogi. Wyszarpnął zza paska jedwabną, haftowaną chustę i wytarł w nią ogromny nochał. – Nie mogliście to poprosić, żebym wyszedł, ha?

– Przy takim zaklęciu musielibyście ze dwie wioski dalej być, żeby nie czuć, drogi Yudherthardere – nieco tylko przeproszającym tonem wyjaśnił Yasa. Potem odwrócił się do Likal i podał jej trzewiki. – Jeśli nie wrócimy lub jeśli uznasz za konieczne, ale tylko wtedy, założysz te buty, a one przeniosą cię w tam, gdzie będziesz chciała.

– Ale ja chcę z wami. – Dziewczyna schowała ręce za siebie, żeby nie wziąć pantofli.

– Nie pójdziesz z nami.

– Mogę się przydać.

– Dziewczyna ma rację, panie Yasa. Zawsze to dodatkowe źródło czarów.

– Nie pójdzie i koniec – nie podnosząc głosu, kategorycznie oświadczył mag.

– To może ona pójdzie, a ja wezmę te zasrane trzewiki, co? Jakoś te moje człapy w nie wcisnę.

Cała trójka spojrzała na ogromne, szerokie jak patelnie stopy krasnoluda.

– Nie rozumiem was, sami chcieliście ratować królową – cicho zauważyła Likal, bo wobec nieustępliwości swego protektora jakoś straciła ochotę na złośliwości.

Sodi nie odpowiedział. Miał tłumaczyć gówniarze, że nie wierzył w winę smoka? Że sądził, iż królowa z jakimś napalonym huncwotem uciekła z domu i wystarczy tamtego nastraszyć, a wsadzi pannę na koń i odtransportuje do ojca? No przecież się nie przyzna, że prawie popuścił, widząc złotego gada.

– Dobra, ni ma co marnować czasu po próżnicy – westchnął wreszcie. – Jak mamy dupy nadstawiać...

Yasa skinął głową. Wciąż trzymał trzewiki w wyciągniętej ręce. Dziewczyna zacisnęła usta i wzięła je. Potem odwróciła się gniewnie. Przynajmniej starała się, żeby tak właśnie to wyglądało...

\*\*\*

– Nie podoba mi się to, kurwa. We dwóch na takie bydlę. A co będzie, jak smok na waszą magię będzie odporny? – marudził krasnolud, zamykając za sobą wejście do gospody. Deszcz nadal zacinał, ale w tym momencie było to najmniejsze zmartwienie Sodiego. – Toż mój toporek dlań jak pieszczota będzie. Co najwyżej gilgotki będzie odeń miał. Zagilgamy go na amen?

Pierwotny Mag milczał.

– Nie, czekajta, wiem, podbijemy go moim nieodpartym urokiem osobistym. – Krasnolud rozciągnął brzydkie usta w parodii uśmiechu.

– Albo po prostu zagadamy na śmierć – mruknął Yasa.

Yudherthardere obrażony zacisnął usta. Że jednak długo milczeć nie potrafił, a strach zwykle rozwiązywał mu usta w dwójnasób, ledwie kilkanaście kroków uszli, znów zaczął:

– I jeszcze żeście Most w butach zakleli, cholera by to. Nawet jak tam wleziemy, a nie wiem, jak miałyby nam się udać, to jakby nagle spieprzać trza było, nie będzie jak. I dziewczynę zostawiliśmy, a by się przydała. Już wam pokazała, że przednia z niej wiedźma.

Yasa, nie zatrzymując się, spojrział na krasnoluda.

– Jest dzieckiem – powiedział miękko – a ja obiecałem się nią opiekować. Nie narażę jej bez potrzeby.

– Taaa... ale uśpić ją bez zgody to mogliście?

Nie usłyszał jednak odpowiedzi, bo dotarli na miejsce. Zadarł głowę, nieco niepewnie, bo jakoś do widoku smoka nie tęsknił. Gruby sznur, zwisający z samotnego okna na szczycie budowli, rzeczywiście wyglądał jak warkocz. Chwycił go w obie ręce, pociągnął i gwałtownie odepchnął.

– Nie ma, kurwa, mowy, żebym się po tym wspinał. – Pokręcił głową. Rozbujany sznur musnął podchodzącego maga. Ten odsunął się lekko, by pochwycić linę, gdy znów znalazła się w jego pobliżu. Tak jak krasnolud, spojrział w górę, a potem, w przeciwieństwie do przyjaciela, uśmiechnął się.

– Nie zamierzam was do tego zmuszać – powiedział łagodnie. – Wyłączcie Tropicieła, dobrze?

– Przecież wiecie, że tego nie potrafię – zmarszczył brwi Sodi.

– To go stłumcie. Na tyle, ile potraficie.

– Będzie bolało?

– Będzie.

Yudherthardere zamknął oczy, próbując wyciszyć zmysły. Nie te ludzkie, dane mu z urodzenia, lecz te, którymi bogowie obdarowali tylko wybranych z jego rodu. Tropicieł mruczał cicho, niezadowolony, gdy jego pan nakazał mu odejść. Przykucnął w podświadomości krasnoluda, warcząc w oczekiwaniu.

Pierwotny Mag zacisnął palce na ciężkim od deszczu sznurze. Pod jego dotykiem chłód zmieniał się w ciepło, a woda błyskawicznie parowała z konopi. Tropicieł warczał, szarpiąc się na uwięzi. Para unosiła się z sykiem, wciąż wyżej i wyżej. Sznur mienił się światłem płynącym z dłoni Yasy. Naraz Tropicieł zawył jak ranione zwierzę. Krasnolud wrzasnął i skłonił się z bólu.

Jaśniejący warkocz ożył. Wysunął się z dłoni maga. Zakołysał lekko i zatańczył do niesłyszalnej melodii, a potem zaczął się wydłużać, by, jak wąż, zwinąć się, wyprostować i miękko, łagodnym ruchem, owinać wokół obu mężczyzn. Objął ich ciasno, przyciskając jednego do drugiego... I poderwał z ziemi.

Yudherthardere zacisnął oczy. Wciąż krzyczał. Wbił paluchy w sznurową obręcz, nie po to jednak, by się uwolnić – nie wtedy, kiedy od ziemi z każdą chwilą dzieliła go

coraz większa odległość. Złapał sznur w nadziei, że jeśli czar przestanie działać, nie spadnie. Zresztą kto wie, co sprawiło, że kurczowo się trzymał? On sam na pewno nie, bo w chwili, gdy jego stop przestały czuć podłoże, ból powodowany przez magię stał się zdecydowanie mniejszym problemem. Mniejszym niż strach.

Sznur wił się, unosząc ich szybko, bardzo szybko. Ledwie kilka uderzeń serca, choć Sodiemu zdało się to wiecznością. W końcu stopy obu mężczyzn znów trafiły na twarde gruntu. Na parapet okna u szczytu wieży.

Więzy opadły. Krasnolud zamilkł. Kłapnął ciężko na wielkie siedzenie.

– Nigdy, kurwa, więcej... – zaczął, lecz nie skończył, gdyż z wnętrza komnaty odezwał się uwodzicielski kobiecy głos:

– Nie wypada takich słów używać w gościnie, panie de Gra Yudherthardere.

\*\*\*

Pusty kufel uderzył głucho w stół.

– Jak to, kurwa, poszli? – wrzasnął Erdyn. – Miałeś ich pilnować!

– No i pilnowałem! – odkrzyknął Treder. – Najpierw poleźli oglądać wieżę. Z samego rana, we trzech. To żem szedł za nimi, mimo że okulawionego psa wstyd w taki deszcz z chaty wyrzucać. Jeszczem dupę po krzakach chować musiał, co by mnie nie zauważyli. Widzisz, jak mi facjatę pokiereszowały? – Nadstawił policzek ku światłu.

– I takeś w szrankach o gładkie lico stawać nie miał co. Użalasz się nad tą szkaradną mordą jak jaka panna nieruchana.

– Bo, kurwa, piecze, a ty jeszcze ryja drzesz! Pilnowałem, jak we trzech szli! A jak wyleźli z komnaty bez gołowaśa, to żem pomyślał, że tylko na dupy do wsi idą. Przecie by dzieciaka tak całkiem nie ostawili. Widzieliście, jak ten wysoki patrzył na niego. Jak nic... tfu, tfu... gzi się z gówniarzem. Rzygać się chce, jak uczciwy człek pomyśli.

– Taaa... uczciwy... jużes zapomniał, jakieś w górach kozy posuwał?!

– Łżesz!

Rzucili się ku sobie z pięściami, lecz nim padł pierwszy cios, dwie potężne łapy odepchnęły ich od siebie, popychając na podłogę.

– Spokój! – warknął Kry. – Co się stało, to się nie odstanie. Nawet jak poszli królowną ratować, nie powiedziane, że im się uda.

Pozostali przyglądali mu się w milczeniu, nie próbując wstać. Kry mówił rzadko. Ale zawsze mądrze.

– A jak im się uda? – zapytał wreszcie Erdyn. Podniósł się powoli, otrzepując portki, a potem z wahaniem podał rękę Trederowi.

– A jak im się uda – uśmiechnął się wyjątkowo parszywie Kry – to my będziemy mieli coś na wymianę.

– Jak to na wymianę? – Treder wyraźnie nie pojmował.

Za to Erdyn, bo całkiem bystry był z niego krasnolud, pojął w mig. I uśmiechnął się równie szpetnie.

\*\*\*

Smoczyca podeszła do okna. Promienie zachodzącego słońca malowały jej łuski tęczą czerwieni i złota. Sodi pomyślał, że czegoś tak straszego i pięknego jednocześnie nie widział nigdy w życiu. I że, cholera jasna, chyba popuścił ze strachu.

Zielone oczy antycznego stworzenia wyglądały w przerażającym złotym pysku jak dwa łzawe szmaragdy. Kiedy zaś ich spojrzenie spoczęło na krasnoludzie, ten cofnął się gwałtownie.

Kurwa! Zapomniał, co dziadunio prawił! Gapił się w te ślepia i oczu nie spuścił! Pewnie teraz będzie już bezwolnym niewolnikiem! Pewnie gadzina czytała mu w myślach i teraz go zauroczy czy coś! Tropiciel spał, ale Sodi wiedział... O tak, Sodi wiedział, że magia smoków jest inna i jego alter ego jej nie rozpozna. I będzie już taką kukiełką, co to ją na targu widział, a sznurki będzie gadzina ciągnęła.

Cofnął się jeszcze bardziej, uderzając plecami o ścianę. Rozbawiona smoczyca przeniosła wzrok na Pierwotnego Maga.

– Witaj, Yaso.

– Witaj, Deidghe. – Skinął głową.

– Zastanawiałam się, czy mnie poznałeś.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Jakże mógłbym nie?

Podszedł do niej i przesunął palcami po złotej skórze. Pieszczota sprawiła, że szmaragdowe ślepia przysłoniły powieki, a gad westchnął cicho.

Sodi zebrał się na odwagę – bo w sumie już i tak w ślepia wgapiał, więc do stracenia prawie nic nie miał – i odsunął się od ściany... o jakieś pół kroku.

– Kurwa, chyba czegoś nie rozumiem. Znacie się?

– Znamy – odpowiedział mag, nie patrząc na przyjaciela.

– Jesteście, niech mnie osioł wychędoży, po imieniu ze smokiem? I zapomniało się wam, kurwa, wspomnieć? – Irytacja błyskawicznie brała krasnoluda w posiadanie. Co mu zależało? I tak już zapewne był kukiełką smoka...

Deidghe postąpiła krok w kierunku krasnoluda i utkwiała szmaragdowe spojrzenie w jego obliczu.

– Czego? – warknął Yudherthardere.

Smoczyca zamrugnęła zaskoczona i cofnęła się.

– Niesłychane – powiedziała cicho.

– Co? – Zmarszczył brwi krasnolud.

– Naszą gospodynię zdumiał wasz brak spolegliwości, drogi Sodi. Nie dziw się tak, moja droga, to prawnuk Benerii i nosiciel Tropiciele. Nie było szans, byś zdołała użyć na nim Smoczego Spojrzenia.

Prawnuk Benerii i nosiciel Tropiciele wpatrywał się w przyjaciela spod zmarszczonych brwi. Z wolna docierało do niego, co mag powiedział. W jednej chwili strach i zrodzony z niego gniew wyparowały i Sodi uśmiechnął się szeroko.

– No dyć, że nie jakimś tam gadowi mną rządzić. Nie straszne mi smocze oczyska.

– Paszczy i ognia też się nie boicie? – syknęła złośliwie Deidghe.

Sodi ponownie cofnął się o krok, szukając wzrokiem pomocy u Pierwotnego Maga. Ten jednak tylko patrzył.

– Znaczą królowny ratować nie będziemy? – odważył się, mimo wszystko, zapytać krasnolud. – Tak myślę, że skoro się znacie, to pewnie nie będziemy, nie?

– Deidghe? – miękko zapytał Yasa.

Milczała przez chwilę.

– Oddasz nam dziewczynę? – ponowił.

– Którą? – roześmiała się smoczyca. – Mam cztery, ale, obawiam się, daleko im do królewskiego pochodzenia.

– Zeżarłaś królownę?! – wrzasnął Sodi.

– Nie jadam ludzkiego mięsa – odpowiedziała, lekko obrażona.

– Patrzcie ludziska, smok z sumieniem.

– Nie jadam ludzkiego mięsa, bo jest obrzydliwe – wyjaśniła. – A królowny nigdy tu nie było. Z tego, co wiem, uciekła z jakimś parobkiem. Król wolał wersję ze smokiem niż z puszczałką córeczką.

– Ona nie łże, prawda? – wyszeptał krasnolud niemal ze łzami w oczach, bo właśnie rozmyły się jego marzenia o kufierku złota na trudne czasy.

– Nie, nie łże.

– Oż, takie życie, się człowiek namęczy, życie narazi, a tu co? Gównno – westchnął ciężko Sodi, siadając na ławie pod ścianą.

– Nie mogę pozwolić, byście się tak frasowali, panie de Gra Yudherthardere. Nie kiedy jesteście gościem w moim domu. – Smoczyca uśmiechnęła się, po czym krzyknęła śpiewnie w starożytnym języku.

Drzwi komnaty skrzypnęły i do środka weszły cztery młode kobiety. Dygnęły przed smoczycą. Gdyby Sodi przesunął wzrokiem nieco wyżej, niż patrzył, ujrzałby zapewne pustkę w ich oczach. Pustkę wywołaną Smoczym Spojrzeniem.

– Zajmijcie się moim gościem – rozkazała Deidghe.

– O miłosierna bogini cichodajek – jęknął zachwycony krasnolud. Ujął wyciągnięte doń ręce i bez dalszych pytań poszedł za dziewczętami. Drzwi zamknęły się za nimi niemal bezgłośnie.

Smoczyca spojrzała na Yasę.

– Nie czekasz na wyjaśnienia? – zapytała.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i podszedł do wielkiego łoża stojącego na środku komnaty. Usiadł na nim i wyciągnął rękę.

Westchnęła. Nie powiedziała ani słowa, nie użyła zaklęcia, nie było żadnej magii, żadnego dymu, dziwnych aromatów, huków, zaśpiewu. Zmiennokształtność była częścią jej istoty. Jedno westchnienie i złote łuski zmieniły się w burzę włosów, ciało skurczyło i nabrało miękkiej harmonii kobiecych krągłości. Naga piękność podeszła do siedzącego mężczyzny. Ich palce spotkały się i splotły. Mężczyzna delikatnie pociągnął i kobieta opadła na jego kolana.

– Mów – polecił łagodnie.

– Teraz? – zapytała nieco rozpaczliwie.

Pocałował kształtne ramię.

– Teraz.

Zawahała się.

– Potem – szepnęła. Pchnęła, ale Yasa nawet nie drgnął. Pieszczotliwie głaskał udo kobiety, ale spojrzenie miał nieprzejednane.

Westchnęła ponownie.

– To mój dom. Wróciłam i tyle – powiedziała wreszcie.

– Udając służącą w karczmie?

Roześmiała się.

– Myślałam, że nie poznałeś.

– Zawsze miałaś dar znikania. Nie poznałem. Dopiero kiedy zobaczyłem cię na wieży.

Znowu się roześmiała, ale śmiech zamienił się w jęk pod dotykiem palców maga.

– Potem, Yasa, proszę, potem... – wyszeptała, ponownie próbując pchnąć go na łożo.

Tym razem skutecznie.

\*\*\*

Trzech chudych krasnoludów stanęło pod wejściem do izby, w której mieszkał mag z przyjaciółmi. Brzydale o zakazanych gębach pokrytych bliznami, częściowo skrytych pod skudlonymi brodami, z wahaniem wpatrywali się w zamknięte drzwi. Przez

chwile. Gorączka złota i łatwego zysku płonęła w ich żyłach, więc bez pukania spróbowali dostać się do środka. Naparli na potężne drewniane skrzydło. Bezskutecznie. Spojrzeli po sobie. Treder wyszarpnął zza paska toporek i uderzył.

Błysnęło i niewidzialna siła odrzuciła krasnoluda. Trzasnął w przeciwną ścianę i osunął się na podłogę. Pozostali zamarli z rozwartymi ustami, wgapieni w towarzysza. Wreszcie Erdyn powoli podszedł do leżącego. Trącił go czubkiem buta, a nie doczekawszy się reakcji, kucnął przy ciele.

– No, zdaje się, że mamy jednego chętnego mniej do podziału – zauważył po krótkich oględzinach.

Kry spojrzął na drzwi, na których po spotkaniu z krasnoludzkim toporkiem nie zostało nawet draśnięcie, a potem na ciało Tredera. Podrapał się po kudłatej głowie i skrzywił niewesoło.

– Czary – powiedział markotnie.

– Ano, inaczej nie będzie. Ni ma się co do środka pchać, bo żaden królewskiego złota nie powącha. Poczekać trza, może gówniarz sam wylezie. Zaczaić się, o tam – wskazał szeroki filar – i poczekać. Jak dzieciak nie wylezie, to na tamtych będziemy mieć oko. Jak królową z wieży wyszarпали, w łeb się im da i pannicę przejmie.

Kry pokiwał głową w milczeniu, a potem, unosząc brwi, wskazał na ciało Tredera.

– A co? Trza schować gdzieś, żeby nie przyuważyli i rabanu jakowego nie narobili.

Krasnolud bez nazwiska ponownie przytaknął. Jednym szarpnięciem podniósł trupa i ruszył w głąb korytarza, zostawiając przyjaciela na straży.

\*\*\*

Deidghe opadła na pierś mężczyzny, ciężko oddychając.

– Bogowie – ledwie zdołała wyszeptać.

Zaśmiał się cicho i łagodnie zepchnął kochankę w pościel, by samemu znaleźć się na górze. Pieszczotliwie odsunął włosy z jej twarzy i pocałował z czułością.

– Dlaczego porwałaś te dziewczyny? – zapytał, wolno poruszając się między udami Deidghe.

Jęknęła.

– Znowu? Jesteś nienasycony.

– Zmieniasz temat, moja droga. – Uwięził ręce kochanki swoimi dłońmi i ponownie się poruszył.

– Oooch... troszeczkę. Nie każ mi... Oooch...

– Deidghe... – W szepcie, prócz namiętności, bez trudu usłyszała ostrzeżenie.

– Dla chłopców. Za kobietami zawsze idą mężczyźni. Nie patrz tak, kochany. Zegar biologiczny... Wiesz, co to takiego? Potrzebuję ojca dla moich smoczątek. Wróciłam



do domu, zauroczyłam karczmarza, obserwowałam dziewczęta i ich adoratorów. Wybierałam zawsze zdrowych, przystojnych, jurnych i oczywiście gotowych do poświęceń. W moim rodzie co kilka pokoleń trzeba mieszać krew z ludźmi, żebyśmy pozostali zmiennokształtni. Ja jestem tym pokoleniem. – Uśmiechnęła się.

Yasa odsunął się i usiadł. Z jego zimnych oczu nie można było nic wyczytać. Milczał.

– Nie podoba ci się to, prawda? – zapytała lekko zaniepokojona Deidghe.

– Co miałoby mi się nie podobać? Że więzisz wieśniaczki, żeby chędożyć się z ich zauroczonymi chłopami?

– Kiedy tak mówisz, nie brzmi to najlepiej. – Wzruszyła ramionami. – Masz rację, wypuszczę ich. Dzisiaj.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem – zdziwiła się – to też ci się nie podoba?

– Jesteś przy nadziei?

– Nie wiem.

– Dlaczego więc ich wypuszczasz?

– Bo po namyśle stwierdziłam, że wolę ciebie. Wypuszczę ich, a ty zostaniesz ze mną. – Wstała z łoża i owinęła się prześcieradłem. – Bo zostaniesz, prawda?

\*\*\*

Próba włamania, którą krasnolud przyplacił życiem, zdestabilizowała zakłęcie Yasy. Rzęsy Likal zadrżały. Sen rozmywał się powoli, nie chcąc odejść. Dziewczyna wracała do rzeczywistości, walcząc z czarem mentora. Walczyła dzielnie, choć nieświadomie. Wreszcie, z głęboki westchnięciem, młoda czarownica uniosła powieki. Przez chwilę rozglądała się zdezorientowana. Resztki jakiegoś radosnego, szczęśliwego snu wciąż ją przyzywały. Kusily jasnymi barwami, słodkimi dźwiękami, lekkością. Nie pamiętała co prawda żadnego z obrazów, ale z całą pewnością właśnie takie były. Usiadła wolniutko. Przeciągnęła się z uśmiechem.

Naraz fuknęła gniewnie i poderwała się z łożka. Wcisnęła otrzymane od Yasy pantofelki do tobołka i wyszła z pokoju.

Zrobiła ledwie dwa kroki, gdy ktoś złapał ją od tyłu, przyciskając do ust dziewczyny wielką łapę. Szarpnęła raz i drugi, bez efektów. Daremnie próbowała krzyczeć.

– Przestań się wyrywać, gówniarzu – wyszeptał ktoś do ucha Likal – to może oddamy cię w nieuszkodzonym stanie.

Poznała ten głos. Jeden z chudych krasnoludów, z którymi Sodi rozmawiał uprzednio. Potulnie przestała się szarpać i zwiśla na wpół bezwładnie w rękach oprawcy. Czekwała.

Kiedys zapewne byłaby przerażona. Ale Likal nie była już szesnastoletnim zahukanym dziewczątkiem. Była uczennicą Pierwotnego Maga, towarzyszką Tropicielea. I całkiem sprytną panienką.

Jak podejrzewała, krasnolud poluzował uścisk, ufając w posłuszeństwo ofiary. Likal odczekała chwilę, a potem wyrwała się z rąk mężczyzny. Odskoczyła i spojrzała na napastnika. W półmroku, pod ścianą, dojrzała drugiego.

– Odejdźcie – powiedziała spokojnie, mimo że jej serce waliło jak szalone.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli na nią zaskoczeni.

– Bo co? – zapytał wreszcie wyższy.

– Odejdźcie, a nic wam nie zrobię. – Tętno czarownicy zwalniało, oddech się wyrównywał.

Napastnicy gruchnęli śmiechem.

– Toż gówniarz! A cóż nam możesz zrobić? – zapytał niższy. – Pobijesz tymi chudymi piąsteczkami?

– Idźcie, ostatni raz proszę.

– Bo co? – powtórzył krasnolud, postępując krok w jej kierunku.

– To – szepnęła, zamykając oczy.

Jasność wybuchła niczym rodząca się gwiazda. Otoczyła dziewczynę. Zatańczyła wokół niej. Zaraz jednak światło poczęło ciemnieć. Biel zmieniała się w żółć. Żółć w złoto. Mieniące się, błyszczące złoto.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Erdyn, wpatrując się w złotą tubę otaczającą czarodziejkę.

Tuba pękła. Setki złotych iskier posypały się na obu napastników. Zamiast jednak ranić, poczęły lepić się do krasnoludów, do ich skóry, do odzienia, do włosów. Jedna po drugiej przylegały do mężczyzn, a potem do siebie. Płynnie niczym połyskująca maź stopiły się w skorupę. I zastygły.

Likal otworzyła oczy i przyjrzała się dwóm złotym posągom o wyjątkowo szpetnej powierzchowności. Tak, była zdolną uczennicą Pierwotnego Maga. Serce zabiło jej szybciej, gdy mijała nieruchome statuy. Nie ze strachu, ale z podniecenia.

Czas dołączyć do nauczyciela – pomyślała, zakładając trzewiki.

\*\*\*

Zamiast odpowiedzi wstał i zaczął się ubierać.

– Nie zostaniesz? – zapytała.

– Ja nie dam twemu rodowi tej kropli krwi, której potrzebujesz. – Uśmiechnął się smutno, podszedł i pogłaskał policzek kochanki. – Nie mogę.

Ona również się uśmiechnęła.

- A gdybym miała Smocze Ziarno?
- Smocze Ziarno to legenda, moja droga.
- A może to, że Pierwotni nie mogą mieć dzieci, jest legendą?

Roześmiał się ponuro.

- Nie, to akurat sprawdzone.

Zacisnęła wargi i przez chwilę milczała.

- A gdybym jednak miała Smocze Ziarno?

Zmarszczył brwi.

- Gdybyś je miała, mogłabyś mieć dzieci nawet z bezpłodnym bazyliżkiem.

Dlaczego pytasz, przecież wiesz, jak działała jego magia?

- Nie, nie o to... – zawahała się. – Tylko, czy ty... No wiesz... Chciałbyś?

Westchnął.

- Byłoby zbyt potężne.
- Wiem, jakie by było, ale czy chciałbyś?

Pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

- Rozumiem. – Odsunęła się.

I, jak poprzednio, bez huku, bez magicznych aromatów, zaklęć czy rozbłysków zmieniała się w smoka. Płomyki dogorywających świec odbijały się w złotych łuskach, gdy podchodząc do okna mijała Pierwotnego Maga. Kiedy zaś stanęła na szerokim parapecie, odwróciła się i ostatni raz spojrzała na stojącego wewnątrz mężczyznę.

W zielonych gadzich oczach zamigotał cień, którego niestety Yasa nie potrafił odczytać.

– Do zobaczenia, przyjacielu – szepnęła miękko i odbiwszy się, poszybowała w różowiejące wschodem słońca niebo.

W chwili gdy znikwała z oczu maga, między nim a oknem otworzył się portal. Jaskrawa, świetlista obręcz wypełniona czystą bielą, tak intensywną, że tylko Pierwotny mógł na nią patrzeć, nie przymykając powiek. Patrzył więc, marszcząc brwi. Wiedział bowiem, kto przejdzie Mostem do smoczej wieży.

Likal opuściła osłepiającą jasność i podeszła do opiekuna.

- Miałaś poczekać na nasz powrót – zauważył bez emocji.

– Powiedziałeś, że kiedy uznam za konieczne... – zawiesiła głos, zapraszając maga do spojrzenia w swój umysł. – Uznałam za konieczne.

Yasa nie przeprosił. Ona jednak wiedziała, że już nigdy, przenigdy nie zostawi jej samej i bezradnej. Zobaczyła to w krótkim przebłysku lodowatej wściekłości w czarnych tęczęwkach mężczyzny.

- Skoro już ustaliliśmy, że dobrze zrobiłam... gdzie smok i pan Yudherthardere?

– Smok odleciał – odpowiedział niespodziewanie łagodnym tonem, wciąż poruszony obrazem jej wspomnień. – A Sodi...

Nie dokończył, bo wieżą wstrząsnął wrzask. Naprawdę, nie metaforycznie. Ściany zadrżały, grube zasłony przy łożu poruszyły się, nawet stojący na ławie dzban zachybotał się, poruszony przeraźliwym pomieszaniem złości i strachu.

Krasnolud wpadł do komnaty i błyskawicznie zablokował wejście.

– Kurwa! – krzyknął, ledwie łapiąc oddech. – Co z tymi babami?! Najpierw robiły mi takie rzeczy, że... ranusku. – Westchnął z obleśnym rozmarzeniem. – A za chwilę rzuciły się z pięściami. Ten skobel to na pewno utrzyma? – Spojrzał z niepokojem i pomacał paluchami. – Musimy iść. Szybko. No, spierdalamy, raz, dwa. – Rozejrzał się nerwowo. – Co gówniara tu robi? A wasza znajoma gdzie?

– Znajoma? – Zmarszczyła brwi Likal.

– Odleciała.

– Jak to odleciała?

– Znajoma?!

– Odleciała i już nie wróci.

– Skąd wiecie, że nie wróci?

– Bo zdjęła czar z kobiet z wioski. Dlatego im miłość do was minęła.

– A szkoda. – Krasnolud znów się rozmarzył. Walenie w drzwi zaraz go jednak z tych marzeń wyrwało. – To na co czekamy?

Yasa rozejrzał się. Coś nie dawało mu spokoju. Coś bardzo, bardzo nie dawało mu spokoju. Trzask pękającego drewna wyrwał go z zamyślenia.

– Dobrze. Chodźmy. – Podeszedł do dziewczyny i kiwnął na krasnoluda.

Sodi skwapliwie przyjął zaproszenie.

– A przypomniało mi się – powiedział, podchodząc – że dziadunio mi kiedyś o takiej jednej smoczycy powiedział. Ponoć podprowadziła jego stryjowi Smocze Ziele czy coś takiego... Gdzie wy zaś, kurwa, biegniecie? – zapytał wystraszony, bo mag nagle odskoczył od podopiecznej i ruszył do łóżka.

– Panie Yasa?

Pierwotny przerzucił nerwowo pościel, w końcu gwałtownie podniósł materac. I zamarł. A później wolno sięgnął po ukryty tam przedmiot.

– Smocze Ziarno, nie Ziele. – Westchnął ciężko.

Promienie poranka przemknęły przez otwarte okno, by rozświetlić biały kamień na dłoni Pierwotnego Maga. I zgasnąć, skryte w jego zaciskającej się pięści.

## V

### Morski król

Niewielkim stateczkiem ponownie zakolebało. Niebo ponad wzburzonym morzem skrywały ciężkie granatowe chmury, gnające w zastraszającym tempie. Przepychały się między sobą, kłębiły. Raz zdawały się jaśnieć, raz ciemniały niemal po czerń. Szarości i granaty, szarpane wiatrem, walczyły o prym.

Żagiel, zwinięty, gdy rozpoczął się sztorm, rwany podmuchami częściowo uwolnił się ze sznurów. Marynarze pobiegli, by na powrót go zwinąć. Przebiegając obok krasnoluda, pchnęli go na burtę. Uderzył brzuchem i jęknął głośno. Dla każdego, kto znał Sodiego Yudherthardere byłby to jawny znak, że coś jest nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Sodi bowiem, zamiast wydrzeć się na marynarza, puszczając mu w twarz tudzież plecy wiązanek nieprawdopodobnych przekleństw, jedynie jęknął. Złapał brzeg burty, zacisnął na nich grube paluchy i stanąwszy na palcach, wychylił się niebezpiecznie.

Statkiem szarpnęło. Stopy krasnoluda straciły oparcie. Palce poślizgnęły się na mokrym drewnie. Ciało, niczym szmaciana lalka, zawisło pomiędzy pokładem a skłębionymi falami. Przed niechybnym upadkiem uchroniły go mocne ręce przyjaciela.

Yasa pociągnął za poły przemoczonej kurtki Sodiego, ściągając go na pokład. Yudherthardere znowu jęknął i wtuliwszy się w zimne deski, załkał jak dziecko. Po kilku chwilach uniósł głowę i spojrzał na maga.

– Eż, było mnie, kurwa, puścić – powiedział załośnie. – Przynajmniej by mnie już tak nie męczyło. Wyrzygałem wszystkie te delicje, którymiście mnie karmili w porcie i tak dumam, że też i te, co se ino wyobrażałem, że jem. A ciągle męczy i męczy. Nie moglibyście coś poradzić, co?

Yasa nie odpowiedział.

– Jakies zakłęcie rzucić, co by się pogoda wzięła i uspokoiła, co?

– Nie mam takiej mocy.

– Wy? Wy nie macie? Na gównie taki Pierwotny Mag, co se z wiatrami poradzić nie może.

Czarodziej jedynie uniósł brwi.

– I co tak te patrzydła wytrzeszczacie? Przynajmniej byście mnie uspili, jak gówniarę. Se tam, na dole, śpi. Prześni całą wicherę, nic nie będzie pamiętała, a delacje w brzuchu jej zostaną. Czego mnie tak nie zaczarujecie?

– Przecież wiecie.

Wiedział. Mag starał się nie używać na nim magii, bo Tropiciel źle na nią reagował. I po części był na nią odporny.

– Może chociaż spróbujecie? – Sodi poprosił załośnie cicho. – Wszystko będzie lepsze od tego.

Yasa zapatrzył się ponad burtą w horyzont. Zmrużył oczy i zmarszczył brwi. W pomroczości szalejących fal, w ciemności morza i granacie nieba pojawiła się plamka, której oczekiwał. Jaśniejący mały punkt, daleko, daleko przed dziobem, rosnący z chwili na chwilę. Zbliżał się zdecydowanie szybciej, niż statek się poruszał. Nie była to więc skała czy mała wysepka, lecz coś, co, jak i oni, płynęło. I to najwyraźniej na ich spotkanie.

Mag uśmiechnął się i łagodnie spojrział na przyjaciela.

– Nie ma potrzeby – powiedział.

– Nie obrażcie się, ale gówno wiecie. To nie wasze flaki wyrywają się gardłem na zewnątrz.

– Wasze też zaraz przestaną. Poczekajcie.

– Użyjecie mocy? – zapytał z nadzieją umęczony krasnolud.

– Nie ja.

Punkt na horyzoncie zbliżył się na tyle, by można było dojrzeć jego kształty. Potężny biały wieloryb przecinał fale niczym ogromny żaglowiec napędzany siłą wichury, rozpryskując co jakiś czas fontannę wody. Strumień strzelał ku niebu, rozrywając chmury i odsłaniając czysty błękit. Z każdym uderzeniem wielkiego ogona burza cichła, chmury pierzchały, a morze za płynącym zwierzęciem stawało się gładkie niczym tafla szkła.

Mag wyciągnął rękę, a Sodi po krótkim wahaniu przyjął ją, wstając z trudem. Nogi lekko się pod nim ugięły, więc schwyił się burty.

– Co to jest? – zapytał, wskazując płynącego ku nim stwora.

– Nasz gospodarz.

– Myślałem, że gospodarz to ten jednooki dziad, co wydziera się przy sterze.

– Nie, to tylko środek transportu.

Krasnolud zmarszczył brwi i niechętnie zerknął na przyjaciela.

– Jakbyście mi tak, kurwa, więcej mówili...

– Lubię sprawiać wam niespodzianki, drogi Yudherthardere. – Uśmiechnął się miękko Yasa.

– Ale ja tego, psia mać, nie lubię – warknął Sodi. Najwyraźniej rezon, wypluty wraz z zawartością wnętrzości, wracał mu wyjątkowo szybko. Wciąż mocno trzymał się drewnianej barierki, ale na bladej twarzy wykwitła słaba zapowiedź rumieńców. Z mieszaniną gniewu i nadziei wpatrywał się w zmierzające ku nim stworzenie, a konkretniej w jasność, którą za sobą niosło.

– Znaczący płyniemy w gościnę do ryby? – zapytał, lekko tylko zaniepokojony, nie odrywając wzroku od białej plamy. – Tylko nie mówcie, że weźmie nas w jakieś podwodne królestwo. Jakoś, kurwa, skrzela mnie ostatnio zarosły i kiepsko się pod wodą oddycha.

Yasa wciąż się uśmiechał, ale nie odpowiedział.

Tymczasem majtek w bocianim gnieździe zauważył wreszcie nadpływającego wieloryba. Wrzasnął do kapitana. Ten spojrział we wskazanym kierunku i złapawszy potężny harpun, rzucił się ku dziobowi. Nikt, kto widział brzuchatego, prawie łysego, niewielkiego mężczyznę z brudną przepaską na jednym oku nie uwierzyłby, że ten może poruszać się tak szybko. A jednak potrafił. W mig obwiązał się sznurem i wdrapał na dziób.

Statek podskakiwał na falach, wichura szarpała odzieniem żeglarza, deszcz zacinał, uderzając w niską, okrągłą postać. Wszelkie próby zdmuchnięcia mężczyzny z burty na nic się nie zdały. Stał z harpunem w dłoni, balansując na mokrej krawędzi, i wyczekiwał. A potem, w chwili gdy uznał, że magiczne stworzenie znajduje się w jego zasięgu, wziął zamach. Harpun niczym błyskawica przeciął powietrze. Nie dotarł jednak do celu. Pierwotny Mag leniwie uniósł głowę. Nie powiedział ni słowa, jego rysy pozostały nieruchome, a wzrok nadal był nieobecny. Mimo to broń, na którą spoglądał, rozbłysła naraz tysiącem iskier. I rozpadła się na tyleż samo kawałków.

Zdumiony kapitan rozdziawił niemal bezzębne usta. Przez chwilę stał nieruchomo. Zaraz wszakże wrzasnął na stojącego za nim marynarza i ten rzucił się po kolejny harpun. Kiedy jednak go uchwycił, krzyknął z bólu i odrzucił broń.

Sodi uśmiechnął się pod nosem.

– Aleście, niech ja w życiu zamtuzu nie oglądam, szybcy. Nawet nie poczułem. – Wściekłość jednookiego zdecydowanie poprawiła mu nastrój. – Ani za pierwszym, ani za drugim razem.

Yasa również się uśmiechnął. Krasnolud zaś nie wiedział, czy przyjaciel uśmiecha się do niego, czy raczej do białego wieloryba, który właśnie do nich dotarł.

Fontanna wody poszybowała w niebo, rozgarniając chmury. Morze w jednej sekundzie stało się gładkie, a statkiem natychmiast przestało rzucać.

– No, to rozumiem. – Uśmiechnął się szeroko Sodi. Puścił barierkę i po krótkim zastanowieniu podskoczył lekko. Pokład był jak skała. – Zajebicie, kurwa, zajebicie.

Śmiech, który przyniosła woda dudnił, jakby wydostał się z szmaragdowej głębi.

– Słyszę, że przywiozłeś mi, Yaso, słynnego Tropiciele? – ozwał się wieloryb.

Zdumiony krasnolud zmarszczył brwi, gdyż oto na jego oczach olbrzymi biały stwór zmienił się w trytona. Niczym innym być bowiem nie mógł brodaty, długowłosy mężczyzna w sile wieku, zanurzony do pasa w wodzie.

– Witaj, Zerderanie – skinął głową Pierwotny Mag.

– Yaso, przyjacielu. – Tryton uśmiechał się szeroko. – Gdybyś był tak miły i zerknął na to niemiłe jednookie stworzenie, któremu uprzednio wytrąciłeś harpun... Zdaje się, że teraz wasz przewoźnik postanowił zarzucić sieci.

Rzeczywiście, marynarze na rozkaz kapitana rzucili się, by wyławiać z morza magiczne stworzenie. Najwyraźniej pragnienie ewentualnego bogactwa przeważało nad lękiem przed czarami morskich istot.

Mag westchnął ciężko.

– Może nie powinieneś robić takiego przedstawienia, drogi... przyjacielu? – zapytał, patrząc jednocześnie na gotującą się do łowów załogę. Zmrużył powieki, a czar jak westchnienie spłynął z jego warg.

Tropiciele warknął głośno, podrażniony nieukrywaną mocą. A potem zawył rozpaczliwie. Ból eksplodował. Pierwotne zakłęcie rozerwało podświadomość alter ego krasnoluda i, urzeczywistniwszy się, powaliło Yudherthardere.

– Przepraszam. – Yasa łagodnie dotknął ramienia Sodiego. Czarne oczy, pełne wyrzutu, w milczeniu uchwyciły spojrzenie czarodzieja.

– Jesteś, Zerderanie – zaczął zimnym głosem mag, przenosząc wzrok na trytona – winny mojemu przyjacielowi spore zadośćuczynienie. Pamiętaj o tym.

Syren nie odpowiedział, zajęty podziwianiem efektów magii.

Statek zamarł. Czas się zatrzymał, tak dla żaglowca, jak i dla jego załogi. Wszystko stanęło w pół ruchu. Mężczyźni zawisli pomiędzy krokami, ramiona zatrzymały się, rzucając sieć, a ona sama pozostała na wpół naprężona, uniesiona wiatrem, gotowa, by opaść i złapać w pułapkę magicznego króla mórz. Trwała w tej gotowości, zatrzymana pierwotną mocą, tak jak i ludzie ją zarzucający, jak nie całkiem naprężone liny, jak jeszcze przed chwilą szarpany wiatrem żagiel.

– Niesamowite – szepnął Zerderan.

– Ano, kurwa, niesamowite. A jakie w cholere bolesne – wycharczał Sodi, gramoląc się wolno. – Nic ino, psia mać, całuję te dechy. Dupa mnie już pewnie całkiem posiniała i ze trzy dni normalnie nie usiądę. Dobrze, że w morzu żadnych panien ni ma, bo i tak bym se, kurwa, nie poużywał. Najpierw człek bebechy wyrzuje, a potem go magią pasą. Zabić mnie chcecie?

Tryton przeniósł nań spojrzenie przejrzystych błękitnych oczu.



– Słyszałeś, Zerderanie? – W łagodnym głosie maga wciąż brzmiały stalowe nuty.

– Tak, zadoścuczynienie. Będę pamiętał. – Tryton poważnie skinął głową. Potem podpłynął do sznurowej drabinki i uchwycił się jej. Mięśnie na nagich ramionach zagrały, gdy poderwał potężne ciało z wody. Słońce igrało w złocistych łuskach ogona. Płetwa uderzyła o drewno burty, strząsając krople wody, połyskujące niczym diamenty. Ledwie ostatnia kropla spadła na powierzchnię, ogon zmienił się w długie, obdarzone twardymi supłami mięśni nogi. Nagi mężczyzna z łatwością wskoczył na pokład i z szerokim uśmiechem oparł się o nadburcie.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam mój brak odzienia? – zwrócił się bardziej do Sodiego niż do Yasy.

– A co to ja, kurwa, dworska panna, co to mdleje na widok fujarki? Chcecie se klejnoty wietrzyć, wasza sprawa. – Wzruszył ramionami Sodi, ale tak na wszelki wypadek stanął bliżej przyjaciela.

– Dobrze. Słyszałem, że czynny czar rani Tropicieła, więc może przejdźmy do sedna. Co cię do mnie sprowadza, przyjacielu?

– Deidghe.

– Aaach – uśmiechnął się szeroko tryton. – Moja urocza kuzyneczka. Czymże to sobie zasłużyła na twe łaskawe zainteresowanie?

– Kuzyneczka? – Zaskoczony krasnolud rozdziawił usta.

– Smoki i syreny są spokrewnione. Nie mówcie, żeście nie wiedzieli. Taki słynny Tropicieł...? Naprawdę? – Zerderan uniósł brwi.

– No, co? Zdarzy się dziewczica w podmiejskiej karczmie, zdarzy się i mnie czegoś nie wiedzieć, nie?

– Skoro tak mówicie. To co Deidghe tym razem nabroila?

– Powiedzmy, że może mieć coś, co należy do mnie – po chwili zawahania odpowiedział mag.

– Niemożliwe. Moja rodzina nie kradnie.

– Jak to powiedział pan Yudherthardere... zdarzy się i dziewczica w podmiejskiej karczmie – wzruszył ramionami Yasa.

Tryton zadumał się. Powoli wodził nieco nieobecny spojrzeniem po zatrzymanych w pół kroku marynarzach.

– I czego ode mnie oczekujesz? – zapytał wreszcie.

– Chcę ją odnaleźć. Potrzebuję twojej pomocy.

– A jeśli ci pomogę... nie mówię, że to zrobię... ale jeśli pomogę, co z nią zrobisz?

– Wzrusza mnie twoja troska o kuzynkę – uśmiechnął się ironicznie Yasa.

Syren warknął, a uśmiech, który nie schodził mu dotychczas z ust, znikł w jednym momencie.

– Deidghe jest rodziną. Rodzina jest najważniejsza. Nie spodziewam się, by Pierwotny to rozumiał. Przez wieki wytlukliście się do ostatniego. Więzy krwi nic dla was nie znaczą. Dla mnie są wszystkim!

Sodi, który poznał Yasę dobrze... na tyle, na ile można było poznać najpotężniejszego czarodzieja Krainy... w przymknięciu powiek i delikatnym drgnieniu ciała maga dojrzał, jak bardzo dotknęły go słowa syrena. Mimo to, gdy Yasa odpowiedział, jego głos był spokojny jak pozbawiona wyrazu piękna twarz.

– Zapewne masz rację, że nie pojmuje więzów krwi. A w odpowiedzi na twoje poprzednie pytanie: nie zamierzam skrzywdzić Deidghe. Jeśli rzeczywiście zabrała mi to, co sądzę, że zabrała, poczekam i odbiorę, co moje.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– Musisz się mylić – rzekł wreszcie cicho Zerderan, nadal się nie uśmiechając. – Moja kuzynka nie kradnie. Jeśli jednak całkiem przypadkiem weszła w posiadanie twojej własności, a ty zamierzasz jej tylko odebrać to, co i tak do niej nie należy... cóż, pomogę ci.

– No i, jasna rzyć, świetnie! Wy mówcie, gdzie nasza smoczyca, a potem wracajcie sobie w odmęty rznąć jakąś śliczniutką półrybkę, a pan Yasa zrzuci czar, żeby ci tu się ruszyli, a mnie łeb przestał napieprzać.

Tryton skrzywił się, a Yasa, który wciąż nie spuszczał z niego wzroku, uśmiechnął się krzywo.

– To chyba nie będzie takie proste, prawda, Zerderanie?

– Nie ma nic za darmo – potaknął syren. – Skoro masz Tropicielea...

– Nie jestem, kurwa, niczyją własnością!

– Nie jesteście – potwierdził mag.

– Niefortunne sformułowanie, drodzy przyjaciele. Chodziło mi raczej o fakt, że razem podróżujecie. Potrzebuję waszych usług, panie Yudherthardere. Jeśli wy pomożecie mnie, ja pomogę panu Yasie.

W Sodim de Gra Yudherthardere ozwały się naraz wszystkie kupieckie pokolenia, o których szlachetnie urodzeni z jego rodu usilnie próbowali zapomnieć. Błyskawicznie kalkulował, co może osiągnąć, a co stracić. Ile może jeszcze dla siebie i przyjaciela wyciągnąć z tej śliskiej półryby. Już miał coś rzec, lecz gdy spojrział w zimne, przejrzyste błękitne oczy, zmienił zdanie.

– Gadajcie, czego chcecie – warknął.

– Jak już mówiłem, rodzina to dla mnie wszystko. Chcę, byście odnaleźli moją córkę i sprowadzili ją do domu.

– Córkę? A myślicie, że ja co? Węgorz jaki czy flądra, psia jej mać? Wyglądam wam na morskie stworzenie, co to się między skałami śliczniuchno przemyka i rybce gówna

wprawnie omija, ha?

Tryton postąpił ku krasnoludowi, a ten cofnął się odruchowo, bo kiedy morski brodacz patrzył w ten sposób, niechciane obrazy wodnych drapieżników rozszarpujących ofiary zdawały się być jeno pięknym sennym marzeniem.

– Jakby ona, jakeście to ładnie ujęli, rybnie gówna wprawnie omijała w odmętach, na nic by mi wasza pomoc była. Moje głupie dziecko uciekło z morza. Wydumała sobie, że się w człowieku zakochała. Dogadała się z czarownicą z lądu i ta rzuciła zaklęcie, żeby płetwa Orfii zniknęła i nie pojawiała się już nawet w wodzie. Czar musi być cały czas aktywny. Chcę, byście ją odnaleźli. Wy, znaczy Tropiciel, poradzicie sobie bez trudu.

– Pewnie, że poradzę. A jak nie będzie chciała wracać?

– Co?

– No, skoro odeszła, to i wracać może nie chceć. Jak nie będzie chciała, to co mam zrobić?

– Orfia jest syreną! Jej miejsce jest w morzu!

– No, a moje między nogami jurnej panny, a i tak mnie tam nie ma. Czego tak się krzywicie? Dziewczyna może nie rozumieć, że ojce wiedzą lepiej, czego pragnie i gdzie jej miejsce. Siłą, za włosy mam ją tu przytargać?

– Wy ją odnajdźcie, Yasa zdejmie czar, a Orfia sama zechce wrócić. To syrena. Syreny za falami tęsknią bardziej niż wy za udami owej jurnej panny. Kimkolwiek jest ten człowiek, musiał urok na moją córkę rzucić, żadna syrena nie zostawiłaby domu dla człowieka! Wystarczy urok zdjąć i już.

Sodi uśmiechnął się krzywo, ale walczyć nie zamierzał. Bo i co miał powiedzieć półludzkiemu morskiemu drapieżnikowi? Że niejedna kobieta oszalała już dla mężczyzny bez używania przez tegoż magii? Że miłość i pożądanie mają się tak do uroku jak on do cnoty? Spojrzał szybko na przyjaciela, a Yasa ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Zgoda. Odnajdę tę waszą córeczkę, a pan Yasa zdejmie czar.

– A jak wrócicie, wskażę wam drogę do mojej kuzynki.

– Niech i tak będzie.

Skinęli wszyscy trzej w milczącym potwierdzeniu zawarcia umowy.

Zerderan znów się uśmiechał.

– Kiedyś musicie, panie Yudherthardere, zawitać do mojego pałacu. Po owo zadośćuczynienie, o którym Yasa wspominał.

– Jak na lądzie braknie chętnych panien, to może i zawitam – prychnął niechętnie krasnolud. – A teraz jakbyście tak uprzejmi byli i wynieśli stąd swoją bladą dupę i gołe

fistaszki, co by pan Yasa mógł przywrócić porządek... Wdzięcznym bym był wielce, bo mnie zara, kurwa, łeb pęknie.

– Skoro tak ładnie prosicie... – wyszczerzył zęby tryton. – A nie potrzebujecie jakichś bliższych o Orfii informacji?

– Niewiele jest na wybrzeżu czarownic, co takie zaklęcie rzucić potrafią, a i syrena bez ogona, za to czarem woniejąca, też nie jak kurwa w lupanarze... znaczy nie zwykły obrazek. Se poradzę... Wynoście się już.

– Miło było znów cię zobaczyć, drogi Yaso. Skoro jednak Tropiciel tak grzecznie prosi... Chociaż szczerze przyznam, że z tą panną chętnie bym zawarł znajomość. Może w przyszłości. Bywajcie! – ostatnie zdanie wykrzyczał, skacząc już w morze.

– Jaką zaś panną? – zapytał Sodi, rozglądając się.

Yasa nie musiał. Zacisnął zęby. Wiedział, że Likal stoi u wyjścia na pokład, podglądając się i przysłuchując rozmowie. I cholernie go zaniepokoiło, że morski władca też ją zauważył.

Dziewczyna dojrzała gniewne spojrzenie protektora i opuściła głowę. No tak, obiecała nie wychodzić z kajuty. Jakoś ostatnio posłuszeństwo przychodziło jej z trudem. Zresztą on też nie był całkiem w porządku. Może i nie obiecywał, że nie będzie używać na niej magii, ale ona wołała wierzyć, że tylko nie zwerbalizował tej obietnicy. Znów ją uspił! Niewiarygodne! Po tym, co zdarzyło się ostatnio?!

Poderwała głowę i podeszła do przyjaciół.

– Miałas nie wychodzić – chłodno zauważył Yasa.

– A ty nie używać na mnie magii.

– Nigdy tego nie obiecywałem. – Wzruszył ramionami i odwrócił się. – Zaboli, Yudherthardere.

Sodi zacisnął palce na nadburciu i szybko potaknął. Pierwotny wyszeptał zaklęcie. Tropiciel zawył, uderzony mocą. Z zagryzionej wargi krasnoluda spłynęła kropla krwi.

Czas, zatrzymany magią, ruszył. Ciszę wypełniły krzyki marynarzy. Wiatr szarpnął żaglem, a sieć wpadła w łagodnie kołyszące się fale. Kapitan wrzeszczał na załogę, zupełnie nie wiedząc, dlaczego i po co kazał ją zarzucać. Naraz spojrzenie żeglarza, ściągnięte bezgłośnym rozkazem maga, skrzyżowało się z tęczówkami Yasy. Jednooki zamilkł. Jego bystry dotąd wzrok zmętniał, uwięziony niesłyszalnym poleceniem.

Tropiciel już nie wył, lecz jedynie mrucał niezadowolony. Telepatia Yasy nie raniła go tak, jak zaklęcia. Nie kąsała wściekle, nie drapała, nie szarpała. Nie sprawiała bólu. Sodi czuł ją, czuł Tropiciela, ale mógł już przestać zagryzać usta, puścić nadburcie i spojrzeć na przyjaciela.

– Wracamy? – zapytał chrapliwym głosem.

– Wracamy – potaknął Yasa.

W tej samej chwili marynarze na polecenie kapitana zaczęli zmieniać kurs łajby.

– Idźcie odpocząć, Yudherthardere. Nie powinno już kołysać, a wam trzeba wypoczynku.

– I, kurwa, stałego lądu – westchnął ciężko krasnolud, ale posłusznie ruszył ku zejściówce.

Mag podszedł do burty i spojrzał na pieniaące się fale. Nie zobaczył Zerderana, ale wiedział, że morski król jest gdzieś tam w głębinach. Niedobrze, że zobaczył Likal. Bardzo niedobrze.

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Łagodny wiatr rozwiewał długie jasne włosy i sprawiał, że błękitna suknia miękko tuliła się do kształtów jego podopiecznej. Sodi miał rację, dzieciak dorósł.

Wiatr szarpnął spódnicą, a dziewczyna zachichotała. Podbiegła na dziób i rozwarła ramiona. Podmuchy tańczyły opętany taniec w długich lokach, a Likal śmiała się głośno.

Taaaa, dorosła, uśmiechnął się Yasa, cóż też mu przyszło do głowy.

– To był morski władca – powiedział poważnie, podchodząc do dziewczyny, a ona przestała się śmiać. – Spojrzał na ciebie.

– Wielu ludzi na mnie patrzy. – Wzruszyła ramionami.

– Żaden z nich jednak nie jest trytonem. Syreny potrafią... – zawahał się – zdobyć to, czego pragną. A on... Kiedy wrócimy na ląd, będziesz omijała wodne źródła. Żadnych rzek, jezior, strumyków. I oczywiście morza.

Roześmiała się.

– Chyba nie wypłynie spod jakiegoś kamienia i nie porwie mnie płytką rzeczka?

Yasa się nie uśmiechał. Milczał i patrzył. Tak długo, aż Likal również spoważniała.

– Dlaczego? – zapytała wreszcie.

– Woda śpiewa syrenom, a on na ciebie spojrzał.

– Nie rozumiem.

Westchnął. Czasami żałował, że brak mu bezpośredniości Sodiego. Chamskiej, okrutnej, brutalnej łatwości wypowiedzenia.

– Zerderan widzi w tobie kobietę obdarzoną magią. Niewinną, łatwą zdobycz. Dla trytonów jesteś już dojrzała. Na tyle, by zabrać cię w podwodne królestwa i wykorzystać... twoją moc.

Pobladła, słysząc ostatnie słowa. Zrozumiała, co chciał powiedzieć.

– Dobrze – wyszeptała. – Będę omijała wodne źródła.

Przeszła obok niego, ale zaraz się zatrzymała.

– Nie usypiaj mnie więcej – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie mogę ci tego obiecać.

Przez chwilę wyglądała na chętną do kłótni. Tylko przez chwilę. Później potaknęła smętnie i ruszyła za Sodim. Wiatr ponownie przytulił suknię do jej sylwetki, a patrzący na nią Yasa zmarszczył brwi.

\*\*\*

Większość czarownic, jakie poznał Sodi, zatrzymywała czas, by aż po koniec swego życia wyglądać młodo i atrakcyjnie. Używały swoich wdzięków równie często jak magii, czasami nawet z dużo lepszym skutkiem. I owszem, poznał też takie, które przeciwnie, od wczesnej młodości starały się wyglądać na staruszki, by powaga ich wyglądu przyciągała klientów. Oczywiście tych było zdecydowanie mniej, albowiem czaru postarzania, raz użytego, cofnąć się ponoć nie dało.

Widywał więc Sodi wiele różnych czarownic, lecz ta, do której przywiódł go Tropiciel w poszukiwaniu małej syrenki... ta różniła się od wszystkich.

Nie była śliczną młódką, nie była też dojrzałą pięknoską, a i do staruszki było jej daleko. Kobieta, która otworzyła im drzwi, była niezbyt urodziwa, w średnim wieku, z niewielką tuszą i przerzedzonymi długimi włosami, uczesanymi w dwa chude warkocze.

– Czego? – zapytała niegrzecznie, stając w progu ubogiej chaty, do której zapukali.

– Wasza krewna? – Yasa uśmiechnął się lekko, spoglądając na krasnoluda.

Yudherthardere wzruszył ramionami.

– No? – Poirytowana kobieta chwyciła się pod boki. Niewyczuwalna dotąd aura magii z wolna zaczęła wymykać się jej spod kontroli i drażnić Tropiciele. To zaś podenerwowało Sodiego. Tak jak czarownica, złapał się pod boki i stanąwszy naprzeciw niej na rozstawionych szeroko nogach, warknął:

– Czego wrzeszczy, ha? Za potrzebą przyszliz, kurwa, a co, nie wolno? Informacji nam trza. Złotem płacić będziem. Złoto się przyda, nie? Pałace toto nie są, a i odzienie mogliby zmienić.

– I co? Jak wy miałabym w jedwabiach paradować? We wiosce jedwabie niewygodne, łajnem szybko przechodzą. A dom się mnie podoba. Po ojcach mam. Nie w smak wam, to możecie gdzie indziej potrzeby swoje załatwiać. – Cofnęła się, chwyciła drzwi, żeby nimi trzasnąć.

Wzięła zamach, ale wejście nawet nie drgnęło. Zmarszczyła brwi. Przyjrzała się krasnoludowi, potem dziewczynie stojącej obok niego, wreszcie spojrziała na Yasę. Uśmiechał się chłodno.

– Mocne te wasze czary. – Pokiwała głową. – Od moich chyba mocniejsze. Znaczy muszę was wysłuchać?

Mag wolno skinął głową.

– Się zobaczy – powiedziała miękko.

Yudherthardere nie zdołał się uchylić. Stojąc pomiędzy czarodziejami, boleśnie odczuł uderzenie mocy. Wrzasnął i upadł na kolana, podczas gdy Tropiciele pod jego skórą wył rozpaczliwie, kąsany szalejącym wokół piekłem zaklęciem. Kobieta uderzyła uwalniającym czarem elfów. Powietrze zaskwierczało, silny zapach płonącego drzewa podrażnił nozdrza obecnych. Brama drgnęła, a na powierzchni kiepsko oheblowanego drewna zatańczyły ogniki. Czarownica szarpnęła, ale ponownie nieskutecznie. Uśmiechnęła się krzywo, złożyła palce i wyszeptła zaklęcie. Promienie jak długie świetliste sztylety pomknęły ku Pierwotnemu. Patrzył na nie z chłodnym rozbawieniem. A potem łagodnie uniósł dłoń.

– Moja kolej – szepnął.

Niewidzialna tarcza pochłonęła magię czarownicy. Jaśniejące łuny zgasły dużo szybciej niż zapłonęły, tuż przed uniesioną ręką Yasy. Mag nie wypowiedział zaklęcia, ale to z całą pewnością za jego sprawą naraz rozszumiał się wiatr. Gwałtowne podmuchy rwały zgrzebne odzienie kobiety. Na niebie nie było ni jednej chmury, liście stojącego przy domu rozłożystego dębu nawet nie drgnęły. Jedyne w okolicy powiewy szarpały ledwie utrzymującą się na nogach przeciwniczką Pierwotnego. Kiedy zaś spróbowała złożyć palce w znak ochronny, mag tylko się uśmiechnął i lekko poruszył drugą ręką. Niewidzialna moc rozwarła ręce czarownicy i, niemal je łamiąc, wyprostowała paliczek po paliczku. Kolejny gest poderwał bynajmniej nie drobne ciało kobiety ponad klepisko i zawiesił tam rozkrzyżowane.

Przez chwilę, w nagłej nienaturalnej ciszy, słychać było tylko pojękiwania krasnoluda.

Yasa przyglądał się zawieszony nad ziemią z dziwnym, okrutnym uśmiechem. Naraz wolno, bardzo wolno zamknął pięść. Kobieta krzyknęła. Niewidzialne więzy zacisnęły się na jej nadgarstkach i wokół kostek. Mag poruszył zaciśniętą pięścią, a sznury, których nie było, zaczęły rozciągać członki zawieszonyj. Czarownica wyła z bólu. Stawy trzeszczały, naciągane do granic możliwości.

W tejsze chwili Sodi, przerażony nieobecny spojrzaniem przyjaciela, zdołał wreszcie przebić się przez Tropiciele. Zaciskając zęby z bólu, szarpnął za ramię Pierwotnego.

– Zabijecie ją! Martwa nic nam nie powie! – krzyknął.

Yasa nie drgnął. Wciąż się uśmiechał, coraz zimniej, a jego oczy stawały się coraz bardziej dalekie. Pierwotny gniew na równi z czarami odciął uczucia.

– Kurwa! Yasa! – krzyczał krasnolud, lecz mimo iż był potężny, nie zdołał wybudzić przyjaciela z magii, tarmosząc go.

Podopieczna czarodzieja, przyglądająca się dotąd w milczeniu całemu zajściu, też przyskoczyła do swego opiekuna. Spojrzała na wrzeszczącą kobietę, potem na

krasróluda, a później, po chwili krótkiej jak mgnienie, lecz jej wydającej się wiecznością, musnęła palcami zaciśniętą dłoń maga. Yasa zamrugał gwałtownie, jakby naraz wyszedł z głębokiego snu. Szczupłe palce dziewczyny wsunęły się miękko w zaciśniętą pięść, a ich dotyk nie tylko rozprostował dłoń mężczyzny, ale przede wszystkim wyciszył czar. Niewidzialne więzy opadły, a kobieta ciężko runęła na ziemię. Naraz wszystkie zaklęcia znikły i nastąpiła cisza, przerywana jedynie pojękiwaniem rannej.

Mag zmarszczył brwi i z zastanowieniem wpatrywał się w Likal. Dziewczyna cofnęła rękę i, nie patrząc na opiekuna, podeszła do leżącej. Nie chciała, żeby mężczyźni dostrzegli, jak bardzo się przejęła. Kucnęła przy czarownicy.

– Dacie radę wstać? – zapytała łagodnie.

– Nie wiem – z trudem odparła kobieta. Kiedy jednak złapała podaną przez dziewczynę rękę, poczuła, jak błyskawicznie wracają jej siły.

I podobnie jak poprzednio Pierwotny, z zastanowieniem przyjrzała się Likal.

Nawet krasnolud, uwolniony od bólu magii i niezwykle jak na niego milczący, wpatrywał się w dziewczynę.

– Będziecie się tak na mnie gapić? – zapytała Likal, jednocześnie poirytowana i wystraszona.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Skoroście się tak grzecznie zapowiedzieli – przerwała wreszcie ciszę czarownica – zapraszam do środka.

Odsunęła się, wpuszczając przodem dziewczynę i ruszyła za nią. Jednak gdy tylko obie przekroczyły próg, błyskawicznie zatrzasnęła drzwi, blokując je skoblem.

– Co robicie? – zapytała Likal.

Zamiast udzielić odpowiedzi, kobieta padła na kolana tuż obok gościa. Uniosła wysoko ręce.

Stojący przed domem krasnolud ponownie krzyknął z bólu. Tropiciel zawył.

Czarownica uderzyła rozcapierzonymi dłońmi w klepisko i nie czekając na efekt, szybko wstała.

– Co...? – zaczęła dziewczyna.

Podłoga rozwarła się bezgłośnie. Strumyk z podziemi wyprysnął kryształową fontanną. Likal cofnęła się, ale gospodyni szarpnęła ją tak, że jednocześnie wdepnęły w źródło. Naraz tafle wody wystrzeliły ku górze, zamykając obie w szalejącym piekle kipieli. Stopy straciły oparcie i magiczne źródło wciągnęło kobiety. I chociaż ledwie chwilę zajęło Yasie wyważenie drzwi, znalazł się w środku, gdy ostatnia kropla zniknęła pod ziemią. Izba zaś była pusta.



\*\*\*

Fale opadły raptownie. Rzucona na skały Likal boleśnie zraniła łokcie i kolana. Krztusząc się, z trudem łapała oddech. Woda strumieniami spływała z jej włosów, a mokre odzienie, przykleiwszy się do ciała, tamowało ruchy. Podniosła głowę i rozejrzała się wokoło.

Obszerną jaskinię rozświetlały pochodnie, igrające w złocie zgromadzonym przy ścianach.

– Podoba ci się, moja droga? – Miękki, przywołujący na myśl aksamity z zamku Serbithów głos należał do nagiego mężczyzny, leżącego na wyłożonej poduchami sofie.

Nie odpowiedziała. Spojrzała za to na czarownicę.

– To ma być wasza wdzięczność za uratowanie życia? – zapytała schrypniętym głosem.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przywiodłam wam magiczną pannę – zwróciła się do leżącego. – To wyrównuje nasze rachunki.

Mężczyzna wstał. Nieskrępowany nagością, podszedł do Likal. Nachylił się nad dziewczyną, zaciągając się jej wonią.

– Ano, magiczna – uśmiechnął się – i, z tego co wiem, należy do Pierwotnego Maga.

– Nie należę do nikogo! – warknęła dziewczyna.

– A Pierwotny Mag – kontynuował Zerderan, ignorując ją – nie lubi, kiedy zabiera się mu jego zabawki. Zapewne się o nią upomni. I zapewne nie będzie przy tym miły. Dlaczego więc sądzisz, że nasze rachunki są wyrównane?

W spojrzeniu czarownicy pojawił się taki strach, że mimo gniewu Likal poczuła również współczucie. Kobieta cofnęła się o krok.

– Ona pokonała moc Pierwotnego – wyszeptała łamiącym się głosem.

– Naprawdę? – zainteresował się tryton. Pochylił się tak, że jego spojrzenie znalazło się na wysokości oczu Likal. – Może więc jednak ją zatrzymam.

– No, na pewno. – Wydęła usta dziewczyna.

– Na pewno – szepnął morski władca.

I zaśpiewał. Delikatna melodia zadrżała w ścianach jaskini. Unosiła się i opadała, rozgrzewając chłodne powietrze. Płynęła niczym żywa, niemal widoczna, wsuwała się porami w schłodzone ciało, a potem wraz z krwią rozgrzewała, rozpalała...

Portal wybuchł nagle. Rozświetlił grootę porażającą jasnością, ale nie przerwał pieśni. Mag nie wyszedł, lecz wyskoczył ze światła.

– Przestań! – Podniósł głos, słysząc śpiew. – Milcz!

– To niczego nie zmieni – niemal radośnie odpowiedział tryton. A mimo iż mówił, pieśń wciąż drżała. – Ona słyszy śpiew. Należy już do mnie.

– Ona nie należy do nikogo – warknął Yasa.

Uniósł dłoń. Z długich palców wystrzeliły płomienie i uderzyły w morską władcę. Nie zdołał się uchylić, ale błyskawice, zamiast spalić jego ciało, jedynie przypaliły skórę i odrzuciły go tak, że uderzył plecami w ścianę. Pieśń wciąż trwała.

– Ucisz to, do cholery!

Tryton podniósł się wolno.

– Nawet jeśli mnie zabijesz, nie pokonasz morskiej melodii – powiedział. – Dziewczyna jest już nasza.

Yasa spojrział na Likal. Pieśń rozjaśniła jej twarz, grała w żyłach, rumieniąc policzki, drząc na długich rzęsach. Podszedł do niej, złapał za rękę. Była lodowata i jednocześnie parzyła.

Czy to był strach? Nie, Pierwotny nie boi się niczego.

– Skoro tego chcesz... Zobaczmy. – Nie puszczać dziewczyny, podniósł rękę.

Moc odpłynęła, nim uderzył. Umknęła przez skórę złączonych palców. Bezgłośnie i bezboleśnie, falą ciepła wraz z oddechem. Dokładnie poczuł moment, gdy podopieczna zaczerpnęła jego magii, by wzmocnić swoją. By wzmocnić swoją.

Pieśń zamilkła. Długie rzęsy zatrzepotały, spojrzenie błękitnych oczu nabrało ostrości. Likal uśmiechnęła się.

– To niemożliwe – wyszeptał zszokowany Zerderan. – Nikt nie potrafi oprzeć się morskemu wezwaniu. Należysz do mnie.

– Jak już powiedział mój nauczyciel – odparła dziewczyna nieco tylko schrypniętym głosem – nie należę do nikogo.

Tryton postąpił o krok. Yasa pociągnął młodą czarownicę za siebie i stając przed nią niczym żywa tarcza, uśmiechnął się lodowato.

– Nie – powiedział tylko jedno słowo, ale ton głosu i towarzyszące mu spojrzenie zatrzymało morską władcę w miejscu. Zerderan zacisnął zęby i z wściekłą bezradnością wpatrywał się w gości.

– Nie będziemy nadużywać twojej uprzejmej gościnności – skinął głową Yasa. – W tej sytuacji uznajmy, że nigdy nie zawieraliśmy żadnej umowy.

– Przekażę Deidghe, że jej szukasz – w głosie trytona czaiła się groźba.

Mag uśmiechnął się.

– Nie omieszkaj też dodać, że zawsze odbieram, co moje.

Łagodnie pchnął dziewczynę w jasność Mostu, by postąpić za nią. Światłość zgasła.

Wściekły Zerderan podszedł do przerażonej, milczącej czarownicy.

– Lepiej, żebyś potrafiła zwrócić mi córkę – wyszeptał – bo nasze rachunki z całą pewnością wyrównane nie są.

\*\*\*

Sodi siedział przed domem czarownicy, gdzie zostawił go Yasa. Nie wstał, gdy portal rozbłysnął. Zacisnął zęby, uciszając warczącego Tropicielea.

– Gdzie się człowiek, kurwa, nie obróci, wszędzie czary. Łeb mi pęknie jak nic – wyszeptał. Brak komentarza ze strony Likal sprawił, że podniósł głowę i uważniej przyjrzał się przyjaciółom. – Coś się stało?

– Bo co? – warknęła dziewczyna.

– Eeeee, już nic. Widzę, że wam urok wraca, znowuście taka słodka jak rój pszczołek. Wiecie już, gdzie ta nasza smoczyca?

– Nie.

– Tak jakoś myślałem, że on wam jednak nie powie. Może trza było wymienić nasz skarb – wskazał głową na dziewczynę – na informację.

Jedno spojrzenie Yasy uświadomiło mu, że się zagalopował. Wzruszył ramionami i podniósł się z trudem.

– Dziwne, że jej wezwania nie wyśpiewał. W sumie może i nie dziwne, pewnie się na charakterku poznał.

– Wyśpiewał.

– Jak to? – Sodi zatrzymał się gwałtownie. – To co ona tu robi? Potraficie przerwać pieśń?

– Nie ja. Ona.

Spojrzeli na Likal, która wyciskała wodę z mokrej sukni, udając, że zupełnie nie interesuje się tą rozmową.

– O, kurwa! – szepnął krasnolud.

– Właśnie – przytaknął Yasa.

Patrzył na śliczną podopieczną, której bez trudu udało się wyciągnąć z niego moc i pokonać niepokonane dotychczas zaklęcie. Suknia lepiała się do każdej jej krągłości, niczym druga skóra oblepiała długie szczupłe nogi.

– Właśnie – powtórzył.

Zdjął kurtkę i bez słowa okrył nią ramiona dziewczyny. Potem, również w milczeniu, za to z marsem na czole, ruszył przed siebie. A że się nie obejrzał, nie zobaczył złośliwego uśmiešku na ustach krasnoluda.

## VI

### Ośła skórka

– Osioł, no niech mnie rudy wałach wyrucha – warczał krasnolud, poprawiając się w siodle z, nawet jak na niego, wyjątkowo cierpiętniczą miną. – Zachciało się jaśnie, tfu, tfu, wielmożnej, osła. Widział to kto osła srającego złotem? Gdzie ona się uchowała, ta moja, pożał się boże, królowka, ha? Jak złotem sra, to może brylanty wpierdala na deserek, co? Taaa... a do trawy mu perłowy proszek dosypują, żeby gówienko gładko wychodziło. Bo to ciężka... tak, to dobre słowo, ciężka rzecz być musi, tak złotem fajdać co rano. Ciekawe, czy rzyć mu po tym wycierają, ha? No, szkoda byłoby złotego pyłu, co się potem zsypać gdzieś na łące może z błogosławionej sempiterny. – Poprawił się raz jeszcze i skrzywił okropnie. – O tymże szlachetnym miejscu wspominając... nie idzie się w tym dobrze usadowić, cholera. Jakby i mój zad do złotego wydalania się szykował. Twardo jak na kościstej dziwce. Daleko jeszcze?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, odwrócił się, by spojrzeć na towarzyszy. Yasa patrzył przed siebie z nieobecnym wyrazem twarzy. Nic by w tym dziwnego nie było, gdyby przed nim właśnie nie jechał Sodi na swoim karym, krasnoludzkim kucu. Ktoś mógłby pomyśleć, że z tejże racji mag patrzył na przyjaciela. Otóż nie, Pierwotny spoglądał przez krasnoluda, w dalekie, tylko jego oczom wiadome rejony. I, tego akurat Yudherthardere był pewien, kompletnie nie słuchał utyskiwań brodatego jeźdźca.

Ówże brodacz przewrócił oczami i zerknął na podopieczną czarodzieja. Likal drzemała w siodle smukłej, siwej klaczki. Co jakiś czas podrywała głowę, rozwierała gwałtownie oczy i nieprzytomnie rozglądała się wokoło. Zaraz jednak ciężkie powieki wygrywały, opadając z wolna.

– Ta to ma się dobrze – wymruczał Sodi. – Najtwardsza nawet kulbaka do snu ją kołysze. I pewnikiem, poniektórzy tutaj dupsko gówniarza czarami zabezpieczyli, to i boleć nie będzie. Wcale by mnie nie zdziwiło, jakby i ciż sami obecni barłóg bachorowi w siodle wymościli. Pewnie nawet jakby szkapina turlać się zaczęła, smark by nie wypadł ani się nie potłukł.

Nie doczekawszy się reakcji ze strony owych „obecnych”, westchnął ciężko i boleściwie, a potem wrócił do poprzednich rozważań:

– No bo kto o takim fajdającym precjozami kłapouchu słyszał? Prócz, rzecz jasna, tego wybryku natury, co to durnej królowce doradza. Też głupia baba nie ma kogo

słuchać, tylko elfiego wypierdka. Jakby elfy wiedziały cokolwiek o życiu. Prędzej syrenowi uda się ropuchę wychędożyć, niż elf dobrej rady udzieli. I gdybyż jakimś niezwykłym losu zrządzeniem owemu kutafonowi mieć rację się zdarzyło, gdybyż nawet to biedne oślisko rzyć ozłacało z każdą jutrzeńką, to niby jakże ja miałbym skarbów bezcenny księciu podebrać, ha? Za pazuchę se go wsadzę i udawać będę, że przy nadziei? Albo i lepiej, pod pachami obwiążę i każę się nazywać cycatą pięknoską z miejscowego lupanaru. Gorzej, jak jakiemu gwardziście, co przy bramie stoi, w oko wtedy wpadnę. – Zarechotał z absurdałnej sceny, jaka naraz pojawiła się w jego wyobraźni. Zaraz jednak ponownie się skrzywił, uniósł w strzemionach i rozmasował pośladki. – Nie, no ni ma co gadać, trza odpocząć. Jakby bogowie chcieli, żebyśmy z siodła nie zsiadali, to byśmy się z terlicą w dupie rodzili. – Ściągnął wodze i odwrócił się, spoglądając na towarzyszy. – Ej, panie Yasa! Zatrzymalibyśmy się na chwilę, kulasy by człek rozprostował.

Mag westchnął ciężko i bez słowa zatrzymał wierzchowca. Klacz, której dosiadała dziewczyna, stanęła, jakby ktoś i jej wydał takie polecenie. W chwili kiedy koń zastygł w bezruchu, Likal osunęła się na jego kark, wtulając w grzywę.

– Znowu? – zapytał Sodi. – I jakeście czar rzucili, że Tropiciel nawet nie drgnął?

Yasa uśmiechnęła się łagodnie, patrząc na podopieczną.

– Nie rzuciłem – odpowiedział, nawet nie zerknąwszy na krasnoluda.

Yudherthardere zsunął się z grzbietu kuca. Przeciągnął się, zrobił kilka przysiadów, a potem delikatnie, z namaszczeniem, obmacał tyłek.

– Kurwa – przeklął z boleściwą miną.

Brew maga uniosła się nieco.

– No, co? – Wzruszył ramionami brodacz. – Gówniarz śpi, a i tak nie pierwszy raz by to słyszała. Gdybyście kulbaki dzieciaka nie zaczarowali i gdyby młoda nie zasnęła, sama by pewnie to rzekła. Któż to widział cały dzień bez wytchnienia wierzchem się trząść? Nie można to było Mostu rozpiąć?

– A od kiedyż to jesteście do zaklęć chętni? – zapytał miękko Pierwotny.

– Od kiedy rzyć mam tak obita, że na myśl o chędożeniu rzygać się mnie chce – odwarknął Sodi.

– To faktycznie strasznie boleć musi.

– A śmiecie się, śmiecie. Żadnego współczucia dla skrzywdzonego krasnoluda.

– Pomóc wam?

– Czary?! Teraz?! Jak już wytlukłem zadek, aż łzy mnie z oczu lecą?! Chcecie teraz jeszcze magii na mnie użyć, żebym nie tylko tyłek miał obolały, ale i łeb żeby mi rozsadzało?! Chcecie... – Zamilkł w pół zdania, gdyż Yasa, sięgnąwszy za pazuchę, wyjął słoiczek. Podał go przyjacielowi z leciutkim rozbawieniem.

– Gaalska maść. Ból uśmierzy. Tylko – dodał pospiesznie, widząc jak Sodi błyskawicznie rozsznurowuje spodnie – proszę, zróbcie to w krzakach.

Krasnolud wzruszył ramionami, ale posłusznie poszedł ukryć się w chaszczach.

Wrócił po chwili, z szerokim uśmiechem na brzydkim obliczu. Przyglądał się przy tym z czułością opróżnionemu do połowy pojemniczkowi.

– Niech ja szczenę, niepocheđożywszy wcześniej, cudna ta wasza maść. Ledwie zadek macnęła, a już prawie nie boli. Gaalska, mówicie? Gaale cny naród. Panny zaś u nich takie dorodne, że i smarowidło na bolącą rzyć rzecz potrzebna. – Westchnął. – Aż się mnie do zamtuza zamarzyło. Mam nadzieję, że ludzie w Rodegh niezbyt pobożne i jakiś lupanar się tam znajdzie. To co, jedziem dalej?

Yasa skinął głową, wciąż rozbawiony, ale nie komentował nagłej zmiany w krasnoludzkim nastawieniu. Dosiadł konia i ruszył bez słowa, a za nim klacz niosąca śpiącą Likal.

– No, tośmy se pogwarzyli – pokiwał głową Sodi, dosiadając kuca.

Szybko dogonił pozostałą dwójkę. Głównie dlatego, że wierzchowiec czarodzieja i klaczka jego podopiecznej szły stępa, niepoganiane przez jeźdźców, a konkretnie przez jednego jeźdźca, bo Likal wciąż spała z policzkiem wtulonym w kark zwierzęcia.

Zrównawszy się z towarzyszami, krasnolud przyjrzał się dziewczynie. Spała głębokim snem, z lekko rozchylonymi ustami, z których cienkim strumyczkiem spływała ślina.

– Powiedzcie wy mnie – zaczął Sodi, na co mag westchnął – jakeście to zrobili? Tropiciel czaru nie wyczuł, a mnie się jakoś wierzyć nie chce, że dziewczuszka śpi i z końskiego grzbietu nie bęcnie. Przecież zem nie panna, co ją w las chłop ciągnie, jagody obiecując, a ona po koszyчек do domu biegnie. Rozum swój mam. Coś żeście musieli poczarować, no nie?

Yasa nie odpowiedział.

– Znaczy, niby wiem, żeście w czarach sprawni i te pomniejsze to tak poukrywacie, że ich nie czuję – Sodi zawiesił głos, jakby czekał, że mag zaprzeczy. Nie doczekał się. Pierwotny wciąż milczał, patrząc daleko przed siebie i lekko się uśmiechając. Krasnolud, jednak się nie poddawał i, nie odrywając wzroku od przyjaciela, kontynuował: – Tak tylko zagaić chciałem. Kiedy mnie już rzyć nie boli, to mnie na poważne rozmowy wzięło. To jak będzie? Powiecie?

– Yudherthardere...

– Taaak?

– Rodegh przed nami.

Sodi odwrócił się błyskawicznie.

Rzeczywiście, u końca traktu pojawiły się wysokie mury miasta, do którego zmierzali. Na tle czystego, błękitnego popołudniowego nieba biały tynk błyszczał jak

wypolerowana perła. Na najwyższej wieży powiewał sztandar domu rządzącego miastem, na niższych zaś – poszczególnych szlacheckich rodzin i kościołów. Całość sprawiała wyjątkowo schludne, by nie rzec bogate wrażenie. Zwłaszcza z odległości, która nie pozwalała ocenić ewentualnych odprysków, dziur czy plam na elewacji. Mury były wysokie na kilkadziesiąt, może sto kilkadziesiąt stóp i ciąły się na tak dużej odległości, że Sodi nie widział ani gdzie się za zaczynają, ani gdzie kończą.

Przez chwilę jechali w milczeniu, bo krasnolud z ciekawością przyglądał się rosnącemu z chwili na chwilę przed jego oczyma widokowi. Nie, żeby to było największe miasto, w jakim był – ostatecznie był krasnoludzkim szlachcicem, studiował w stolicy Krainy i na dworze Króla Królów, zwłaszcza od kilku lat, był gościem. Może i nie bardzo mile widzianym, ale przyjmowanym z szacunkiem odpowiadającym jego pochodzeniu. Wielkość miasta nie robiła więc na nim wrażenia. Było jednak coś w obmurowaniu, coś ulotnego, nie bardzo potrafił to określić, co sprawiało, że przestawał wątpić w złotodajnego osiołka.

Czuł bogactwo. Duże bogactwo. Co jak co, ale pieniądź Sodi wyczuć potrafił prawie tak dobrze, jak Tropiciel magię.

– Coście tak naraz zamilkli? – zapytała Likal, prostując się w siodle i przecierając zaspane oczy. – Przecudnie mnie wasze mamrotanie do snu kołysało. Jak mam spać w takiej ciszy?

Krasnolud fuknął na nią, bardziej z przyzwyczajenia niż ze złości.

– Dojeżdżamy, gówniarzu, to i budzić się trza. Nie możesz w porciętach do pałacu wliźć. Nie żeby ci nie pasowały. – Kiedy uśmiechnęła się zaskoczona, uznając jego słowa za komplement, szybko sprostował: – Płaskaś taka, że i dziewczuchy nikt w tobie nie podejrzewa.

Tym razem dziewczę parsknęło. I też raczej z przyzwyczajenia, bo doskonale wiedziała, że w słowach krasnoluda krzty prawdy nie ma. Gdzie trzeba, płaska nie była. Wzrok każdego mężczyzny, no może za wyjątkiem pana Yasy, jej to mówił. Nawet Sodi czasami, gdy myślał, że Likal nie patrzy, przyglądał się jej w ten szczególny sposób.

Spojrzała na opiekuna, szukając u niego potwierdzenia. Skinął głową i uśmiechnął się łagodnie. Nie lubiła, kiedy się tak uśmiechał. Jak... jak ojciec do brzdąca. Jakby nie widział, że ona już dzieckiem nie jest.

– Mam się tu przebierać? Na środku traktu? – warknęła poirytowana.

– Jeśli chcesz. – Wzruszył ramionami Yasa. – Sądzę jednak, że wygodniej będzie ci w gospodzie, w której na noc się zatrzymamy.

– No – przytaknął krasnolud – a i zbiegowiska czynić przy tym nie będziesz.

– Jakiego zbiegowiska? – zapytała, ostentacyjnie rozglądając się wokoło. Na drodze, prócz nich, żywej duszy nie było.

– No, jak się zwierzaki z okolicznych lasów zwiedzą, że się chłopaczysko rozdiewać będzie, zlecają się jak nic. Każdy będzie chciał na taką paradę popatrzeć.

– Taaa, aż dziwne, że dotąd ich nie ma – odszczeknęło się dziewczę. – Przecie już widowisko jest okrutne. Gdzie indziej takiego szpetnego knypla ujrzyć by mogły?

Yasa westchnął, widząc, że Sodi unosi się w strzemionach, by na dziewczynę nawrzeszczyć. Westchnął głośno i wyraźnie. A w tym jednym dźwięku tyle zawarł treści, że pozostała dwójka w jednej chwili zamilkła i głowy opuściła.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– To nie jedziemy od razu do zamku? – nie wytrzymała Likal.

– Przecież ci już pan Yasa rzekł, że nie – ofuknął ją krasnolud. – Trza nam przenocować, języka zasięgnąć, a i wypocząć dobrze. – Uśmiechnął się przy tym tak oblesnie, że nawet nie czytając mu w myślach, młoda czarownica wiedziała, o jakim wypoczynku mówi.

– Faj! – Skrzywiła się gwałtownie, co widząc, Sodi uśmiechnął jeszcze szerzej.

I przestał, dojrawszy spojrzenie maga.

– Się już człek nawet rozmarzyć nie może – pożalił się, ze smutkiem olbrzymim, całemu otaczającemu go światu.

Potem spał kuca i, nie patrząc za siebie, popędził ku miejskim bramom. Do wymarzonego wypoczynku.

\*\*\*

Rodegh, co krasnolud skonstatował nie bez przyjemności, zbyt pobożne jednak nie było. Doliczył się z pięć lupanarów, jeden obok drugiego, w dzielnicy na obrzeżach miasta. Zdać by się mogło, że pięć takich przybytków, ze sobą sąsiadujących, klientelę sobie podbierać może i niezdrową konkurencję stanowić. Nic bardziej mylnego, o czym poinformowany został przez potężnego półogra, stojącego u wejścia do jednego z owych domów. Sam fakt, że w szacownym Oślózłotogównianowie – jak zechciał przemianować miasto w myślach – zatrudniano półbestię przebraną w ociekającą kosztownościami liberię, rozwarł Sodiemu usta i odebrał głos. Krasnolud gapił się więc z niezbyt rozumnym wyrazem brzydkiej twarzy na potężnego odźwiernego, gdy tenże, grzecznie i z uszanowaniem, tłumaczył wielmożnemu gościowi, iż zamtuzy w przyjaźni żyją, albowiem każdy innemu klientowi dogadza, więc o nijakim konflikcie mowy być nie może. Po czym, równie dwornie o preferencje szanownego pana krasnoluda zapytał, żeby wiedzieć, w które miejsce go skierować.



Szanowny pan krasnolud, że mu na chwilę dech zaparło, trudności niejaki miał z wyartykułowaniem, czego od dziewczek by chciał. Półogr więc grzecznie czekał, przywykły, jak widać, do powolności umysłowej panów, w celach konsumpcji do lupanarów przychodzących. Kiedy zaś po chwili Sodiemu intelekt na nowo rozblęsnął tak, że nareszcie wyartykułował, co też zdoła go usatysfakcjonować, odźwierny wskazał mu niewysoki budynek, nad którego drzwiami złote litery układały się w słowa: „Szlacheckie ukontentowanie”.

U drzwi tegoż zamtuza również stał odźwierny. Jednak, o ile półogr w złotej liberii wyglądał jak wielki, wystrojony zielony knur, o tyle smukły i niemłody już elegancik w atlasowym uniformie, zdał się urodzony do bycia lokajem. Kłaniał się nisko i grzecznie, wysławiał elegancko i nawet nie mrugnął, widząc Yudherthardere'a. Jakby każdego dnia, jakiś krasnolud pragnął u nich zaznać szlacheckiego ukontentowania.

Wprowadził gościa do środka, grzecznie udając, że nie widzi zaskoczenia na twarzy klienta. Albowiem Sodi Yudherthardere był zaskoczony. Bywał już w różnych lupanarach: tanich tak, że trzeba było później dwa dni się moczyć i spomiędzy kudeł pchły iskać, ale i drogich, które tylko arystokrację przyjmowały w swe progi, gdzie jedynie użycie przydomka de Gra i ogromna szczodrość otwierały drzwi. W żadnym jednak dotąd nie spotkał się z takim przepychem, blichтром, luksusem.

Szedł więc, ponownie z rozdziawioną gębą. Tym razem jednak jego umysł pracował na wysokich obrotach. Szacował każdy mijany przedmiot, każdy złoty kandelabr, każdą jedwabną zasłonę, każdy kryształowy lichtarz czy zdobioną rubinami wazę.

– Kurwa – wyrwało mu się wreszcie, jednak z pełnym zachwytem uwielbieniem.

Lokaj drgnął, ale nie skomentował. Zaprowadził gościa do olbrzymiej komnaty, w której stały dwa meble. Na środku ogromne, wyściełane jedwabiami i drogimi skórami hebanowe łóżce, inkrustowane – tego Sodi był pewien – czystym złotem. Przy ścianie zaś spora, dwuosobowa i – w tej kwestii również nie miał wątpliwości – wykonana ze złota wanna.

Na jej brzegu siedziała, w przeźroczystym eleganckim peniuarze, śliczna młoda kobieta. Lecz to nie ona przyciągnęła wzrok krasnoluda. Nie młode, niemal doskonałe ciało widoczne pod tiulową tkaniną, nie smukłe, długie nogi ani sterczące krągłe piersi, nawet nie piękna twarz.

Kobieta odkręcała wodę. Woda zaś płynęła z kranów w ścianie.

– Najśłodsza zamtuзова bogini, kanalizacja – z nabożnym zachwytem wyszeptał Sodi. – Musi osioł sra trzy razy dziennie.

Dopiero potem spojrział na dziewczynę. Dojrzał to, co zasłonił mu kupiecki zmysł. I przypomniał sobie, że trza mu dobrze wypocząć.

\*\*\*

Była noc, kiedy Sodi, z błogim uśmiechem na grubych wargach dotarł wreszcie do gospody. Mimo późnej godziny nie musiał dobijać się do drzwi, gdyż siedział przed nimi kilkunastoletni posługacz, najwyraźniej oczekując spóźnionych przyjezdnych. Krasnolud, chociaż hojność nie leżała w jego naturze, rzucił młodzieńcowi dwa miedziaki.

Cóż, był wypoczęty.

Weszli do jadalnej izby. W kominku dogorywał ogień, a i zapachy jadła nieco już wywietrzały.

– Napiłbym się miodu. – Yudherthardere zwrócił się do chłopca, a ten, skinąwszy głową, pobiegł do kuchni. Krasnolud tymczasem rozejrzał się po pogrążonej w ciemności izbie. Jadalnia była dość duża i w dzień zapewne jasna, gdyż nawet nocą przez okna zajmujące pół ściany wpadało słabe światło księżyca. Przy kilkunastu niemałych stołach postawiono wyściełane poduszkami ławy.

Na jednej z nich, w kącie, siedział wsparty o ścianę Pierwotny Mag. W dłoni trzymał kufel, ale Sodi był niemal pewien, że Yasa nawet nie zamoczył ust w trunku.

– Czekaliście na mnie? – Podszedł do przyjaciela i usiadł naprzeciwko niego. – Młoda śpi?

Czarodziej skinął bez słowa, trudno orzec, na które pytanie odpowiadając.

– To i dobrze. Dzięki, synku, naści. – Krasnolud przyjął dzban i w zamian dał posługaczowi kolejnego miedziaka. Potem łyknął solidnie, mlasnął z przyjemnością i otarł wąsy. – Przedni miodzik. Wam jakoś nie smakuje, co? Ano nie dziw, żeście nie przyzwyczajon. No i zmęczeniście. Od czasów smoczycy jakoś żeście chyba nie wypoczęli porządnie, nie?

Brew Yasy powędrowała w górę, ale nieprzejęty tym Sodi kontynuował:

– Nic to. Jutro z rana na dwór się udacie. Tam moc chętnych panien będzie. Ponoć jaśnie wielmożny książę chętnie wypoczywał i kobit u niego całe mnóstwo jest. Mówili mi, że ostatnio mniej się chłopina... – zawiesił głos, szukając odpowiedniego słowa – aktywny... tak, aktywny się mniej zrobił, bo sześć lat już od śmierci jego żonki minęło i postanowił nową wybrać. Dwie podobnie na dworze są, a jedna z nich ma być przyszłą księżną. Bo jak mówią, książę se tak wymyślił, że nowa żona ładniejsza być musi od tej, co mu zesła. Się chłopina naszukał... po wszystkich sąsiednich krainach wici słał. Baby, jak to baby, jedna w drugą myśli, że cudniejsza, to i mu zjeżdżały do zamku, żeby księżną zostać. Niektóre to takie maszkarony, że dzieci nimi straszyć. Że też te ludziska same siebie nie widzą, no. Te dwie, co to zostały, najładniejsze, ale france ponoć, jedna w drugą. No i ma tutejszy pan zgryz straszny, bo się bidulek

zdecydować nie może. – Przyjrzał się magowi i zmarszczył brwi. – Ale wy to już wiecie, co? Ludzie gadali? To czego mi nie przerwiecie?

Yasa uśmiechnął się miękko:

– Powiedzmy, że lubię dźwięk waszego głosu.

– Taaa, a ja jestem cnotliwą kapłanką w bożnicy jurnego bożka Ethona. A wiecie też, że z tym osłem to łgarstwo nie jest? Mają takie bożatko w królewskich stajniach. Złotem i klejnotami defekuje i rano, i wieczorem. Książę dzieli się z miastowymi, stąd zamożność taka. No, widzę, że wiecie. – Znów łyknął miodu i uśmiechnął się. – Trza nam tera wymyślić, jak ową bestyjkę księciuniowi zabrać, tak żeby się nie dowiedzieli, że to nasza sprawka. No, chyba żeście już wymyślili?

Mag wolno pokręcił głową.

– Tak zem podejrzewał. Mnie też się nie uśmiecha. Przecie to zwykłe złodziejstwo będzie. Żeby ta nasza królowka jeszcze ładna była... Się by ją z księciem wyswatało, a wilk byłby syty i owca cała. I może jeszcze ode mnie by się odpieprzyła. A tak? Niby wiem, zem królowce przez Radę dan, niczym jagnię na rzeź, i nawet pierdnąć bez jej zgody... ale kraść? To się nie godzi. – Pokiwał smutno głową i zadumał się nad straszliwością swego losu. Potem jednym haustem opróżnił dzban i otarł usta. – No nic – powiedział, wstając – ni ma co lkać jak dziewoja, co wianek oddała i chce go z powrotem. Jak się człek wyśpi, to i mózgownica pracuje lepiej. Dobranoc, panie Yasa.

– Dobranoc, Yudherthardere.

Mag patrzył za wychodzącym krasnoludem spod zmrużonych powiek. Sodi miał trochę racji. Potrzebował odpoczynku.

\*\*\*

Siedziba księcia również oszałamiała bogactwem. Szli długim, niemal ordynarnie ozłoconym korytarzem, prowadzeni przez unizonego służącego, równie idealnie, jeśli nie lepiej wyglądającego w złotej liberii jak lokaj w „Szlacheckim Ukontentowaniu”. Cała trójka doskonale zresztą pasowała w tej chwili do tego miejsca. Yasa – z wyniosłym, nieobecny spojrzeniem, związanymi w misterny warkocz czarnymi włosami, odziany w śnieżnobiałą koszulę z zaorańskiego jedwabiu i czarne skórzane spodnie, przesyte perłowymi nićmi, zdającymi się świecić własnym blaskiem – prowadził podopieczną. Likal szła równie dostojnie jak jej opiekun. Nikt, kto spojrzałby na piękną młodą damę, elegancko uczesaną, odzianą w szafirową suknię, poruszającą się z gracją i spoglądającą spod skromnie opuszczonych powiek, nie dojrzałby w niej owego zadziornego podlotka z królewskiego traktu, a już na pewno

nie uwierzyłby, że jeszcze rok wcześniej owa panna była podkuchenną w wiejskiej karczmie.

Idący za tą dwójką Sodi wyglądał zaś dokładnie na tego, kim był – zamożnego, szlachetnie urodzonego krasnoluda. Z de Gra przed nazwiskiem.

Służący wprowadził ich do komnaty i poprosił, by poczekali.

Yasa w milczeniu poprowadził podopieczną do wysłanego atlasami szezlongu. Dziewczyna usiadła i przyjęła wystudiowaną, wyuczoną na serbithowskim dworze pozę. Nie podniosła wzroku, by spojrzeć na opiekuna, ale i tak wiedziała, że bawi go takie zachowanie. Poczwała to, jeszcze zanim usiadł obok niej.

Sodi rozejrzał się po komnacie i po chwili zastanowienia usiadł w eleganckim fotelu.

– Ciekawe – powiedział, przesuwając palcami po aksamitnym oparciu – czy tu też z kurków woda płynie?

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, drzwi komnaty otwarły się i wszedł przez nie wysoki mężczyzna w średnim wieku.

– Wielmożny Pierwotny Mag – zakrzyknął w progu. – Wybaczcie, panie, że kazano wam czekać!

– Ledwie chwilę. – Yasa w odpowiedzi podniósł się. – Odźwierny, wasza wysokość, dopiero wyszedł.

– Poznałeś nas, panie? Z obrazów? Monet? Nie pamiętamy, byśmy się wcześniej spotkali.

Mag pokręcił głową uśmiechnięty lekko.

– Nie, nie spotkaliśmy się.

Przez chwilę książę patrzył na Pierwotnego, a potem, jakby nagle zrozumiał, również się uśmiechnął.

– Zapomnieliśmy, z kim mamy do czynienia. – Wyciągnął prawicę do powitania, a Yasa uściśnął ją bez zwłoki. – Powiedziano nam, że przywiodłeś przyjaciół. – Władca spojrział na krasnoluda.

Sodi również się podniósł. Ukłonił się, ale bez unizoności, z dworską manierą, przysługującą jego stanowi.

– Sodi de Gra Yudherthardere – przedstawił krasnoluda mag. – Mój przyjaciel.

– Wasza wysokość... – Skłonił się raz jeszcze brodac, bez mrugnienia przyjmując określenie Pierwotnego, chociaż – lecz to wiedzieli tylko obecni czytający w myślach czarodzieje – wzruszyło go ogromnie.

– Panie de Gra. – Przydomek, którego Sodi tak nie lubił, najwyraźniej zrobił na władcy odpowiednie wrażenie, gdyż i drugiemu z gości książę podał dłoń.

– A to moja podopieczna, panna Likal. – Mag podał rękę dziewczynie i pomógł jej wstać. Młoda czarownica dygnęła elegancko, nie podnosząc oczu, jak kazał obyczaj.

– Wasza podopieczna? – zapytał księżę, przyglądając się młodej kobiecie. W jego głosie brzmiało niedowierzanie i... tak, cień kpiny. – Nie wiedzieliśmy, że Pierwotny opiekuje się tak piękną istotą.

Yasa postąpił krok, ściągając na siebie wzrok mężczyzny. Już się nie uśmiechał.

– Likal jest moją wychowanka i dziedziczką – powiedział twardo.

Dziewczyna drgnęła, ale nie spojrzała na opiekuna. Za to on wpatrywał się zimno w rozmówcę.

Księżę był władcą bogatego miasta, kłaniali mu się możni, nie śmieli się przeciwstawić kapłani żadnej z czczonych w Rodegh religii, a on dotąd żył w przekonaniu, że nie ma nikogo i niczego ponad nim. Gdy jednak spojrzał w błyszczące tęczówki Pierwotnego Maga, zadrżał. Coś zobaczył, coś poczuł. Nie wiedział co, nie był pewien, czy to coś realnego, czy wytwór mocy czarodzieja, ale wizja, którą zapomniał, ledwie ją zobaczył, przyniosła gorycz w ustach i dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Cofnął się o krok.

– Oczywiście, panie Yaso – powiedział grzecznie, odwracając wzrok. Dzięki temu dojrzał, że krasnolud krzywi się gwałtownie i z wyrzutem spogląda na przyjaciela. Nie zdążył się jednak zastanowić, co takie zachowanie oznacza, gdyż drzwi komnaty otworzyły się i weszła elegancko ubrana nastolatka.

Dygnęła, niezaskoczona ani niezawstydzona.

– A oto nasza wychowanica – przedstawił dziewczynkę księżę. – Estre, córka naszej nieżyjącej małżonki. Wskaże wam pokoje i jadalnię. Zapraszamy na wieczorną ucztę. Wtedy pogwarzymy. Każemy usadzić was przy naszej osobie. Teraz musimy was przeprosić. Obowiązki.

Skinął szybko głową i wyszedł.

Tylko z powodu stojącej przed gośćmi księżęcej pasierbicy Sodi nie powiedział, co mu się na usta cisnęło. Od godziny był uprzedzająco grzeczny i zaczynały go już od tego boleć trzewia. I jeszcze od tego, że nadal nie wymyślił, jak dobrać się do złotostolcowatego kłapoucha. Nie pomógł też szybki czar, jaki Yasa rzucił na księcia. Jak zawsze gdy mag czarował w złości, nie osłonił zaklęcia i Tropiciel zawył raniony, a krasnoludzka głowa prawie pękła z bólu.

Z tych to powodów Yudherthardere spojrzał wrogo na nastolatkę. Estre nie przejęła się tym, a przynajmniej nie wyglądała na przejętą. Sama też nie miała zbyt przyjaznego wyrazu twarzy. Podeszła do drzwi i otworzywszy je, powiedziała:

– Chodźcie. – Po czym wyszła.

– No, nie ma co, w dupę uprzejma panienska – warknął krasnolud i od razu poczuł się nieco lepiej. – I rozgadana taka... Musi, panie Yaso, jakaś wasza rodzina, nie?

Mag w milczeniu podał ramię wychowanicy.

– Jeśli sądzić z grzeczności, to raczej ktoś od was – szepnęła Likal do brodacza i wsunawszy rękę pod ramię opiekuna, ruszyła wraz z nim za dziewczynką.

Sodi wyszczerzył zęby, ale że został sam i odpowiedź jego jeno ściany by usłyszały, darował sobie komentarz. Westchnął i pobiegł za pozostałymi.

\*\*\*

Chociaż dni już były ciepłe, a wokoło rozkwitała wiosna, mrok wciąż jeszcze nadchodził wcześniej. Ściemniło się na długo przed godziną wyznaczoną na ucztę, więc Sodi uznał, że to dobry czas na zwiady. Przebrał się w ciemne odzienie, za pas wcisnął toporki – dwa, tak na wszelki wypadek – i ruszył w kierunku królewskich stajni.

Nie, nie zamierzał się skradać. Nie będzie przecie czołgać się w błocie czy końskich odchodach. Nie był jakimś elfim – a niech mu ta trzynoga koza, co się w Dolinie za gówniarą włóczyła, dogodzi – zwiadowcą. Nawet jakby w to błoto pyskiem padł, to i tak dupa wysoko wystawać będzie. Taki już urok szeroko wyposażonych. Uśmiechnął się krzywo, idąc wolno i z godnością pomiędzy zamkowymi zabudowaniami. Rzucić w oczy się nie musi, ale żeby tam zaraz ukrywać...

Mijał poszczególne budynki i krzątającą się przy nich służbę, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, mimo że setki pochodni i świec, płonących przy brukowanych uliczkach, czyniło okolicę jasną jak w dzień. Ciemne ubranie, które założył specjalnie na tę okazję, nie było bynajmniej potrzebne. No tak, był w Oślózłotogównianowie, tu bydłatka sraję złotem, żaden więc wydatek dla miastowych rozświetlić cały zamek. Przekalkulował szybko i wyszło mu, że liczba świec, jaka w tym obejściu płonęła, w Dolinie Serbithów na pół roku by wystarczyła. Wszystko się mu w tym mieście dziwne zdawało. Żaden z posługaczy nawet na niego nie spojrział. A przecie jakby to w jego zagrodzie gówno się w precjoza zmieniało, to by na chwilę nawet oczu z gównodajcy nie spuścił. Tutejsi zaś, jakby nigdy nic, zajęci robotą, w kierunku stajni ni razu nie zerknęli. A i też, jakby złodzieja specjalnie namawiali, co by zabrać zwierzątko spróbował, nad bramą złotą figurę umieścili, niezbyt udaną – jakby w metalu szlachetnym zezowaty metalurg ją odlewał – ale jednak wyraźnie wskazującą, kim jest stworzenie budynek ten zamieszkujące. Drzwi zaś oślego domu otworem stały i ni człeka na straży nie było. Sodi rozejrzał się, marszcząc brwi, bo coś mu strasznie naraz śmierdzieć poczęło. I nie, nie byłaż to woń ze stajenki się niosąca, ale przeczucie jakieś.

Zatrzymał się przed otwartymi drzwiami, oczy przymknął. No, bo jeśli nikt złotodajcy nie pilnuje, znać jakieś zakłęcie chronić go musi. Tropiciel warknął, gwałtownie obudzony. Wyrwał się z krasnoludzkiego ciała, błyskawicznie

uruchamiając nadnaturalne zmysły. Lokalizujące wstęgi wystrzeliły we wszystkich kierunkach, tysiącem odcieni zatańczyły w powietrzu, widoczne tylko dla nosiciela, i pomknęły szukać. Przeczesywały krok po kroku najpierw wejście, drewniane, barwione złotem framugi i próg. Połyskliwe macki pieszczotliwie sunęły po obrzeżach ościeżnicy i bontu, by naraz zanurkować w głąb i nie znalazłszy niczego magicznego, równie szybko się wynurzyć. Tropiciel mruczał cicho, gdy mijał wejście i wsuwał się do wnętrza stajni. Zmysły krasnoludzkiego alter ego płynęły przez pomieszczenie, nie napotykając przeszkody.

I po krótkiej chwili Tropiciel miękko wrócił pod skórę Sodiego. Yudherthardere uniósł powieki. Mars na jego obliczu pogłębił się. A potem krasnolud wolniutko przestąpił próg oślego mieszkanka.

\*\*\*

Likal również wymknęła się z zamku, by obejrzyć osłę. Pomna jednak nauk Yasy i poniekąd także Sodiego, rzuciła proste kryjące zakłęcie, podpatrzone u opiekuna. Nikt nie powinien jej dojrzeć. Dobrze wychowane panienki nie włóczą się bez męskiej opieki po zamkowym dziedzińcu, a już na pewno nie zagląдают do stajni. A ona bardzo chciała tam zajrzeć. Ciekawa była, jak może wyglądać zwierzę, którego odchody taki dobrobyt przynoszą miastu.

Bądźmy szczerzy, nie wierzyła, by to było możliwe. No, chyba że ktoś o mocy zbliżonej do Pierwotnego zakłęcie by rzucił. Wtedy tak, wtedy osioł mógłby złotą kupę robić. Tylko po co? Po co męczyć się aż tak? Przecie to strasznie skomplikowane, takie czary. Dużo łatwiej wypełnić stodołę kamieniami, a potem w szlachetny kruszec je obrócić. Łatwiej i efektywniej.

Dlatego też uznała, że musi, koniecznie musi obejrzyć osiołka. W przeciwieństwie do krasnoluda nie policzyła jednak świec, a jedynie zdziwiła się ich mnogością. Również i ją zdziwił brak ochrony przy budynku, nad którym złociła się szpetna figurka czworonoga.

Podobnie jak Sodi zmarszczyła brwi i z wahaniem przestąpiła próg.

– Kurwa! – wrzasnął Yudherthardere, łapiąc się za kudłaty łeb i gwałtownie rozglądając. Niby nikogo w stajni nie było, ale uderzenie magii podrażniło Tropicielea aż po wysoki, jazgotliwy krzyk. – Co jest?!

– Dyc nie drzyjcie się tak, bo się zaraz pół okolicy zleci – warknęła dziewczyna, cofając zakłęcie i jawiąc się brodaczowi w całej krasie.

– Zduśniałaś, dziewucho?! Nieosłoniętym zakłęciem przez łeb mnie walić?

– A co ja, wieszczka z Delgharthowskiego monastynu? Skąd miałam wiedzieć, że się po stajni włóczycie?

– Przecie mówiłem, że muszę rozeznanie jakowe zrobić.

– No, mówiliście. Myślałam, że na dziwki do zamtuza się wybieracie.

– Pięknie – syknął Sodi. – Jakby się Yasa zwiedziały, jak językiem obracasz...

– To by po was się przejechał, że mnie tak nauczyliście. – Zachichotała, ale jakoś tak bez przekonania, bo pewna swojej racji nie była.

Krasnolud westchnął ciężko, bo on z kolei nie miał wątpliwości co do reakcji maga.

– I po ciężkiego demona Syrthyge łazisz sama po ćmoku? – zapytał już spokojniejszym tonem.

– Osła chciałam obaczyć.

– To i jest. – Wskazał zwierzę. – Stoi. Żre. Możesz wracać.

Zaciekawiona dziewczyna podeszła do czworonoga. Szary osiołek z białą strzałką między oczami stał, jak rzekł Sodi, w dużej zagrodzie wyściełanej świeżym, pachnącym sianem i wolno przeżuwał. Skupiony na tej czynności, ani na chwilę nie podniósł łba, żeby przyjrzeć się gościom, jakby obecność obcych istot w jego obejściu nie była dlań żadną nowością.

Likal powoli podeszła i wyciągnęła rękę.

– Stój! – krzyknął Yudherthardere.

Nie posłuchała go. Pieszczotliwie przesunęła opuszkami palców wzdłuż owej strzałki. Osioł przestał przeżuwać. Wolno podniósł łeb i spojrzał na młodą czarownicę. Przez chwil, krótką jak mgnienie, a jednocześnie nieskończenie długą, ciemne, wilgotne oczy zwierzęcia, wpatrywały się w błękit tęczęwki dziewczyny. I na ten króciutki czas świat stanął w miejscu.

– Lubi was – łagodny głos księcia przerwał magię i świat ruszył na powrót.

Likal odwróciła się i cofnąwszy rękę, spojrzała na stojącego przy drzwiach mężczyznę.

– Wszystkie zwierzęta ją lubią – odpowiedział za nią Sodi. – Ma nawet swoją kulawą kozę, ale to insza historia.

Księżę nie słuchał. Podeszedł do dziewczyny, nie przestając się uśmiechać.

– Zwykle nie pozwala się dotykać – powiedział cicho, ujął rękę młodej czarownicy i pieszczotliwie wodził kciukiem po wnętrzu kobiecej dłoni. Nie wyrwała się, a tylko w milczeniu patrzyła na władcę. Ich oczy się spotkały i mężczyzna drgnął naraz. – Jesteś piękniejsza niż Mirthe – wyszeptał.

– Taaa. – Sodi bezceremonialnie pociągnął dziewczynę, wrywając jej palce z uścisku księcia. – Jest piękna i należy do pana Yasy.

– Jest jego wychowanką – poprawił go mężczyzna, nie odrywając tęsknego spojrzenia od milczącej Likal.

– Zwał, jak zwał. Zachwycony by waszym zachowaniem nie był.



Wydawało się, że władca wybuchnie. Poczzerwieniał, pobladł i znów poczerwieniał. Błysk wspomnienia, które znikło w tej samej chwili, w której rozbłysło, przyniósł gorycz w ustach i dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Macie rację – przytaknął wreszcie niechętnie. – Nie godzi się bez wiedzy opiekuna...

Zdumiony Yudherthardere na chwilę stracił rezon, tak dziwne mu się wydało nagłe przytaknięcie księcia. Może też nie bez znaczenia było, że powrotna fala zaklęcia Pierwotnego przyprawiła Tropicielea o krótki, acz bolesny jęk.

Władca uklonił się głęboko wciąż milczącej dziewczynie.

– Wybaczcie, panienko. Pan de Gra dobrze mówi, niegodne szlachcica takie zachowanie. Odprowadzimy was na pokoje, jeśli się zgodzicie.

– Ja ją odprowadzę, dziękujemy uprzejmie. – Sodi także się uklonił i pociągnął Likal do wyjścia.

Szła posłusznie, nie odwracając się. Gdy zaś znaleźli się poza zasięgiem słuchu władcy Rodegh, dziewczyna pochyliła się lekko i ledwie słyszalnie wyszeptała:

– Nie było złotej kupy.

\*\*\*

Yasa czuł zmęczenie, jakiego nie zaznał... śmiało mógł rzec, że od stuleci. Przyjęcie było hałaśliwe. Nie tylko dlatego, że grajkowie akompaniujący bardowi rwali struny giterny, jakby od tego miało zależeć ich życie, a w szalamają dęli z siłą mogącą rozerwać płuca. Nie dlatego też, że bard wydzierał się na całe gardło, a jego śpiew i towarzysząca mu muzyka współgrały ze sobą niczym cnota z Sodem. I nawet nie dlatego, że goście księcia próbowali przekrzyczeć wątpliwą artystycznie kakofonię dźwięków.

Wszyscy chcieli rozmawiać z nim.

Oto stał się lokalną atrakcją. Dumą władcy, chwającego się, iż gości Pierwotnego Maga, wszechmocnego Pierwotnego Maga. Damy próbowały z nim flirtować, mężczyźni popisywali się oratorstwem. Tylko cztery osoby przy długim stole zdawały się nie pragnąć jego towarzystwa. I to również sprawiało, że czuł się zmęczony.

Nie podobało mu się skupione milczenie Sodiego i Likal. Irytowały gniewne spojrzenia, rzucane przez pasierbicę księcia jego podopiecznej. Najbardziej jednak drażnił go zachwyty w książęcych oczach, gdy ten wpatrywał się w młodą czarownicę. I tylko w nią. Drażnił bardziej niż uniżone, słodkie i czarujące uśmiechy, jakimi darzyły go dwie kandydatki na żonę władcy, bardziej niż ich niby przypadkowe muśnięcia, bardziej niż oczywiste zaproszenie w pochyleniu głowy, w prawie odsłoniętym biuście obu niezaprzeczalnie pięknych kobiet.

Zaprawdę, Sodi miał rację, potrzebował odpoczynku.

Yasa uśmiechnął się odruchowo do szlachcianek.

Naraz wychowanica księcia podniosła się gwałtownie i płacząc wybiegła z komnaty.

– Dzieci. – Westchnął jej ojczym, nie odrywając spojrzenia od siedzącej obok dziewczyny. Likal za to uniosła głowę i spojrzała na opiekuna. Wszedł w jej myśli, odczytał, co chciała mu rzec, a potem odpowiedział w ten sam sposób. I chociaż ascetyczne rysy pozostały obojętne, a spojrzenie maga zdystansowane, naraz poczuł się znacznie mniej zmęczony.

Wstał, a że był atrakcją wieczoru i jego wyjście nie pozostałoby niezauważone, użył szczypty mocy, żeby nikt jego nieobecności nie dojrzał. Szczypty tak malutkiej, że Tropiciel ledwie sapnął, poczuwszy zakłęcie.

Nim wyszedł, spojrzał jeszcze na krasnoluda. Sodi ledwie dostrzegalnie skinął głową.

\*\*\*

Znalezienie nastolatki nie było trudne. Głównie dlatego, że nim wyszła, jej myśli wykrzyczały Likal, dokąd zmierza, a młoda czarownica wskazała drogę opiekunowi. Yasa poszedł więc za dziewczynką do osłej stajenki.

Dziewczynka siedziała na kopce siana w owej cudnej sukience, zbyt dla niej dorosłej, i łkała rozpaczliwie. Po ładnej, drobnej buzi płynęły strumienie łez, rozmazując czernidło, pokrywające wcześniej rzęsy. Szczupłe plecy trzęsły się gwałtownie, a drobne ramiona obejmowały ciasno podkurczone kolana. Nie usłyszała kroków czarodzieja, więc nie podniosła głowy. Zajęta swoją żalością, kiwała się tam i z powrotem, zakłęta w transie sobie tylko znanej boleści. Stojący kilka kroków od niej szary osioł wolno uniósł łeb i beznamiętnie spojrzał na maga. Rozdął chrapy, gdy woń starożytnej mocy musnęła mu pysk, i zarżał cicho. Estre poderwała głowę, a w załzawionych oczach najpierw rozblęśla nadzieja, a zaraz potem gorzkie rozczarowanie.

– Czego chce-ecie? – zatchnęła się pytając.

Yasa podszedł do nastolatki i kucnął o dwa kroki od niej. W milczeniu wyciągnął zza pasa białą chusteczkę i podał płaczącej. Zawahała się, ale przyjęła dar. Wytarła oczy, wysmarkała nos, a potem wyciągnęła rękę, by oddać zabrudzony kawałek materiału. Zaraz jednak, jakby zorientowała się, co robi, cofnęła dłoń.

– Czego chcecie? – zapytała raz jeszcze. – Wysłał was, co? Zauważył, że poszła?

Milczał patrząc, jak nadzieja w dziecięcych oczach gaśnie.

– Zauważył, ale to dla niego bez znaczenia, prawda? – powiedziała cicho, nie czekając odpowiedzi. Pochyliła głowę i pociągnęła nosem. – To powinnam być ja. Powiedział, że będę. Że będę jego królową, za kilka lat. Obiecał mi. Kupił te wszystkie

suknie, dał klejnoty i powiedział, że będę jego. Tylko ja. Tak mówił. Za każdym razem tak mówił. A teraz już na mnie nie patrzy. Szuka nowej żony, a na mnie nie patrzy – zapłakała, ale tym razem cicho, żałośnie.

Pierwotny wolno wsunął się w jej wspomnienia. A im głębiej wchodził, tym mocniej zwierzał usta. Obrazy, których dziecko widzieć nawet nie powinno, a już na pewno nie powinny być jego udziałem, wstrząsnęły magiem. Zacisnął pięści i odetchnął powoli.

– Przyszłam tu, wiecie – sięgnęła za plecy i wyjęła sztylet – żeby zarżnąć tego jego osła, jego dumę. Chciałam, żeby go bolało, jak mnie... Ale wiecie – podniosła wzrok i spojrzała w oczy Yasy – to tylko głupie bydlątko. Niczemu niewinne. Nie mogę skrzywdzić niewinnego stworzenia. Nie mogę. – Załkała znowu, odrzucając ostrze daleko.

– Nie możesz – przytaknął cicho mag. Wyciągnął ramiona, a Estre przyłgnęła doń, płacząc cicho. Długo głaskał jej utrefione włosy, kołysząc delikatnie, aż wreszcie uznał, że trzeba dziecku ulżyć. Uśpił małą prostym zaklęciem i złożywszy ją na kopce siana, przykrył osłą derką.

Może i powinien zabrać dziewczynkę do zamku. To miejsce wydało mu się jednak dużo lepsze dla spokojnego snu.

\*\*\*

Obie szlachcianki siedziały na jego łóżku. Nie, teraz nie wyglądały na szlachcianki. W nagiej kobiecie trudno dojrzeć pochodzenie.

– Chciałem tylko zmienić koszulę – westchnął Yasa, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Podeszły, kołysząc biodrami. Zaprawdę były piękne.

– Naprawdę? – zapytał cicho mag.

Szybko rozwiązywały jego odzienie.

– Nie macie przypadkiem poślubić księcia? – Uśmiechnął się łagodnie.

– Najpierw wy. Wybierzcie lepszą z nas – powiedziała blondynka.

– I podpowiecie księciu – dodała ruda.

Brwi maga uniosły się wolno.

W sumie może trochę poczekać.

Sodi ma rację, potrzeba mu wypoczynku.

\*\*\*

Mający rację krasnolud drzemał pod drzwiami Likal, poirytowany jak cholera. Pan Yasa kazał, to najpierw odprowadził dziewczynę po uczenie, a potem straż pod jej drzwiami całą noc trzymał. Jakby to w Oślózłotogównianowie ktosik się odważył na

pannę Pierwotnego rękę podnieść. A nawet jakby się i poważył, to gówniarz taką moc ma, że napastnik pierdnąc by nie zdążył, a już z jajami w dupie piszczałby niczym rusalka. Ech, nadopiekuńczy ten pan Yasa, ni ma co. Tylko skoro taki nadopiekuńczy, to czego pół nocy z dwiema dziewczkami gził się w komnacie obok, ha? Jemu biedniuteńkiemu zaś zimną podłogę całować kazał.

Ech, smutny los krasnoludzki, gadać ni ma co. Przekreślił się, krzywiąc, bo tyłek bolał go coraz bardziej. W tej samej chwili drzwi komnaty czarodzieja otworzyły się i jedna za drugą wybiegły ze środka chichoczące i rozczochrane szlachcianki.

Yudherthardere warknął wściekle i odwrócił się. Taaa, a jemu, kurwa, posadzkę tulić kazali.

– Wstańcie.

Podskoczył, słysząc nagle tuż za sobą cichy głos Yasy.

– Musicie się tak, do cholery, skradać?!

– Nie podnoście głosu, drogi Yudherthardere. Ranek już, co prawda, ale niektórzy spać by chcieli – miękko powiedział mag, podając mu rękę. Brodacz uchwycił ją i podniósł się.

– Tak, zwłaszcza tacy, co to przez nich jęki i wrzaski dwóch bab pół nocy biednemu krasnoludowi oka zmrużyć nie dały.

– Bo też i krasnolud czuwać miał, a nie oczy mrużyć.

Sodi fuknął, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Wymyśliliście, jak osła zabrać? – zapytał z nadzieją. – Jaceście książęce narzeczone wyruchali, to i chyba nie będziemy najmilej widzianymi gośćmi.

– Nie będziemy – przytaknął Yasa.

– To wymyśliliście – westchnął z ulgą Sodi. – Nie żebym w to złote gówno wierzyć miał, bo coś mi się nie wydaje możliwe, żeby oślina cudnym tym kruszczem defekowała. Coś za mało jej pilnują jak na złotodajcę. Ale królowka chciała osła, to musim osła jej przywieźć. Nie nasza to rzecz, że to, co z niego wychodzi, na ozdobę królewskiej szyi nadawać się nie będzie, nie? To co, zbieramy się? Budzić gówniarza?

– Nie trzeba. – Zaspana Likal stanęła w drzwiach, mrużąc oczy. – Wrzeszczycie tak, że i bogini Tuere przespać by się nie mogła. Wyjeżdżamy? – zapytała, patrząc na opiekuna. Ten przez chwilę milczał, przyglądając się dziewczynie. Wreszcie, jakby podjął decyzję, odpowiedział twardo:

– Pożegnać się pójdziemy.

– He? – krasnoludowi prawie słów brakło. Prawie. – I co jeszcze? Może o oślinę poprosimy?

Yasa uśmiechnął się.

– Właśnie – przytaknął.

I ruszył korytarzem, by poprosić o złotodajnego osiołka.

\*\*\*

Księżę nie spał, gdy Yasa, nie pukając, wszedł do jego sypialni. Stał przy balkonowym oknie i przyglądał się ogrodowi. Bardziej zaskoczony niż zły, że ktoś odważył się wejść do jego alkowy, spojrzął na gości. Zobaczył Likal i uśmiechnął się.

– Witamy. Cóż was sprowadza o tak wczesnej porze?

– O osła przyszłim prosić – wyrwało się Sodiemu. Idąc korytarzem, tak często to powtarzał, że po prostu jakoś samo wyskoczyło mu z ust.

– Słucham?

– Dyć wiecie, tego kłapoucha, co mu z dupy złoto się sypie. – A co tam, już i tak wyjeżdżają, do stracenia nic nie miał, więc mógł walić prosto z mostu, bez jedwabnego pitolenia.

Miał tylko nadzieję, że Yasa ma plan. Spojrzął na przyjaciela... i cofnął się o krok. Oczy maga połyskiwały mrocznie. Rzadko widywał taki wyraz twarzy czarodzieja, ale zawsze oznaczał on kłopoty.

– Drogi Yudherthardere – łagodny ton kontrastował z ciemnym, zimnym wzrokiem Pierwotnego – w tym królestwie nie ma takiego zwierzęcia, to też i księżę twej uprzejmej prośby spełnić nie może. Jest tylko, ukryta w podziemiach, bezkresna kopalnia złota, z której dwa razy dziennie wydobywają kruszec i podrzucają go do stajenki. Prawda, panie?

– Nie wiemy, o czym mówicie – wzruszył ramionami władca, uciekając jednocześnie spojrzeniem. – Radzi jesteśmy jednak, że przybyliście, bo chcieliśmy z wami o ręce waszej podopiecznej porozmawiać.

– Co? – zaskoczona Likal również zapomniała, że powinna grzecznie wzrok opuścić i buzi nie otwierać.

– Jesteś piękna, moja droga. Piękniejsza niż nasza pierwsza żona. Chcemy cię poślubić.

– Nie – warknął krótko Yasa.

– Słucham? – Władca zamrugnął gwałtownie. – Nie słyszeliście? Ożenić się z nią chcę! Będzie księżną! Nie możecie się nie zgodzić!

– Nie!

– Nic mnie nie powstrzyma. Ożenię się...!

– Może ktoś mnie... – Likal nie skończyła, bo Sodi naraz złapał ją za rękę i pociągnął ku drzwiom.

– Kurwa, będzie bolało – wyszeptał, wpychając dziewczynę w kąt za drzwiami i zaciskając powieki.

I bolało. Potężne pierwotne zakłęcie zatrzęsło ścianami, zagrzmiało ogłuszającą kakofonią dźwięków, z których żaden nie współgrał z pozostałymi, wybuchło tęczą barw... i uderzyło w księcia. Dźwięki potężniały, zawodziły jak setki dzikich zwierząt na granicy śmierci. Barwy jak sztylety wbiły się w ciało mężczyzny, poderwały go z podłogi i rzuciły na ścianę. Każdy z przenikających czaszkę kolorów wychodził oczyma i stawał się szary. Barwy jedna za drugą przemykały przez wrzeszczącego coraz głośniejszemu księcia. Naraz krzyk załamał się. I zmienił w jęśliwe:

– I-oooo! I-oooo!

Sodi, wciąż obolały, wychylił głowę i spojrział przez otwarte drzwi.

– No, niech mnie chudy wałach w czubek pocałuje – wyszeptał nabożnie. – Aleście stworzyli cudnego kłapoucha.

\*\*\*

Słońce stało wysoko, gdy trójka jeźdźców opuszczała Rodegh. Żadne z nich nie spojrzęło za siebie, na przywiązane do krasnoludzkiego kuca, pojękującego z cicha osła.

Ośla, który naprawdę robił złote kupy.

## VI

### Lustreczko

Wapień połyskiwał nieskazitelną bielą, mieniąc się szarościami jedynie w załamaniach skał. Czyste, nietknięte chociażby wspomnieniem zieleni bloki rozciągały się nad granicą miasta. Równe, jakby ciosane siekierą szalonego olbrzyma.

Kobieta stała na jednym ze szczytów, wpatrując się w gród i osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem. Wiatr tańczył w rozpuszczonych jasnych włosach, jedynym odzieniu patrzącej, aż wreszcie silniejszy podmuch zachwiał nią. Opuściła ręce i odwróciła się. U jej stóp, w kolebce z wapienia, połyskiwało szmaragdowe jezioro. Porywisty na wierzchołkach gór wiatr nawet nie muskał gładkiej tafli.

Jasnowłosa odbiła się od skały i skoczyła. Wsunęła się w wodę z pieszczotliwą łagodnością, jakby zwolniła tuż przed zetknięciem z powierzchnią. A później zanurkowała, rozgarniając głębię zamaszystymi ruchami. Płynęła szybko i wprawnie, aż jej dłonie dotknęły skalnej ściany. Dopiero wtedy się wynurzyła. Złapała występ i wskoczyła na kalcytową półkę. Przeczesała palcami włosy, odgarniając je z twarzy. Potem pochyliła się nad na powrót gładką taflą. W wodnym zwierciadle odbiła się śliczna twarz. Drobnie palce musnęły powierzchnię, gdy kobieta wyszeptwała:

– Lustreczko, powiedz przecie...

\*\*\*

Krasnolud milczał. Samo w sobie było to zdumiewające, albowiem Sodi milczał rzadko i w bardzo, ale to bardzo wyjątkowych sytuacjach. Nawet jeśli jego usta nie artykułowały żadnych słów, zawsze pojawiały się westchnienia, pojękiwania, przewracanie oczami, kręcenie się w siodle tudzież, jeśli siodła akurat nie było, przytupywanie, szuranie buciorami – słowem wszystko, co tylko mogło zwrócić uwagę towarzysza na skromną osobę małego lorda.

Teraz jednak milczał.

Co więcej zaś, nie tylko żadne, najmniejsze nawet słówko nie skalało krasnoludzkich warg, nie pojawiło się również nic ze zwyczajowo milczeniu towarzyszących, a wyżej opisanych zachowań. Yudherthardere w kompletnej ciszy i z wielce ponurą miną siedział pochylony w siodle swego kuca i trzymając w zaciśniętych paluchach wodze, gapił się przed siebie.

Towarzyszący mu półelfi młodzieniec od dłuższego czasu również się nie odzywał. Jako że był jeszcze bardzo młody i wychowany w mieście przez swego ludzkiego ojca, do głowy mu nie przyszło, że krasnolud może go darzyć niechęcią jedynie dlatego, że widzi w nim elfa. Toteż z początku, ledwie opuścili dwór, chłopiec, uśmiechając się szeroko, wypytywał Sodiego. A to o zwyczajach na dworze, a to o panny, a to o jaśnie wielmożnego Pierwotnego Maga i wreszcie o samego Tropicielea. Z każdym pytaniem niechętnie spojrzenie krasnoluda twardniało coraz bardziej. Zęby zacisnął zaś Sodi tak mocno, że w głębi ducha bać się począł, żeby się nie pokruszyły. Gdyby nie fakt, że dzień był ciepły, by nie rzec gorący, towarzyszy krasnoluda mógłby zapewne dojrzeć też wściekłość, gorącymi oparami buchającą spod odzienia.

Bo kto?! No kto?! Kto, kurwa, wysłała krasnoluda z elfim pomiotem do zaczarowanego miasta?! No, kto?! Pieprzona królowka, niech ją osioł w zadek cmoknie!

I jeszcze Pierwotny zechciał przed kilkoma dniami dupsko gdzieś ruszyć, zostawiając biedniuteńkiego Yudherthardere'a na niełasce jaśniepani i glejłów Krasnoludzkiej Rady. Niby Yasowa podopieczna w zamku została, ale mag zabronił jej pod swoją nieobecność owo siedlisko opuszczać.

Sodi nigdy, ale to nigdy (nawet pod pręgierzem, z gaciami do kolan opuszczonymi) nie przyznałby się do tego, że jadąc u boku półelfiego smarka zatęsknił do Likal. Zatęsknił boleśnie. Prawie tak mocno jak do Pierwotnego Maga, a konkretniej jeszcze do jego mocy, której z całą pewnością będzie potrzebować.

Westchnął rozpaczliwie i zaraz tego pożałował. Chłopiec uznał bowiem ów jęk za zaproszenie do rozmowy. Zbliżył jabłkowitzą klaczkę do karego kuca Sodiego i uśmiechnąwszy się, zapytał:

– A powiedzcie, panie Yudherthardere, to i prawda, żeście morskiego króla poznali i w podwodnym zamku u niego tygodniami gościli?

I właśnie wtedy Sodi de Gra Yudherthardere, który przez ostatnie godziny milczał, bo solennie sobie obiecał, że wściekać się na gówniarza nie będzie, gdyż to przecie ino pacholę, przez burmistrza na pomoc do królowej wysłane i nie jego jest winą, że ojciec spodni na tyłku utrzymać nie mógł na widok długonogiej elfki, co też owym pacholęciem zaowocowało, nie zdzierzył:

– Jasne, kurwa, a teraz męczyć się muszę, skrzela pod koszulą chowając, płetwy w buciory upychając, a pośladki zwieram tak mocno, aż mnie łzy z oczu płyną, żeby mi z dupy strumień wody nie prysnął.

Po czym pognał kuca, zostawiając za sobą zdumionego półelfa.

\*\*\*



Kropelki wody mieniły się, spadając z włosów wprost w szmaragdowe jezioro. Kropla po kropli rozświetlone promieniami popołudniowego słońca wodne diamenty rozbryzgiwały się na tafli, tworząc maleńkie okręgi. Jasnowłosa splotła powoli kędziory w długi, gruby warkocz, a potem zarzuciła na plecy.

Nie spojrzała w zwierciadło. Wiedziała, co zobaczy. Głód, który czuła, na pewno wypalił już swoje ślady. Zacisnęła i wyprostowała długie palce, nawet na nie nie spojrzawszy.

Umierała z łaknienia.

\*\*\*

Gdy dotarli na miejsce, dzień był gorący, a słońce w zenicie, więc fakt, że uliczki opustoszały, nie powinien dziwić krasnoluda. A jednak... Coś niezwykłego tkwiło w ciszy, która towarzyszyła im od chwili, kiedy przekroczyli bramy. Sodi odwiedzał już wymarłe ludzkie osiedla. Gythe ich nie przypominało. Z kominów unosił się dym, a na wąskie ulice pomiędzy ciasno upakowanymi domostwami wymykały się zapachy gotowanej strawy. Ktoś więc mieszkał w tych zamkniętych budynkach, ktoś zaryglował drzwi i okiennice. Niechęć do opuszczania domu Yudherthardere – zwłaszcza ostatnio – pojmował bez trudu, ale za zamkniętymi oknami panowała cisza. Nikt nie śpiewał, nikt nie krzyczał. Jakby całe miasto pograżyło się w sennym letargu.

Przebudzony Tropicielec pomrukiwał w podświadomości krasnoluda. Najwyraźniej i jemu gród nie przypadł do gustu.

Sodi odwrócił się, by spojrzeć na towarzysza. Młodzieniec drzemał w siodle. Nie był to jednak spokojny sen. Półelf kręcił się, szarpał, to ciągnął, to znów luzował wodze, wprawiając jabłkowitą klaczkę w rosnące rozdrażnienie.

– Zaraz gówniarz zleci i, w najlepszym wypadku, zadek se obtłucze – wymamrotał Yudherthardere. Niechętnie podjechał do chłopca. – Budź no się, smarku. Doma jesteś! – krzyknął do mieszańca, ale ten, mimo niezaprzeczalnie donośnego głosu towarzysza, ledwie drgnął. – Ma szczył kimanie, nie ma co gadać – westchnął nieco zdziwiony krasnolud i wyciągnął dłoń, żeby szarpnąć chłopcem.

W chwili gdy odziana w rękawicę prawica Sodiego dotknęła kurtki chłopca, Tropicielec przestał mruzczyć.

I wybuchnął.

Wyrwał się na wolność, warcząc wściekle. Kąsany krwistą łuną zakłęcia, szarpnął nosicielem, w jednej chwili opanowując krępe ciało. Z rozcapierzonych palców brodacza wystrzeliły lokalizujące wstęgi i pomknęły ulicami. Mocy Tropicielecia nie trzeba było otwierać drzwi czy okiennic. Wsuwała się szparami, przemykała przez

drzemiące siedlisko. Raniona magią w każdym ze śpiących mieszkań, uciekała z wnętrza tak szybko, jak wsuwała się do środka.

I po krótkiej chwili wróciła do nosiciela, oddając mu władzę nad ciałem.

– Ożeż kurwa – jęknął obolały Sodi, gwałtownie cofając dłoń, by przypadkiem nie dotknąć młodego ponownie. – Ożeż... – zawiesił głos, rozglądając się nerwowo. – Ale mnie królowka wpakowała w gówna – wyszeptał żałośnie. – Po sam kark w szambie pływać będę i to bez Yasowej pomocy. I jak nic bez magii jakowejś przyjdzie mi się w tym gnoju utopić.

Pokiwał głową nad swoim położeniem i rozejrzał się. Dzieciak nie był mu już potrzebny, żeby trafić do burmistrza. Tropicieł wskazał wielki, dwupiętrowy dom przy głównym placu. Sodi mógłby tam teraz pojechać, zostawiając gówniarza w siodle podążającej – najprawdopodobniej – do domu klaczki. Mógłby, tylko po co? Tropicieł już zwiedził merostwo i dał krasnoludowi wgląd w stan miejskich urzędników. Wszyscy pogrążeni byli we śnie. Sodi zrozumiał, że niczego się nie dowie od śpiącego burmistrza czy kogokolwiek innego. Toteż jechać tam nie miało sensu. Popilnuje smarka, żeby, jak ten spadnie, koń go nie stratował. Nie, łapać chłopaka nie będzie, co to, to nie. Jedno bliskie spotkanie z zaklęciem na dzisiaj wystarczy. W krasnoludzkim łbie nadal tyrkają się dwa bawoły, przyśpiewując przy tym głośno. I tak dobrze, że pan Yasa zechciał raz jednego na takie zaklęcia Sodiego uodpornić i teraz może krasnolud spokojnie widokami się cieszyć, a nie dupę po ziemi obijać, gdyby sam z siodła pod kopyta wiernego kuca rymnął. Nie, zdecydowanie nie będzie macał gówniarza. Koń to co innego. Jabłkowita nie spała, więc i magii w niej nie ma. Jak dzieciak spadnie, złapie się wodze i odciągnie zwierzaka. Tyle można zrobić...

Poprawił się w siodle, zadowolony z siebie i swojej szlachetnej postawy. Nie dane mu jednak było owym altruizmem się wykazać, gdyż w tej właśnie chwili miasto ożyło. Gdzieś ktoś zaczął śpiewać, jakaś kobieta wrzeszczała na pociechy, inna na męża, w którymś domu ktoś rozbił naczynia, a z innego wybiegły dzieci kłócąc się zawzięcie.

Półelfi posłaniec potrząsnął głową i popatrzył na towarzysza.

– Tośmy są, panie Yudherthardere – powiedział i wskazał dwupiętrowy budynek. – Tamten dom to burmistrza. Pewnie już się doczekać was nie może. Mnie do tatulka śpieszno. Żegnajcie, panie Sodi.

Krasnolud złapał wodze klaczki chłopca i zajął dzieciakowi w oczy. Nie, czytać w myślach nie potrafił, ale i tak zaskoczony uniósł brwi. Młodzieniec bowiem zachowywał się tak, jakby o zaklęciu, które kazało mu zasnąć, nic nie wiedział. Jakby w ogóle nie spał.

– Jakie żegnajcie? Nie miałeś mnie, gówniarzu, do mera zaprowadzić?

– Dyc przecie was przyprowadziłem.

– Na plac. Nie będę się do magistratu pchał nieproszony, co by mi jacyś siepacze z zadka kaszankę zrobili. Dalej, rusz dupsko.

Chłopak spojrział tęsknie za siebie, w stronę – jak się Sodi domyślał – domu, ale posłusznie skierował klaczkę w kierunku merostwa.

Krasnolud skrzywił się. Właściwie dzieciaka nie potrzebował i trochę z czystej złośliwości kazał mu się prowadzić. Może również dlatego, że nie podobał mu się brak reakcji organizmu chłopca na potężną magię usypiającą całe miasto i chciał mieć go na oku. Dziwnym bowiem wydawał się Sodiemu fakt, że młodzieniec obudził się zupełnie zwyczajnie, jak z naturalnego snu. Jeśli reszta mieszkańców też tak zareagowała... Westchnął smutno. Jakby to miało znaczenie. I tak bez mocy Pierwotnego siedzi po uszy w czarnej dupie.

\*\*\*

Burmistrz rzeczywiście się ucieszył. Przysadzisty mężczyzna w więcej niż średnim wieku, z zakolami i początkami nadwagi, wpadł do pokoju, do którego uprzednio wprowadzono krasnoluda. Rozwiane siwiejące włosy, rozchełstana koszula i rumieńce na okrągłym obliczu wskazywały na to, że biegł dość długo.

– Panie de Gra! – krzyknął, rozkładając ramiona. Sodi skrzywił się, ginąc w objęciach gospodarza. – Z nieba, no z nieba spadacie! Takem wdzięczny! Bez waszej pomocy... ech, co tam narzekać, dobrze, żeście są! Wdzięcznym, jak już rzekłem, bardzo.

– Ni ma co tak dziękować, wyboru specjalnego żem nie miał. – Yudherthardere wyswobodził się z objęć i przyjrzał merowi. – Nie wyglądacie najlepiej. Może usiądźcie, nim was jaka apopleksja trafi.

Dyszący mężczyzna rzeczywiście wyglądał na bardzo utrudzonego. Rozejrzał się i klapnął ciężko na najbliższej ławie.

– No co racja, to racja – westchnął boleśnie, pochylając głowę. – Wszyscyśmy w mieście jacyś sterani ostatnio. Dlatego też żeśmy o pomoc królową naszą najukochańszą prosili. Musi być, jakieś złe się zaległo, wicie? – Podniósł pełen smutku wzrok na gościa. – Jakby nas jaka choroba męczyła. Niby nic, ale wszyscy obywatele zmarnowani jacyś tacy... umęczeni... No i jeszcze zgony nam się rozmnożyły, psia ich mać.

– Jak to rozmnożyły?

– No, jak kiedyś raz na kilka miesiączków przodkowie kogoś wezwali, tak teraz bywa, że i w jeden księżyc obieg ze trzech zejdzie. I to nie starzy... znaczy, jak ich na stos kładziem, to na wiekowych wyglądają, ale starzy nie są. Toteż nam się dziwne wydaje, że tak nagle w latach się chłopcy posuwają. Nie ma u nich jeszcze czterech

krzyżyków, a dalibyście im ze dwa razy tyle. Jak nic, złe musi gdzieś siedzi. Jakem usłyszał, że królowa nasza przenajmilejsza takiego augura w swoich pałacach gości, to żem od razu tego tu – wskazał półelfa – syna naszego drogiego konsyliarza do pani precudownej wysłał, co by was uprzejmie poprosiła o pomoc.

– Uprzejmie? – zatchnął się krasnolud.

– No przecie, żem ja nie jakiś prostak. Wiem, żeście pewnie i zajęci, ale królewskiej proście to trudno chyba odmówić, co nie?

– Nie, proście najjaśniejszej – znów się zatchnął, bo śmiech pusty dławić go zaczął – pani bardzo trudno odmówić. Rzekłbym, że się nie da.

– Właśnie. – Burmistrz aż pojaśniał z radości. Od razu też jakby lepiej się poczuł. Podniósł się i rozłożywszy znowu ramiona, podszedł do Sodiego. Ten jednak wprawnie umknął uściskom gospodarza.

– A powiedzcie mi – zapytał – jakieś inne objawy były?

– Objawy? – Podrapał się po głowie mer, nie rozumiejąc pytania.

– Wiecie – kontynuował Yudherthardere, wpatrując się w mężczyznę – zwierzęta, na ten przykład, jeść nie chcą? Kury nie niosą? Krowy mleka nie dają? Sen wszystkich w jedną chwilę ogarnia? Takie tam, normalne przy złym dolegliwości...

– Eeee... nic mnie o tym nie wiadomo. Zapytać mogę, ale jakby ze zwierzakami problem był jakowy, to by mnie już donieśli. My tu w harmonii żyjemy. Ludziska dobre są, szanujące władzę.

– To wam nic o snach jakowych nie wiadomo? – Sodi zmarszczył brwi, chociaż zaskoczony nie był.

– Wybaczcie, ale ja z buciorami w duszę chłopom nie wchodzę. Pewnie i jakowe sny mają. Szczególnie od czasów, jak Serinka dorosła, bo dziewucha pół miasta na pokuszenie wodzi...

– Ja nie o takich snach – przerwał zniecierpliwiony krasnolud. Nie żeby o ładnych pannach słuchać nie lubił, ale rozmiar magii, z którą przyjdzie mu się zmierzyć, a w związku z tym potęga czarodzieja, który nią władał, wystraszyła go nie na żarty. I cierpliwości też pozbawiła.

– A, jak nie, to o innych nic mnie nie wiadomo.

Yudherthardere pokiwał głową w milczeniu.

– To i jak? – zapytał grzecznie burmistrz.

– Jak co?

– Wiecie już jaka przyczyna tych naszych... dolegliwości?

Sodi wstał.

– Może się i domyślam – odpowiedział chłodno – ale zmęczonym wielce. Długa droga za nami. Młodzian niech do domu wraca, a i mnie spocząć by się zdało. Jutro

z rana zajmę się tym waszym... problemem.

– Oczywiście! Żem też nie pomyślał, żeście utrudzeni. – Mer ponownie rozwarł ramiona, by gościa uściskać. Widać zwyczaj u niego był taki i lubił przyjezdnych tulić do piersi. Tym razem jednak ramiona opadły powstrzymane jednym gniewnym spojrzeniem krasnoluda. – Pokoje wam kazałem w gospodzie przygotować. Przedni lokal, chociaż opuszczony nieco z racji wypadków ostatnich. Zajmą się wami jak samą najjaśniejszą panią naszą. Młokos was zaprowadzi. Tyleśmy czekali, to i jedna noc nie zaszkodzi. Wdzięcznym, wdzięcznym waszemu...

W owej chwili Sodi, którego dobre wychowanie sławne przecież w całej Krainie było, niezbyt grzecznie się zachował, gdyż nie słuchając uniżonych merowskich wywodów, pociągnął półelfa do drzwi.

I wyszedł.

\*\*\*

Słońce zachodziło. Ostatnie promienienie igrały na białych kalcytowych ścianach, załamując się w nierównościach skalnych półek. Pieściły zamierającym ciepłem skórę nagiej kobiety, wpatrującej się ze szczytu w rozległe miasto u jej stóp. Jeszcze krótka chwila, a nadejdzie mrok. Ciepło zniknie.

Odwróciła się i spojrzała w dół, w jezioro ciemne cieniem rzucanym przez wierzchołki. O tej porze nie zobaczy już swego odbicia. Czystego, doskonałego piękna.

Nie zmarszczyła brwi. Nigdy nie marszczyła brwi, nawet gdy była głodna. Nawet gdy tak jak teraz czuła niepokój. Prawie strach.

Przymknęła powieki i westchnęła.

Słońce zaszło. Nadchodziła szarość.

\*\*\*

Gospoda, jak obiecał burmistrz, była zacnym lokalem z czystą, zadbaną stajnią na zapleczu i stajennym, który, gnąc się w ukłonach, zajął się krasnoludzkim kucem. Pan owego zwierzęcia zaś, upewniwszy się, że jego wierny Doru odpocznie w należytych warunkach, sam udał się do pachnącego pieczystym i świeżo uwarzoną polewką wnętrza. Udał się niemal biegiem, bo między merostwem a gospodą trzewia Sodiego wykonały skomplikowany, acz głośny utwór na kiszki i żołądek, z których każde zdawało się chcieć przekrzyczeć to drugie. Melodię tę cudną głód tworzył oczywiście, gdyż krasnolud cały dzień tak był zajęty wyklinaniem na swój los, że zapomniał z juków wyjąć suszoną wołowinę i przekąsić nieco. Może i też nie zapomniał, a jedynie chęci na nią mu brakło. Ni jedzenia, ni kobiet wyschniętych mały lord nie zwykł bowiem konsumować. Chyba że wyboru nie miał.

Polewka nie pachniała suszonką, oj nie. Pachniała świeżym, soczystym mięsem.

Sodi wszedł do gospody z zamiarem trzaśnięcia drzwiami i narobienia rumoru, by – wśród morza gości – natychmiast zwrócono nań uwagę i obsłużono go błyskawicznie. Już się miał wrotami zamachnąć, już usta do krzyku otwierał, gdy zauważył bezsens takiego działania.

Karczma była opustoszała – w tym też burmistrz miał rację. Jakby jakieś morowe powietrze się przez nią przedarło, pozostawiając czyste, zastawione pustymi naczyniami stoły, zamiecione, umyte i nabłyszczone podłogi i kilka płonących świec. Żywej duszy, nie licząc czarnego kota z połyskującymi oczyma, przeciągającego się na przypiecku, krasnolud nie dojrzał w biesiadnej izbie. Wszedł więc, nie robiąc zbędnego hałasu, a jedynie odchrząkując głośno, pewien, że przy takim obłożeniu karczmarz nieba mu przychylić chciał będzie.

I wcale się nie pomylił. Gospodarz wybiegł z zaplecza, wycierając duże niczym bochny chleba ręce w fartuch i, jak jego stajenny, nie przestając się kłaniać.

– Pan de Gra Yudherthardere! – zakrzyknął radośnie. Prawie tak radośnie jak Sodi, gdy dnia jednego w stołecznym zamtuzie płacić mu nie kazali. – Oczekiwaliśmy...! A jakże! Oczekiwaliśmy! Komnatkę żem kazał wyszykować, że lepszej i w pałacach ni ma. Chłopy zaraz balijkę z wodą... boście pewnie zmęczeni i kości byście w ciepélku...

– Kąpiel potem, dobry człowieku – przerwał mu Yudherthardere i usiadł przy jednym ze stołów. – Strawy jakiej bym pokosztował. Niczego w gębie od wczoraj nie miałem.

– Już podaję. Już, już. Świeżutka i dobra taka, że palce lizać. W całej Krainie nie ma takiej polewki, jaką moja Ivka warzy. Gdzie tam w Krainie, pewnie nawet i w Zachodnich Łądach! – Karczmarz wykonał ze trzy ukłony, tak głębokie, że nosem niemal smyrgnął wyglancowaną podłogę, i pobiegł na zaplecze.

Sodi nie zdołał się nad swym losem porządnie zadumać, a już przed nim leżał chleb obok dużej miski z parującą zupą.

Gospodarz zaś grzecznie czekał, pochylony w półukłonie, aż gość zacznie jeść.

– Czego tak nade mną wisicie jak rajfura nad nowodajką w zamtuzie? – uprzejmie zapytał Yudherthardere. – Weźcie się przysiądźcie. Lepiej się człękowi pożywa, kiedy w ścianę gapić się nie musi, jeno przyjemną pogawędką go raczą.

– Co fakt, to fakt – uśmiechnął się szeroko mężczyzna i posłusznie zasiadł naprzeciwko gościa.

– To rzeknijcie – krasnolud urwał spory kawałek chleba i umoczył go w polewce – co u was pustki takie? – Wcisnął pajdę w usta i westchnął z rozkoszą. Albo był taki głodny, albo rzeczywiście Ivka warzyła najlepszą zupę w Krainie. Doskonałe

połączenie aromatycznego tłuszczu i jarzyn, odpowiednio pikantne i wystarczająco gorące.

– Ech, panie – westchnął boleśnie karczmarz – co tu dużo prawić, jak się ludziskom zdrowie pogarszać zaczęło, jak się tacy umęczeni porobili, to i ochota na dobry miódzik czy grzane winko całkiem im przeszła. A i przyjezdni zaczęli okolicę omijać, jak się wieść rozeszła o jednym gościu, co miasteczko nasze wizytując, zszedł był. Teraz i tydzień czasami minie, nim jaki talarek do kabzy wpadnie. Bida, panie, straszna bida. – Pokiwał głową z żalem.

– No dyć widzę, że tłumy tu do was nie walą. – Sodi wyczyścił miskę skórką chleba, odsunął naczynie i zapatrzył się na gospodarza. Ten wyraźnie czuł na klientów potrzeby, bo szybciotko poderwał się z ławy.

– Już pieczone niosę. – Skłonił się grzecznie, złapał pustą miskę i pobiegł do kuchni. Po chwili wrócił z wielgachnym półmiskiem mięsa polanego aromatycznym sosem. Yudherthardere zaś poczuł, że jego przed momentem pełny, jak mu się zdawało, brzuch jęczy z pożądania. Mężczyzna postawił jedzenie przed gościem i ponownie zasiadł naprzeciw niego.

– Wstyd narzekać, wasza miłość – kontynuował – przynajmniej dom mój, jak dotąd, złe omijało... Prócz rzecz jasna tego przyjezdnego, co to wziął i do przodków dnia jednego odszedł. Sąsiedzi o całe dekady się postarzeni. Jioska, co to z nim nauki u bakałarza pobierałem, jak własny ojciec wygląda. A Trydka to ze dwie niedziele będzie jak na stosie żeśmy złożyli, a nie był starszy od mojej Ivki... Tak że wstyd narzekać, wasza miłość.

Krasnolud obgryzał kość z zapamiętaniem godnym daleko ważniejszej czynności.

– Nie próbowaliście... – przełknął głośno – złego szukać?

– No – zdziwił się karczmarz – przecież burmistrz o wstawiennictwo u was panią naszą miłościwą prosił.

Sodi zakrztusił się i gwałtownie rozkaszał.

– Wstawiennictwo, mówicie? – zapytał, kiedy już mógł. Wspomniał lodowaty rozkaz królowki i zachichotał gorzko. – A tak, coś pamiętam. Nie o to mi... – Kolejny kawałek soczystego mięsa trafił do krasnoludzkich ust, powstrzymując słowa. Yudherthardere delektował się powoli i połknął z prawdziwym smutkiem. – Nie o to mi chodziło. Wcześniej czyście szukali?

– Ktoś tam może i próbował, ale skutek ino taki był, że kolejny żeśmy stosik musieli rychtować.

Sodi milczał chwilę, przeżuując wolniutko ostatni kęs pieczonego i kiwając głową w ciszy.

– Nie żebym jaką nadzieję miał – powiedział wreszcie – ale jest w tym przepięknym mieście czarodziej jaki?

Zapytany uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze trzy dni nazad rzekłbym wam, że ni ma. Nigdy jakoś zaklinacza nie było nam trza, to i żaden u nas długo miejsca nie zagrzał. Wiecie, jak jest – ni ma potrzeb, to ni ma talarków, a jak ni ma talarków, to po co w takim miejscu zostawać? No ja to wyjechać nie mogę, ale czarownik? Cały dobytek do magicznej sakwy wciśnie i już go ni ma. To i nie mieliśmy takiego, ale ze trzy dni będzie, jak gość do mojej gospody zawitał. Potężnymi czarami włada. Nawet byśmy nie wiedzieli, bo i chwalić się – nie chwalił, ale jak nasz najmłodszy Ivce pod kociołek wlaźł i by go dziewczucha wrzątkiem potraktowała, czarodziej, nie dotykając wcale i słowa nawet jednego nie wypowiadając, gar uniósł i płynącą już polewkę w pół drogi do szczyła zatrzymał. Mówię wam, prawie żem popuścił, jakem to zobaczył.

Sodi zapatrzył się na mówiącego. Rękę by sobie uciąć dał, a może i nawet co cenniejszego, że właśnie usłyszał, jak głąz ciężki z jego zatroskanego serduszka grzmotnął na podłogę.

– A gdzież ów czarodziej teraz przebywa? – zapytał, bardzo się przy tym starając, co by nie uśmiechać się od ucha do ucha. Znał bowiem tylko jednego maga zdolnego takie cuda czynić. Każdy jeden musiałby zakłęcie zwerbalizować, jedynie Yasa mógł myślami formę mu nadać.

– Wyszedł.

– Gdzie? – Yudherthardere poderwał się z ławy.

– No co wy? – zdumiał się karczmarz. – Toż jam kozie spod ogona nie wyskoczył, rozum swój mam. Nie mnie pytać takiego, gdzie idzie! Poszedł, to poszedł. Wróci, bo jego kobyłka ciągle we stajni stoi.

Kamień, który zdążył się ponownie wtoczyć na krasnoludzkie serce, właśnie z niego spadł.

– Wiecie, to może ja bym jednak z tej kąpieli skorzystał – uśmiechnął się łagodnie Sodi. – Tylko cobyście mi powiedzieli, kiedy pan Ya... jaśnie wielmożny czarodziej wróci.

– To ja już chłopakom powiem. – Gospodarz szybko się podniósł. – I Ivce, coby kwiecica do wody sypnęła. Będziecie wonieć jak księżę jakowys. Wszystkie panny wasze będą.

– A właśnie – przypomniał sobie krasnolud – co do panien...

\*\*\*



Księżyc ukrył się za chmurami. Nie żeby to był jakiś problem. Krótkie, góra trzyzdaniowe zaklęcie powinno go rozwiązać i rozgonić obłoki. Gdyby go użył, czego robić nie zamierzał. Mrok mu nie przeszkadzał. Nie widział w ciemności jak Yudherthardere, ale nie był też kompletnie ślepy. Mógł bez przeszkód, spacerować opustoszałymi uliczkami miasta. Szczególnie w tej chwili, gdy ponownie użyła magii, usypiając mieszkańców.

Yasa westchnął.

Podobnie jak nosiciel Tropicielea, Pierwotny Mag był odporny na czary, nawet te najpotężniejsze. Dlatego nie spał jak reszta miasta. Szedł pustymi uliczkami, przyglądał się zamkniętym okiennicom i przystawał na chwilę przy tych uchylonych. Nie zaglądał do środka. Wiedział, co zobaczy, przecież trzeci dzień przebywał w tym mieście. Trzeci dzień obserwował poczynania Uri i wciąż nie wiedział, gdzie jej szukać.

Zatrzymał się i spojrzał w mroczny nieboskłon. Była blisko, prawie czuł jej zapach. A nikt nie pachniał tak jak ona.

Dobrze, że Sodi wreszcie dotarł do miasta. Trzeba to zakończyć, nim przeszłość wróci.

\*\*\*

Dziewczyna zasnęła nagle. Jeszcze przed chwilą rozwiązywała tasiemki gorsetu powolnymi, zmysłowymi ruchami, od których mózg krasnoluda zdecydowanie się obsunął, zaś to coś innego szybko uniosło. Naraz długie palce zastygły, a panna osunęła się na ziemię niczym ścięte drzewo.

– Jasna cholera! – zaklął Sodi. Podniecenie plątało mu język, więc i przekleństwo nie było wyszukane. Drgnął, ale – pamiętając wrażenia z poprzedniego kontaktu z zaklęciem – nie próbował pomagać nierządniczy. Zsunął się jednak z łóżka i podszedł do leżącej. Przez moment z ogromnym żalem patrzył na piersi kobiety, unoszone regularnym oddechem.

– Aż se, kurwa, wybrał moment na czarowanie – warknął cicho. – Jakby skurwiel poczekał troszkę, dziewczucha i tak by zasnęła, a mnie byłoby błogo. A tak? Cholera wie, jak długo panna do przytomności wracać będzie. Ech – westchnął żałośnie, zasznurowując na wpeł już rozwiązane tasiemki spodni – trza chyba rozchodzić, bo teraz żadnej pomocnej rączki nie znajdę. Myśli czym innym zająć... Może Yasy poszukam. Onego przecie magia nie tyka.

Obszedł leżącą, bacznie uważając, by przypadkiem choćby skrawek jego ubrania nie dotknął dziewczyny i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z pokoju.

Przeszedł przez krótki korytarz i stanąwszy na szczycie schodów, ujrzał Pierwotnego siedzącego na najniższym stopniu. Yasa opierał głowę o balustradę, a oczy miał

zamknięte.

– Niech mnie rudy baran... – krzyknął krasnolud, przyskakując do przyjaciela. Nachylił się nad nim, ale – w ostatniej chwili – cofnął ręce. – Kurwa! Czegoś takiego się nie spo...

– Nie wrzeszczcie, Yudherthardere – łagodnie przerwał mu Yasa, nie otwierając oczu. – Innych i tak nie obudzicie, a mnie poirytujecie.

Sodi z ulgi aż przysiadł obok maga.

– Myślałem...

– Że i mnie uśpiła. Wiem, zauważyłem, kiedyście się wzdrygnęli przed dotknięciem mojego skromnego ciała. Rozumiem, że Tropiciel już spotkał Uri?

– Uri?

– Czarownicę, która dokonała tego dzieła.

– Znacie ją? – poderwał się krasnolud.

– Można rzec, że jesteśmy rodziną – westchnął Yasa, unosząc wreszcie powieki. – To córka Isiny.

– Co? – jęknął Sodi, opadając ponownie na tyłek. Wspomnienie zabitej przez nich ciotki Pierwotnego Maga, której ducha, odprawiwszy egzorcyzmy, odesłali w niebyt, przemknęło przez umysł wystraszonego brodacza. – Córka? – prawie wyszeptał.

– Ano córka, mój drogi. Jedyne dziecko mojej ukochanej cioteczki. Jakie to będzie słowo? Czekaście, bo nie używałem go od stuleci... Kuzynka. Tak, moja kuzynka, starsza ode mnie o setki lat.

– Pierwotna?

– Pierwotna – przytaknął mężczyzna.

– A nie mieliście, kurwa, być ostatnim Pierwotnym? I skąd niby córka? Przecież ponoć Pierwotni nie mogą... mnożyć się.

Yasa uśmiechnął się krzywo.

– Jakoś ja przyszedłem na świat. I Uri też.

– Ale jak?

Mag uniósł brew.

– Naprawdę chcecie, żebym wam to wytłumaczył?

Sodi pokręcił głową.

– Nie. Nie chcę. Tylko się zastanawiałem, skąd nagle Pierwotna. Przecież zawsze mówiliście, żeście jeden. Tak mnie już w szkole uczyli.

– Uri zginęła z rąk swojego kochanka. Jakies pięćset... tak, z pięćset lat temu, mniej więcej.

– Jak to, zginęła? – Zaskoczony krasnolud rozdziawił usta. – Powiedzieliście...

– Była martwa przez pięćset lat. Mogła się ukrywać, chociaż, znając jej charakter, nie sądzę. Raczej była martwa i znalazła sposób, by wrócić. Z tego, co wiem, nikt egzorcyzmów nad jej truchłem nie odprawiał...

– Więc duch trwał w zawieszeniu – dokończył Yudherthardere. Przez chwilę milczeli. Wreszcie krasnolud zapytał: – Jesteście pewni?

– Miałem przyjemność być z moją kuzyneczką blisko – uśmiechnął się chłodno mag. – Poznaję jej dzieło.

– Mielicie przyjemność? Niech więcej gołego zadka nie oglądam... Ale to nie wy wysłaliście ją do przodków?

– Nie, nie ja.

Ponownie zamilkli.

Ciszy nie przerywał najmniejszy nawet hałas. Było w tym coś przerażającego. Jakaś obezwładniająca, nadchodząca ze wszystkich kierunków nicość.

– Ponoć Isina nie lubiła się dzielić? – zapytał Sodi, głównie po to, by wreszcie usłyszeć jakiś dźwięk.

Yasa zamknął oczy. Odpowiedział dopiero po dłuższej przerwie:

– Isina nie lubiła się dzielić. Czasami jednak nudziła się na chwilę swoimi zabawkami. Bywało, że te chwile były długie jak ludzkie życie.

Krasnolud pokiwał głową domyślnie.

– Starsza, rzekliście? – zmienił temat. – Poradzicie sobie z nią?

– Nie wiem.

– To trza ściągnąć gówniarę.

– Nie! – warknął mag. Otworzył oczy i pochylił się nad przyjacielem. – Likal zostanie w Dolinie.

– Ale...

– Czego nie zrozumieliście? – nienaturalnie miękkiem tonem zapytał mag. – To córka Isiny. Potężna jak matka.

– I mściwa, co? Nie będzie nam wdzięczna za pozbycie się mamusi, prawda? I jak to se, kurwa, wyobrażacie? – podniósł głos Sodi. – Odejść stąd nie mogę, bo mi królowka jaja utnie. Muszę się tej waszej pieprzonej kuzyneczki pozbyć. Moglibyście mieć to w dupie, ale po tym, że wciąż tu siedzicie, wnioskuje, że nie macie. To i jak? Pójdziem rodzinie się pokłonić i uniżenie prosić, co by magiczna panna się wyniosła? A onaż panna uśmiechem rozjaśni lico, do piersi swej cudnej nas przygarnie i powie: „A co mi tam, chłopaki, spierdalam w zaświaty”?

– Raczej nie użyłaby tych słów. – Yasa uśmiechnął się słabo. – Nie możemy wykorzystać Likal. Uri nie może się o niej dowiedzieć. Gdyby coś poszło nie tak,

gdyby moja... kuzyneczka poradziła sobie – jakieście to ładnie ujęli – z nami, zemściłaby się na małej. A potrafi być bardzo okrutna.

– Eeee tam – mruknął krasnolud. – Też mi okrucieństwo, położyła spać miasto i tyle.

Mag zmilczał, uporczywie wpatrując się w przyjaciela.

– No co? – burknął Sodi. Kiedy zaś brakło odpowiedzi, westchnął i przewrócił oczami. – Może i macie rację, może i czarownica jest chodzącym wrzodem na sempiternie, wyjątkowo bolesnym, jątrzącym się wrzodem, ale tym bardziej gówniara nam się przyda. Jej moc rośnie, wiecie, że tak. Potrzebujemy jej.

– Nie – chłodno, acz dobitnie powiedział Pierwotny.

– Jak ja, kurwa, nie lubię tego waszego wszechmocnego tonu – warknął Sodi, wstając. – Racji nie macie, a wytłumaczyć się wam nie da. Coś tak jak jednej burdelmamie, co tom jej naświetlić próbował, że za dwa talary się mnie dwie panny, nie jedna, należą. Tak się baba zaparła, że nikt nie miał przyjemności. Ani ja, bom się honorem uniósł... No czego tak oczyska wybałuszacie, a dyć mam jakiś honor. Inszy niż wasz, ale mam. No to i wtedy nikt przyjemności nie miał, ani ja, ani owa stara rajfura, bo jej dwa talary koło nosa przeszły. O dziewczach już nie wspomnę, bo je najlepsza pochedóżka, tak i być może, że najlepsza, ominęła. Ach, życie. No – pokiwał smutno głową – i tak z wami, jak z tamtą babą. Nie idzie wytłumaczyć. Jedno na dobre, że mnie od tego waszego gadania całkiem chcica odeszła. Tera to ja nawet mogę do izby wrócić i zlec. – Co powiedziawszy, zaczął wchodzić po schodach.

– Yudherthardere... – cicho powiedział Yasa.

– No, przecie żeście nie myśleli, że dzisiaj będę waszej rodzinie szukał? – Sodi zatrzymał się. – Uśpiła cichodajkę, zanim ta mi dogodziła. Zlegnę i poczekam, aż dziewczucha się obudzi. Nie pójdę na spotkanie z córką Isiny bez porządnego chędożenia. Może i ostatniego w życiu – zakończył smętnie.

Pierwotny go nie zatrzymywał. Ponownie przymknął oczy i oparł głowę o barierkę. Też czuł się zmęczony.

\*\*\*

Była naga. Taką ją pamiętał. Nagą, piękną i chętną.

– Kochanie – powiedziała miękko, siadając na jego łóżku – tęskniłeś?

Jedno, krótkie słówko, a już był gotowy. Nic się nie zmieniło.

– Śnię? – zapytał. Ledwie poznawał swój głos. Drżący i schrypnięty.

– Oczywiście, że śniesz, kuzynie. – Odrzuciła włosy, odsłaniając pełne piersi. – Nie sądzisz chyba, że przyszłabym do twojej sypialni. Nie jestem głupia.

– Jak?

– Och, po prostu... – gładziła delikatnie swój sutek, przyglądając się, jak pod wpływem tej pieśczoły twardnieje i zmienia się w maleńki, sterczący guzełek. – Nie mogę cię uspić, nie kiedy jestem tak daleko od ciebie. Mogę jednak wejść do twego snu. Mogę nad nim zapanować. Sprawić, że zrobisz, co zechcę. Szkoda, że tylko tutaj. Pragniesz mnie? – zmieniła nagle temat.

– Wiesz, że tak.

– Wiem. – Uśmiechnęła się łagodnie. Nie patrzyła na mężczyznę, zajęta widokiem własnych, prężących się z pożądania piersi. – Zawsze mnie pragnąłeś.

– Nie zawsze.

– Zawsze, Yaso. Nie kłam. – Wstała i powolnym ruchem zsunęła okrywające maga prześcieradło. – Nic się nie zmieniło. Ty się nie zmieniłeś. Wciąż jesteś piękny. I okrutny, prawda? – Kobięca dłoń dotknęła łydki leżącego i sunęła wolniutko ku udom.

– To nie ja zabijam ludzi, wysysając z nich młodość we śnie.

Roześmiała się gorzko.

– Nie, nie zabijasz ludzi. Tylko krewnych.

– Nie ja cię zabiłem, Uri. – Ledwie mógł oddychać. Jej palce... westchnął głęboko, bo jej palce zbliżyły się i oddaliły. A potem dotknęły go. Ledwie musnęły, a on zapragnął krzyknąć.

– Nie ty – potwierdziła, cofając rękę. Pochyliła się nad magiem. Złociste włosy musnęły nagą pierś mężczyzny, kiedy zajrzała mu w oczy. – Wtedy nie, ale teraz zabijesz, prawda? Jak ją.

– Ona zasłużyła, a ty możesz odejść.

W cichym śmiechu kobiety dosłyszał łkanie. Wyprostowała się i niespiesznie weszła na łóżko. Uklękła nad leżącym. Oparła się na rękach i nie dotykając Yasy, przysunęła swoją twarz do jego oblicza.

– Nie mogę odejść, kuzynie. Tu jest źródło mojego odrodzenia – wyszeptwała.

Jej oddech był niczym pieśczoła. Obiecywał, kusił, podniecał. Bliskość skóry... zapach...

– Więc cię zabiję, Uri. – Dlaczego jego słowa zabrzmiały jak jęk?

Uśmiechnęła się. A potem, wtuliwszy się w pierś maga, niesłuchanie powoli wsunęła się na niego. Była wilgotna i ciasna. Jak pamiętała.

– Spróbuj, kuzynie – szepnęła, całując jego tors.

Wyprostowała się. Odrzuciła włosy. Położyła dłonie na brzuchu mężczyzny i poruszyła się. Powoli. Wolniutko. Uniosła się i opadła.

– Teraz, Yaso – szepnęła schrypniętym głosem – teraz możesz mnie dotknąć.

\*\*\*

Dziewczyny nie obudziły promienie słońca, przeciskające się przez nierówno zbite listwy okiennic. Spała nadal z rozchyłonymi wargami i radosnym zmęczeniem na ładnej buzi. Krasnolud też się uśmiechnął, gramoląc się z łóżka. A był to szeroki uśmiech zadowolonego z siebie samca. Nikt nie powie, że Sodi Yudherthardere nie potrafi dogodzić. Nawet profesjonalistce.

Otworzył okno, wpuszczając światło i świeże powietrze do zatęchłego pomieszczenia. W przeciwieństwie do poprzedniego popołudnia, teraz na ulicy krzżeli się ludzie. Kobiety i mężczyźni, a nawet dzieciaki, zajęci własnymi sprawami, jakby złe, o którym mówił burmistrz, w ogóle nie istniało. Patrząc na przechodniów, krasnolud przestał się uśmiechać. Westchnął ciężko i wrócił do łóżka. Nie położył się jednak, a sięgnął do tobołka, który tam zostawił.

Dziewczyna wciąż spała, gdy Sodi wyciągnął z zawiniątka dwie małe kryształowe figurki i dwa perłowe kamyki. Usiadł na podłodze. Położył kryształy przed sobą, jeden obok drugiego, a kamyki – pomiędzy nimi.

I zaintonował zaklęcie.

Prababka Sodiego, uciekając od kochanka – jednego z najpotężniejszych Pierwotnych – ukradła mu sporo zaklęć i artefaktów. Nikt nie wiedział, jak to zrobiła. Tak jak nikt nie widział, dlaczego Pierwotny nie ukarał kochanki. Niektórzy mówili, że mag kochał ją aż do końca swoich dni. Fakt, że dziewczyna uchodziła za niezwykle urodziwą... jak na krasnoludkę, rzecz jasna.

Beneria przekazała zaklęcia dzieciom. One zaś – swoim, a te kolejnym. Moc przechodziła z pokolenia na pokolenie, wraz z przedmiotami skradzionymi Stroidariusowi. Aż dotarła do Sodiego. Krasnolud jako Tropiciel świetnie wyczuwał obdarzonych, ale sam był bardzo kiepskim czarodziejem. Głównie dlatego, że rzucanie zaklęcia skutkowało bólem głowy nawet wtedy, gry robił to sam. Poniekąd z tego powodu po dziedzictwo Benerii sięgał tylko w ostateczności.

Ale to właśnie była ostateczność.

\*\*\*

Gwałtowny łoskot zdawał się rozsadzać mu czaszkę. Powieki były niesłychanie ciężkie. Miał wrażenie, że nie zdoła ich unieść. Sen... nie, już nie spał. Pograżony w ciemności, trwał w niej od wielu godzin. Jakby został zawieszony w nicości. I pewnie tak było. Uri odeszła, zostawiając go na pograniczu jawy i snu.

Harmider nie cichł. Do uderzeń dołączyły wrzaski. Yasa westchnął i, choć z trudem, otworzył oczy.

– Panie Yasa! – krzyczał wystraszony krasnolud. – Życie?! Panie Yasa! Kurwa! Trza drzwi...! Panie Yasa!!!

Naraz zasuwa trzasnęła. Wyrwane z zawiasów drzwi z hukiem wpadły do izby, a wraz z nimi Sodi. Uderzył w podłogę, ale zaraz podniósł się i skoczył do łóżka, na którym leżał mag.

– Panie Yasa!

– Nie krzyczcie, Yudherthardere – wyszeptał z trudem Pierwotny.

– Słodka pochedóžko – westchnął z ulgą krasnolud – wyglądacie jak trzy ćwierci do śmierci. Myślałem, żeście na magię odporni?

– Najwyraźniej nie do końca – cicho odpowiedział Yasa. Usiadł niespiesznie. Mimo obaw nie zemdłał, nie miał nawet zawrotów głowy. Okropne zmęczenie, które jeszcze przed chwilą odczuwał, mijało błyskawicznie.

Sodi uśmiechnął się szeroko, obserwując znikające sińce i wypełniające się zmarszczki pod oczami przyjaciela. W kilka chwil Pierwotny odmłodniał dobre dwadzieścia lat.

– No i znowuście cacuśni. – Sodi usiadł obok maga. – I dobrze, bo jakem walił w te drzwi i walił, to żem myślał, że już po was. Tropiciel zwykle was czuje, nie żeby mocno, ale zawsze, a tu od rana – nic. Nieźle was zmęczyła. Szkoda, żeście się nie widzieli, jakem tu wpadł. Mój dziadunio przed śmiercią, a było mu już prawie dwieście pięćdziesiąt wiosen, wyglądał znacznie lepiej. Szybko żeście do siebie wrócili. To pewnie to wasze pierwotne czarodziejstwo magię pokonało, co?

Yasa skinął głową. Rzeczywiście czuł się już dobrze. Wstał i spojrzał na przyjaciela. Patrzył długo, w milczeniu, a krasnolud w tym czasie, też bez słowa, wiercił się w miejscu, uciekając spojrzeniem przed czarnymi tęczęwkami. Wreszcie i on wstał.

– Dyc wiem – wzruszył ramionami. – Jak trza, to trza. Pomożecie? Ostatecznie Pierwotnej będziem szukać.

Mag wyciągnął dłoń. Yudherthardere odetchnął głęboko, uchwycił ją...

I uwolnił Tropicieła.

\*\*\*

Patrzyła w dół, na miasto, gdy poczuła wstęgi lokalizacyjne. Niewidzialne i niebolesne. Były raczej jak pieszczota. Straszliwa, okrutna pieszczota. Zapowiedź nieuniknionego. Przesesała palcami włosy i przez chwilę jeszcze patrzyła na miejsce, z którego mieli nadejść.

Potem odwróciła się i skoczyła do jeziora.

Szmaragd wody zamknął się nad pięknym ciałem. Płynęła przez chwilę, aż sięgnęła dna. Dotknęła go i odbiła się ku powierzchni. Wynurzyła się, ale tym razem nie wyszła

od razu. Zataczała łagodne kręgi dłońmi, wpatrując się w białe skały otaczające zbiornik. Czyste piękno. Jak ona.

– Lustreczko... – cichy, niski głos Uri odbił się od wapiennych ścian. Przerwała, wsłuchując się w jego melodię, a potem uśmiechnęła się ponuro i wyszeptała: – Przykro mi, kuzynie.

\*\*\*

Słońce było w zenicie, gdy wychodzili z pogrążonego we śnie miasta. Uri ponownie uruchomiła magię, karmiąc się przed spotkaniem z Yasą.

– Będzie silna – zauważył niechętnie krasnolud.

Yasa potaknął bez słowa.

– I wie, że nadchodzicie. Że my nadchodzimy.

– Możecie zostać – chłodno stwierdził mag.

– No niby mogę. Ale, kurwa, ciekaw jestem, czy ta wasza kuzynka to do mamusi czy do tatusia podobna? Strasznie mnie to gnębi, to i pójdę se ją obejrzeć. Toż to żywa legenda, taka Pierwotna. Jakbym se kiedyś w odbicie zerknąć mógł, gdybym odpuścił możliwość podziwiania takiego zjawiska, ha?

– Do matki – odpowiedział Yasa.

Obaj wiedzieli, że to rodzaj podziękowania, dlatego Sodi skinął głową.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Dobra jest? – Nie wytrzymał krasnolud. – Wiecie... – uniósł brew w jednoznaczny, przez każdego mężczyznę rozumiany sposób – w tym? Dobra jest?

Yasa westchnął.

– Najlepsza.

– Ożeż ty – rozmarzył się Sodi – najśłodsza cichodajko. Szkoda, żeby takie dobro... No dyć nie patrzcie tak. Trochę jednak szkoda.

– Idźcie to powiedziec w miasteczku. Na pewno wam przytakną rodziny tych dwóch, co ich wczoraj na stosie położyli.

Yudherthardere przygryzł wargę. Zadarł głowę i spojrzał na szczyty gór.

– Mimo to trochę szkoda – szepnął. – Zawsze taka była? – zapytał po chwili.

– Kiedyś nie zabijała i nie uruchamiała magii tak często, ale zawsze czerpała moc ze śpiących. To ją odmładzało.

Sodi zatrzymał się zaskoczony.

– Jak to odmładzało? To ona nie tak jak wy?

– Nie. Uri się starzeje... to znaczy kiedyś się starzała... tak szybko jak ludzie. Wchodziła w sny, żeby czerpać siły witalne śpiących. Pięćset lat temu używała głównie elfów, żeby nie szkodzić. Dwadzieścia lat dla elfa to ledwie mgnienie.



– Dwadzieścia lat dla człowieka to trzecia część życia – dodał Yudherthardere. – Może zabić.

Yasa potaknął w milczeniu.

– To dlaczego...? – Sodi wskazał dłonią miasto.

– Nie wiem.

– Nie pytaliście, jak wam dogadzała, co? – Brew maga uniosła się ostrzegawczo, ale krasnolud nie wyglądał na wystraszonego. – No nic, ja też bym chyba nie zapytał. To jak? – Kiwnął głową w kierunku wierzchołków. – Wchodzimy?

Mag podążył za spojrzeniem przyjaciela i potaknął.

– Pewnie będzie bolało? – Domyślił się Yudherthardere.

– Tak będzie szybciej – odpowiedział Yasa i nie czekając dłużej otworzył Most.

Jaskrawy okrąg rozbłysnął tuż przed nimi. Mag wepchnął krasnoluda do środka, a potem wszedł za nim.

Wyszli w tym samym momencie, po drugiej stronie Mostu, na jednej ze skalnych półek u szczytu góry.

– Jak ja tego, kurwa, nie lubię – warknął obolały krasnolud, rozcierając skronie.

Yasa milczał, patrząc na jezioro u swoich stóp. Widział ją. Czuł. Patrzyła na nich z dołu. Czekąca. Zaklęta w to miejsce. Związana z magią jeziora. Nagle zrozumiał jej słowa. Źródło odrodzenia – jezioro pośród wapiennych gór. Połyskliwy szmaragd w głębi czystej bieli, z błękitem nieba ponad szczytami. Nie wiedział, kto i dlaczego związał zmartwychwstanie Uri z tym właśnie miejscem. Ktokolwiek to był, zamknął ją tu, nie pozwalając odejść. Skazał na zabijanie, a w efekcie na starość i wreszcie śmierć, bo wcześniej czy później miasto by opustoszało, a ona zostałaby odcięta od źródła witalności.

Kimkolwiek był ów czarodziej, jeśli żyje, wkrótce spotka się z kuzynem Pierwotnej.

– Panie Yasa? – Sodi wyczuł nastrój przyjaciela, bo odezwał się szeptem i łagodnie położył rękę na jego ramieniu. – Jak tam zejdziemy? Znowu Most?

– Nie tym razem. – Mag uśmiechnął się chłodno.

A potem uchwycił rękę krasnoluda i pociągnął go, skacząc w dół.

Wpadli w toń jednocześnie, Yasa milcząc, Yudherthardere wrzeszcząc wniebogłosy.

Weszli pod powierzchnię, ale mag wyciągnął ich błyskawicznie i posadził na skale.

– Witaj, kuzynie – odezwała się cicho Uri, wstając z kamienia tuż obok mężczyzn.

– O kurwa – westchnął krasnolud, gapiąc się na nagą piękność.

– Bywałam tak nazywana – chłodno zauważyła kobieta – ale zawsze bezpodstawnie.

Tropiciel, jak mniemam?

Sodiemu, zauroczonemu kobiecym ciałem, brakło słów, więc tylko skinął głową.

– Rzekłabym, że mi miło, ale byłoby to bezczelne łgarstwo – uśmiechnęła się Pierwotna, a potem ponownie zwróciła do Yasy: – Tęskniłeś, kuzynie?

– Nie bardzo, Uri.

– Znowu kłamiesz, mój drogi. Cóż... – Odsunęła się od nich. – Zatem przyszedłeś mnie zabić?

– Nie dajesz mi wyboru.

– Jestem twoją rodziną. Jedyną, jaka ci została.

– Nie dajesz mi wyboru, Uri.

Pokiwała głową.

– Ludzie zawsze byli ważniejsi, pamiętam. Spróbuj więc, mój drogi. – Odwróciła się i gładko wskoczyła do jeziora.

Ledwie zaś jej głowa znikła pod powierzchnią, Sodi zaczął krzyczeć.

\*\*\*

Likal usłyszała krzyk krasnoluda.

Siedziała w królewskim ogrodzie w Dolinie Serbithów. Przyglądała się, rozpaczliwie znudzona, małemu kolorowemu ptaszкови skaczącemu po rabatkach. I modliła się, chociaż przecież nie była wierząca, o to, żeby coś się zdarzyło. Cokolwiek, co oderwie ją od nudnego, codziennego obowiązku poznawania serbithowskiej fauny i flory.

I właśnie wtedy usłyszała krzyk Sodiego. To dziwne, bo Yudherthardere wyjechał. Jeszcze dziwniejsze było to, że krzyk zabrzmiał tuż przy jej głowie.

W tej samej chwili poczuła ból. Ból... Yasy? Cierpienie odbierało mu siły... odbierało siły jej.

Co się działo? Dlaczego? Gdzie?

Wrzasnęła, wstając gwałtownie. Książka, leżąca dotąd na kolanach, poleciała w trawę. Likal nie zauważyła tego. Była zajęta wpatrywaniem się w potężniejący z chwili na chwilę jaskrawy portal tuż przed nią.

\*\*\*

Uri błyskawicznie rzuciła zaklęcie. Nie zdążył zareagować. Może gdzieś w głębi duszy nie był gotowy, by zaatakować kuzynkę? Kiedy zanurkowała, a Sodi zaczął krzyczeć, Yasa wiedział, że przegrał. Magia snu otoczyła go zniewalającą obietnicą. Zatonął. Ciepło i słodycz zamykały się wokół maga następującymi po sobie falami. Próbował je odrzucić. Zmrużył oczy i pomyślał zaklęcie. Nie zadziałało.

Yudherthardere słabł. Wrzask cichł. Tropiciel nie radził sobie z pierwotną mocą.

Yasa zacisnął zęby. Słowa. Musiał wypowiedzieć słowa. Na głos... Ale nie miał już siły.

– Przykro mi, kuzynie – wyszeptła Uri. – Chcę żyć. Nawet tak.

Powieki maga opadły. Śmiertelny sen wsuwał się porami skóry. Krzyk Sodiego przeszedł w jęk.

I naraz wszystko się zmieniło. Jasność i moc pojawiły się jednocześnie. Sen się cofnął, a Yasa otworzył oczy. Z Mostu, krok od niego, wyskoczyła Likal. Błyskawicznie położyła dłonie na ramionach obu przyjaciół. Potęgi Tropiciele, Pierwotnego i młodej czarownicy stopiły się w jedno. Mag uderzył. Dotykająca go dziewczyna poczuła, jak odpływa z niej siła. Zachwiała się, ale nie upadła. Skupiona, jak nauczył ją protektor, podtrzymywała połączenie. Zespolone moce zwizualizowały płomień i uderzyły w szmaragdową taflę. Uri krzyknęła. Jeden krótki, śmiertelnie bolesny krzyk.

A świetlisty ogień wciąż tańczył na powierzchni wody.

\*\*\*

Yudherthardere ponownie otarł krew ciekącą z nosa i wychrypiał z trudem:

– Może by tak, kurwa, któreś użyło zaklęcia i powstrzymało ten krwotok, ha?

Żadne z pozostałej dwójki się nie odezwało, a i krasnolud nie liczył na odpowiedź. Wychylił się i spojrzał w dół, w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu było jezioro. Teraz pozostały tylko gołe skały. Suche, jakby nigdy nie tknęła ich nawet kropla wody.

– Nieźle. Całkiem nieźle – sapnął krasnolud.

– Jak Likal się tu znalazła? – Głos Yasy był niebezpiecznie łagodny. Sodi poczuł lekkie ukłucie strachu. Nie żeby się tego nie spodziewał. Wściekłości maga był pewien od chwili, gdy...

– Rzuciłem łączące zaklęcie. – Wzruszył ramionami w odwiecznej grze „ty mnie straszysz, ja się nie boję”, którą zawsze przegrywał. – Babka zostawiła mi kryształ z Orhea. Wy byście panny nie ściągnęli, nawet jakby ta wasza kuzyneczka klejnotami waszymi dno jeziora czyściła.

– Kryształ z Orhea – bardziej warknął, niż powiedział mag. Stał przy krasnoludzie, pochylił się nad nim i zajrzał mu w oczy. Właśnie wtedy Sodi pojął, że rzucając zaklęcie chyba odrobinę przesadził. Tęczówki Pierwotnego wydawały się być ośnieżone. – Ryzykowaliście jej życiem.

– Bo to pierwszy raz – burknął Sodi.

– Zanim skoczycie sobie do gardeł – wtrąciła się dziewczyna – może któryś mi wytłumaczy, co tu się działo?

– Jak uruchomiliście Most? – zignorował ją Yasa, wciąż stojąc nad krasnoludem.

– Nie zrobiłem tego. Połączenie miało tylko wzmocnić was czarami. To młoda musiała...

Dopiero teraz obaj spojrzeli na Likal.

– No, co? – zapytała poirytowana.

Mężczyźni przyglądali się jej w milczeniu. Bardzo niewielu czarodziejów potrafiło rozpiąć portal zwany Mostem. I byli to najlepsi z najlepszych.

– No co?! Któryś wreszcie mi to wyjaśni?! – Likal aż tupnęła ze złości.

Ten dziecinny gest rozładował napięcie między mężczyznami. Yasa uśmiechnął się łagodnie.

– Jak tylko stąd wyjdziemy.

Krasnolud raz jeszcze spojrzął na skały.

– Nie było egzorcyzmów – przypomniał sobie nagle.

– Ano, nie było – przytaknął Yasa, nie przestając się uśmiechać.

– Znaczy...?

– Właśnie to znaczy – skinął głową Pierwotny Mag.

Najpierw znajdzie tego, kto zaklął jezioro. Potem go zabije. A później...

Później zastanowi się, czy chce pozostać ostatnim Pierwotnym.

## VIII

### Dziewczynka

Kiedy przez małe okno, tuż pod powałą, przestało wpadać słońce, w izbie zrobiło się bardzo zimno. Dziewczynka owinęła się dziurawą chustą, jedną z niewielu pamiątek, jakie zostały po matce, i spojrzała na ścianę. Każdego wieczoru rysowała kolejną kreskę – jak kazał ojciec. Obiecał wrócić, nim kresek będzie tyle, co palców u jednej ręki. Dziewczynka wysunęła spod chusty szczupłe dłonie i rozcapierzywszy paluszki przykładała jeden po drugim do nierównych kresek na ścianie.

Kresek było więcej niż palców u obu rąk.

Bochen chleba, który ojciec zostawił na stole, dawno się skończył, a i wody w wiadrze już brakło. Roztarła dłonie i schowała je pod okryciem. Potem wróciła do łóżka i dodatkowo okryła się szarym pledem.

Noc nadchodziła coraz wcześniej. I była zimna. Stary koc ojca nie pomagał. W brzuchu burczało uporczywie.

Dziewczynka wstała. Sięgnęła pod rozpadające się legowisko i wyciągnęła ciężkie chodaki. Wsunęła w nie małe, chude stópki i poczłapała ku drzwiom.

Trzeba poszukać taty.

\*\*\*

Krasnolud zsunął się z siodła, posapując wściekle. Kuc, czując jego gniew, parsknął niespokojnie. Sodi zignorował zwierzę i spojrzał spode łba na towarzyszy.

– A nie mówiłem, żeby nie zatrzymywać się co chwila?! – warknął. – Byśmy już dupy grzali przy kominku w gospodzie, strawę tłusciutką pożywając. A tak, bramy miasta zamknięte, a wy każecie na nocleg pośrodku... – wskazał ręką okolicę – niczego stawać.

Wokół trójki podróżnych szumiał las, jakby na potwierdzenie słów Yudherthardere'a. Gdzieś w oddali pohukiwała sowa, a złamane racicą spłoszonej łani gałązki trzasnęły cicho. Mrok już dawno przegonił zmierzch i panoszył się teraz wśród uśpionych drzew, budząc z drzemki nocne drapieżniki.

Yasa nie zwracał uwagi na marudzenie przyjaciela. Zsiadł z konia i bez słowa wyciągnął ręce ku ślaniającej się ze zmęczenia Likal. Dziewczyna osunęła się ciężko

w otwarte ramiona. Uniosła głowę, spojrzała na trzymającego ją nauczyciela i uśmiechnęła się nieprzytomnie.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytała sennie.

Krasnolud parsknął głośno.

– Taaa... bośmy zmierzali na zadupie wielkie, do karczmy pod zmarzniętą sempiterną – warknął. – W tej sukieneczynie, to ci panna, jak nic, co nieco odmrozić się może.

– Wy się raczej o swoje co nieco martwicie, panie Sodi – burknęła rozeźlona dziewczyna. Jakoś jej się nie wydawało właściwym mówić o takich rzeczach, gdy pan Yasa wciąż obejmował ją w pasie.

– A dyć, że się martwię. Żal by było takie dobro zmarnować. – Yudherthardere rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu, na co Likal skrzywiła się okropnie.

Podtrzymujący dziewczynę mężczyzna łagodnie wypuścił ją z objęć.

– Spóźniliśmy się. Bramy miasta już zamknięte, więc przenocujemy w lesie – powiedział spokojnie. – W sakwach są koce. Rozpalimy ognisko i niczyje co nieco zagrożone nie będzie.

Nie czekając na reakcję pozostałej dwójki, zajął się rozsiodłaniem konia.

Krasnolud i czarownica wymienili zaskoczone spojrzenia. Sodi wzruszył ramionami, a potem poszedł za przykładem maga. Doru zarżał cicho, gdy Yudherthardere rozpinał mu popręg. Kudłacz poklepał kark kuca, wzdychając głośno.

– A może czar jakowyś byście zapodali? – zapytał grzecznie po chwili. – Nie żeby zaraz Most, ale może jakieś zakłątko pogodowe albo budowlane? O tak, jakąś chatynkę ciepłutką byście na jedną noc postawili. I dziewczyna by nie zmarzła, i nam by milutko było. No, czego tak patrzycie? Noce są już zimne. Dzieciak nam się przeziębi i smarkać będzie. A to widok nienadzwyczajny, taki smark z wiszącymi gilami.

– A od kiedy wyście tacy magii chętni? – zjadliwie warknęła czarownica. – Jak ostatnio pan Yasa zakłęcie rzucił, to nie ja z ogromniastego kichola broczyłam.

– Bo mnie twoja, gówniarzu, magia zaszkodziła. Jakby ino Pierwotny mocy użył...

– To by nasze truchło rybki teraz skubały – dokończył kategorycznym tonem mag. – Idźcie gałęzi nazbierać. Zostajemy tutaj.

Sodi znał Yasę wystarczająco długo, by wiedzieć, kiedy dyskusja jest jałowa, więc – nadal mamrocząc pod nosem – wypełnił polecenie czarodzieja.

Ledwie zrobił dwa kroki od polanki, na której się zatrzymali, a już las zamknął się dokoła niego. Mimo iż ciemność nie była mu obca, poczuł się nieswojo. Mrok sączył się spośród konarów i niczym żywe stworzenie zdawał się szczyryć kły. Sodi rozglądał się niespokojnie. Coś czaiło się pomiędzy krzakami... Był niemal pewien, że coś tam było.

Zebrał szybko suche gałęzie i wrócił do kompanów.

Yasa i Likal siedzieli w milczeniu. Rozkulbaczone konie pały się tuż za nimi, a przed siedzącymi wesoło trzaskało ognisko. Tropiciel warknął cicho pod skórą krasnoluda, wyczuwając magię, której użyto do wzniesienia płomieni. Yudherthardere odetchnął głęboko, żeby uciszyć alter ego, a potem rzucił drewno obok ognia.

– Taaa... To ja jak ten napalony jelonek po lesie, kurwa, hasam, a wy se tu już tyłki grzejecie, co? – Siadł ciężko obok towarzyszy, rzucając jedną z gałęzek w ognisko. Snop iskier zatańczył w ciemności, uniósł się w górę, by zgasnąć w drodze do nieba. – A jakbyś panna ten ostatni raz na szczanie nie stanęła, byśmy już w gospodzie spali. I zjeść byśmy też mogli. A zdałoby się, bo orkiestra waszych kiszek to z zimowego snu niedźwiedzia wybudzić może. Albo i co gorszego... I tak, aż mnie po plecach skubnęło, tam za drzewami. Może wójt Gythe miał rację i złe jakowe istnieje? Bo, niech tak jutro w zamtuzowe nie zajrzę progi, coś mnie tam oglądało i to nie był żaden czarodziej, bo Tropiciel ani drgnął.

Odpowiedziało mu milczenie. Likal drzemała na siedząco, otulona kocem, a Pierwotny wpatrywał się w ogień z nieobecnym uśmiechem błakającym się na bladych ustach.

– Taaa – mrucał dalej Sodi, posapując wściekle – po co słuchać krasnoluda. Co on tam wie... Ciekawe, czy tacy cisi będziecie, jak coś zara z tych krzaczorów wylezie i za dupę was chyci.

Taniec płomieni odbił się w czarnych oczach maga, gdy ten uniósł wzrok.

– Nie sądzę, by nam to groziło – powiedział łagodnie Yasa i skinął głową. – Witajcie.

Kobieta, która wyszła spomiędzy drzew również lekko się ukloniła. Trzymany przez nią za uzdę wierzchowiec kroczył, jak jego pani, niemal bezszelestnie. Puściła go, podeszła ku ognisku i stanęła w jego blasku. Koń nawet nie drgnął, zostawiony poza zasięgiem światła. Wojowniczką przyglądała się siedzącym. Była wysoka i smukła, ubrana po męsku, w czarne skórzane spodnie i także kurtkę. Odzienie, mimo że proste i pozbawione ozdób, wydawało się dobrej jakości. Ciemne włosy, związane w ciasny warkocz, sięgały połowy wyprostowanych sztywno pleców, na których krzyżowały się dwa miecze.

– Jeszcze do szczęścia ostrouchej potrzeba – wymruczał Yudherthardere. Cisnęło się mu na usta sporo inwektyw, ale w tym momencie milcząca elfka odwróciła się ku niemu i dojrzał czarną plamkę na skroni kobiety. Cofnął się gwałtownie i nerwowo spojrzął na Yasę.

– Usiądźcie, pani – miękko zaprosił Pierwotny, ignorując przyjaciela. – Ogrzejdzie się z nami przy ogniu. Jestem...

– Jesteście Pierwotnym, a to Tropiciel i wasza protegowana, której imienia nie pomnę – dokończyła za niego elfka. – Słyszałam o waszej trójce. Wiedziałam, że zmierzacie do Bertho. Nie zdążyliście przed zamknięciem bram. Jak ja. – Wciąż stała, przyglądając się to krasnoludowi, to magowi. Dziewczynę obdarzyła szybkim spojrzeniem, ale uznawszy, że nastolatka nie stanowi dla niej zagrożenia, przestała się nią interesować.

– Jestem Yasa, to Sodi Yudherthardere i Likal – kontynuował Pierwotny, zmuszając tym samym kobietę do przedstawienia się. Tego wymagała grzeczność i – co ważniejsze – Tradycja.

Elfka przez chwilę milczała, wciąż stojąc bez ruchu. Yasa uśmiechnął się chłodno, czując lepkie macki telepatii, wsuwające się w jego myśli. Odbił je z łatwością i uniósłszy brwi, nie spuszczał wzroku z wojowniczką.

Kiwnęła głową i usiadła naprzeciw trójki przyjaciół.

– Zwał mnie Tria – przedstawiła się.

– Miło poznać – warknął zjadliwie krasnolud.

Nie uśmiechnęła się. W milczeniu przyglądała się równie cichemu Pierwotnemu.

Tymczasem Likal minęła senność. Z mieszaniną zazdrości i zainteresowania gapiła się na siedzącą elfkę.

Ładna. Ładna, wysoka, niebezpieczna, tajemnicza... I dorosła. A pan Yasa nie odrywał od niej wzroku.

Likal już otwierała usta, żeby zasypać wojowniczkę gradem pytań – a w zadawaniu pytań Likal była mistrzynią – gdy uchwyciła ostrzegawcze spojrzenie krasnoluda. Mogła się wadzić z panem Yudherthardere. Mogła mu dokuczać, odszczekiwać na jego zaczepki, wyzłośliwiać się... tak, mogła to wszystko robić, ale zawsze wiedziała, kiedy należy posłuchać Sodiego. Wtedy, gdy w brązowych oczach rudego kudłacza pojawiał się taki... taki błysk. Jak w tej chwili.

Zmilczała więc posłusznie i tylko się gapiła.

Tria wstała, podeszła do srebrzystego elfiego wierzchowca i zdjęła z jego grzbietu sakwy. Wyjęła z nich koc, który rzuciła na ziemię, trzy kroki od ogniska. Usiadła i wyciągnęła ręce ku płomieniom. Mag w tym czasie sięgnął za siebie, po juki, żeby wyjąć zawiniątka z suszonym mięsem i mały bochen chleba. Podzielił zapasy między siebie i przyjaciół, ostatnią część wyciągnął ku elfce.

– Zdaje się że nie macie prowiantu – powiedział.

Zawahała się

– Dziękuję. – Sięgnęła po podarunek, a Pierwotny drgnął, patrząc na szczupłą dłoń kobiety. Zrobił to ledwie dostrzegalnie, ale krasnolud i tak zauważył. Zmarszczył grube brwi i podążył za wzrokiem przyjaciela.



Sina runa przecinała skórę elfki, od serdecznego palca ku kciukowi. Sodi gwałtownie wciągnął powietrze. Dawno temu na syreelskim uniwersytecie uczył się staroelfiego. Nigdy nie miał daru do języków, ale akurat to słowo pamiętał. Pamiętał też jego znaczenie wśród Czarnych Elfów.

Na polanie ponownie zapanowała cisza, przerywana tylko dźwiękiem trzaskającego ognia.

– No to śmy se pogwarzyli, aż miło – sapnął krasnolud, wycierając ręce w spodnie. – Że zaś sił mnie brak, co by te wasze konwersacje przekrzyczeć, pozwolicie, że się kimnę nieco? – I unikając wzroku wojowniczkę, owinął się w szarą derkę i położył.

Młoda czarownica wciąż przyglądała się pięknej elfce z niechęcią. Pragnienie wyrażenia tego uczucia wyzierało z niebieskich oczu dziewczęcia. Marszczyła drobny nos, krzywiła się, ale milczała. Wreszcie, zmęczona niemożnością odezwania się, owinęła się derką i położyła obok krasnoluda. Po chwili sen złagodził rysy zagniewanej panny.

Dopiero wtedy Yasa zwrócił się do elfki:

– Śledziliście nas?

– Nie.

– Spotkaliśmy się więc całkiem przypadkiem? Całkiem przypadkiem, mając misję powierzoną wam przez Agrah Erra, nie zdążyliście przed godziną zamykania bram Bertho?

– Wy nie zdążyliście – wzruszyła ramionami.

– Nam się nie spieszy.

– Mnie też nie.

– Zapomniałem – uśmiechnął się przepaszająco – że czarnoelfi juryści wierzą w beczasowość sprawiedliwości.

Skinęła głową.

– Poznaliście runę – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Nie ukrywaliście jej.

– Nie ukrywałam. Jestem jurystą wysłanym przez mojego króla. – Każde słowo tchnęło dumą.

– Agrah Err wie, że juryści nie są lubiani w Krainie. Nie powinien wysłać was pojedynczo.

– Mamy prawo, błogosławione przez Tradycję i akceptowane przez Króla Królów.

Yasa roześmiał się chłodno.

– Raczej tolerowane. I to z wielkim trudem. Reinghart pozwala Czarnym Elfom na kultuwanie waszych tradycji, bo boi się przeciwstawić siostrze Agrah Erra, boi się stracić resztki jej szacunku.

Milczała, przyglądając się Pierwotnemu.

– Bertho nie jest miejscem pełnym bogobojnych i tolerancyjnych mieszkańców – kontynuował mag. – Dwa wieki temu wyrznięto tu Gaali, a za Białego Kodeksu berthoanie urządzali elfie żniwa. Nie oszczędzali nawet niemowląt.

– Biały Kodeks zniesiono ponad trzydzieści lat temu – przypomniała wypranym z emocji głosem. – Teraz zabicie elfa jest karalne tak samo, jak zabicie człowieka.

– Skoro w to wierzycie, po co juryści?

– Czasami ludzka sprawiedliwość nie wystarczy.

Ogień trząsał cicho, a snopy iskier unosiły się ku niebu. Yasa westchnął. Owinął się kocem i położył między podopieczną i krasnoludem. Przez chwilę patrzył w gwiazdy, a ciepły uśmiech nie znikał z ust mężczyzny. Potem ponownie spojrzął na elfkę. Przypominała mu kogoś. Kogoś, za kim tęsknił... czasami. Kogoś, komu zawdzięczał życie, a może i więcej. Tylko tamta miała trzy białe pasma w ciemnym warkoczu.

Przymknął powieki.

– Płomień nie zgaśnie do rana – powiedział cicho, nie otwierając oczu. – Przysuńcie się bliżej ognia, bo noce bywają mroźne.

Kobieta skinęła głową. Przysunęła się o krok.

Skry wystrzeliły błyskawicznie. Zapłonęły intensywnie, tuż przed twarzą zaskoczonych czarnoelfiej jurystki, układając się w złoto-krwawy obraz. Wizja płynęła, zmieniała się, uwodziła tańcem światła i mroku, czerwieni i złota, aż po jaskrawą biel. Źrenice Trii to rozszerzały się, to zwężały, aż umęczone tym płasem powieki opadły, a kobieta zasnęła.

– Ale wiecie, że mi łeb pulsuje, jak już wy wiecie co u jednej cichodajki, co to jej łatwo dogodzić było, nie? – wymamrotał Sodi, siadając. Wyraz jego brzydkiej twarzy wyraźnie przy tym wskazywał, że krasnolud szczerze o owym pulsowaniu mówi. – I co to za pomysł, żeby na elfią jurystkę czar łączenia czuć rzucać, ha? Całkiem wam rozum odjęło? Czy aż tak panna Zakonna wam przypomniała, żeście ryzyko podjęli, co?

– Yudherthardere – ostrzegawczo szepnął Yasa.

– Co Yudherthardere? – warknął Sodi. – Przecie widziałem, jak tylko baba spomiędzy drzewek wyskoczyła, że wam rozum... już wy tam wiecie gdzie... się zsunął. Całkiem jakby to sama Zakonna ku nam wylazła.

– Yudherthardere...

– Dyc, kurwa, pamiętam, jak się zwę. Nie musicie mnie tak ciągle przypominać – wyszczerzył się krasnolud. – Jurystka, niech mnie bogowie na drogę cnoty wołami ciągną... jurystka od Czarnoelfiego Króla. Jak oni to mówią? Sąd i kat w jednej osobie, nie? Znaczą ktoś straszliwie Agrah Erra wkurwił. Inaczej by panny do tej siedziby piekielnych rasoczyścicieli nie słał. – Zawiesił głos, wpatrując się w przyjaciela. Ten westchnął i po dłuższej chwili odpowiedział:

– Zapewne.

– A wy się martwicie, że se kobitka nie poradzi? Dlategoście jej czucie ze swoim złączyli? A mogeż to spytać... PO CIĘŻKĄ CHOLERĘ?! Czarnoelfi król nie jest w ciemię bity, a i wy jakoś dotąd z podkasaną koszulą nie lataliście za elfami, żeby im rzyć ratować.

Odpowiedziało mu milczenie. Yasa wpatrywał się w niebo, jakby tam szukał odpowiedzi na pytanie Sodiego. Nie dziwiło go, że wyszkolony Tropiciele odkrył rodzaj zaklęcia. Nawet gdyby krasnolud spał – a przecież tylko udawał – podświadome alter ego zarejestrowałoby uderzenie mocy.

– Taaa... jak nic się wam Zakonna wspomniała i rozum wam w malutkiego Pana Yasę zszedł – kontynuował rudy brodac. – No nic. Ni ma co rozpaczać. I takeśmy mieli o Bertho zahaczyć, to mozem i dupy jaśnie jurystki pilnować. A dupę, jakem zdążył obeznać, ma panna niczego... I nie wyjeżdżajcie mnie tu znowu z miana mojego daremnym używaniem. Samiście w te partie zajrzeli. Oczy mam, widziałem. Oj, się to naszej gówniarze nie spodoba. – Pokręcił głową, kładąc się z powrotem. – Całkiem jej to w smak nie będzie.

Owinął się kocem, nie przestając mamrotać. Yasa zaś spojrzął na śpiącą obok młodą wiedźmę. Płomienie oświetlały regularne rysy dziewczęcia i zdawały się wsuwać w rozchylone pełne wargi. Mag poprawił okrycie podopiecznej, mimo iż bynajmniej nie wymagało poprawiania, i westchnął.

Sodi miał rację. Likal nie będzie zachwycona.

\*\*\*

Noc była zimna, a tata całkiem zniknął. Chodziła i chodziła, i wcale go nie znalazła. No i chusta mamy wcale nie grzała. Dziewczynka pocierała ramiona, ale to i tak nic nie dawało. Drżała coraz bardziej, a zębki, mimo że zaciskała usteczka z całych sił, szczękały jak takie coś, na czym grał muzykant na letnim jarmarku. Tylko tamto jej się podobało.

A to teraz już nie.

Zimno. W brzuchu coś tak dziwnie ścisnęło. I bolało też. Stopy w za dużych chodakach zrobiły się czerwone, ale już nie bolały. Za to tak... szczypały, jak wtedy, kiedy weszła w kopiec mrówek. Tata wtedy krzyczał.

Na wspomnienie taty pociągnęła nosem. Gdzie on jest? I czy ją znajdzie? Może nie powinna wychodzić z domu? Nie może więcej rozmyślać. Usiądzie tu i zdrzemnie się pod tymi drzwiami. Oparła się o odrapane wejście do małego domku na obrzeżach ulicy, a ono skrzypnęło cicho i dziewczynka z piskiem wpadła do środka. Wstała szybko i chciała uciec. Ale była już strasznie zmęczona, zmarznięta i głodna.

Chodziła długo i nie znalazła taty. A dom wydawał się opuszczony i ciepły. Przytulny. Weszła więc powoli, ściągając chodaki, żeby nie narobić hałasu, a potem delikatnie zamknęła drzwi. Przez chwilę nic nie widziała, a potem oczy przywykły do ciemności, rozjaśnionej słabym światłem wpadającym przez wąskie okienko. Dojrzała stół, a na nim zarys czegoś, co wyglądało jak pajda chleba. Rzuciła się ku niemu i łapczywie wepchnęła podeschniętą kromkę do ust.

Po kilku dniach głodowania suchar smakował jak najlepsze delicje.

W kącie izby stało łóżko. Podreptała do niego, wsunęła pod gruby, drapiący koc i błyskawicznie zasnęła.

\*\*\*

Elfka odjechała. Jedyne wygnieciona trawa tuż przy dogorywającym ognisku, świadczyła o tym, że mieli w nocy gościa. Czy nie pamiętała, że Yasa potraktował ją magią, czy nie chciała mu tego wypominać – dość, że spakowała rzeczy i opuściła polanę jeszcze przed świtem. Pierwotny nie spał. Słyszał niemal bezszelestne kroki, ale nie otworzył oczu i nie spojrzał na kobietę. Skoro chciała odejść bez słowa – jej wola.

Jego wolą było ochraniać podwładną Agrah Erra, kiedy będzie w Bertho.

Uniósł powieki, gdy kroki elfiego konia ucichły w oddali. Słońce właśnie się budziło, poszarzał horyzont, Sodi chrapał głośno i nieregularnie, a Likal spała, zwinięta w kłębek niczym jasnowłose kocię. Pszeniczne kędziorzy to unosiły się, to opadały, poruszane oddechem śpiącej. Yasa uśmiechnął się i delikatnie odsunął loczek z nosa dziewczyny, a potem ponownie zamknął oczy, pograżając się w rozmyślaniach.

Niegasnące ognisko wciąż łagodnie ogrzewało śpiących, oddalając smutki i złe wspomnienia. I tylko jego twórca nie potrafił jakoś poddać się własnej magii. Zwłaszcza że wspomnienia, szczególnie te najgorsze... ale i te dobre również... przywołała czarnowłosa wojowniczką.

– Coś się mnie tak zdaje, że wam dziewczuszka całkiem we łbie namieszła – wymamrotał krasnolud. Usiadł i przetaił oczy wielkimi pięściami. – Otoczyliście się czarami, że aż mi we łbie huczy. A właśnie mi się przyśniła jedna cichodajka z królewskiego zamtuza w Syrelle. Mówię wam... nie było drugiej takiej w całej Krainie. Pięknością może i nie grzeszyła, ale co tymi swoimi rączkami wyczynić potrafiła... Ciekawe – zamyślił się na moment – czy też dalej w stolicy urzęduje. Lata już minęły. Z takim darem to i może własnego lupanaru się dorobiła.

– Wpadnijcie do Syrelle i się przekonajcie – cicho odrzekł Yasa, nie otwierając oczu.  
– Król Królów chętnie was ugości.

– No... Będzie się mną radował, prawie jakby was zobaczył.

Obaj uśmiechnęli się jednocześnie. Niechęć Reingharta do Pierwotnego była legendarna.

– To jak? Budzim pannę i w drogę?

– Tam zaraz budzim – warknęła Likal, podnosząc się. – Gdzie bym spać mogła, słuchając waszych przecudnych wspominek. Kiszki pierwsze usłyszały i wybudziły mnie z tej słodkiej drzemki, co ją panu Yasia zawdzięczam. Tak się biedne przewracać we mnie poczęły.

– Z głodu, panna, z głodu. Śniadania ci potrzeba, a zjesz, to i kiszki na miejsce wrócą – uśmiechnął się krzywo Yudherthardere. Poderwał się rześko. Strzepnął derkę i błyskawicznie ją poskładał. Potem spojrział na pozostałą dwójkę. – No? Na co czekamy?

Yasa uniósł leniwie powieki.

– W sumie to na nic – odpowiedział miękko.

Naraz płomienie, które zdawały się dogasać, wybuchły z nową siłą. Ognisko rozrosło się błyskawicznie, zajmując sporą część polany. Żółtem i czerwienią szarpnęło ku niebu. Sykiem i trzaskiem rozerwało ciszę. Płomienie tańczyły między koronami drzew, mieniając się wszelkimi odcieniami żółci i czerwieni. Pojedyncze iskierki odrywały się od słupa ognia i migocząc opadały. Skra po skrze, w niekończącym się widowisku światła i ognia.

Likal patrzyła zauroczona na bajeczne przedstawienie, a Sodi jedynie przewrócił oczyma, krzywiąc się niemiłosiernie, bo podrażniony czarami Tropicielel warczał w podświadomości.

Mag uśmiechnął się lekko. Uniósł dłoń, by zaraz ją opuścić. Gdy zaś to zrobił, płomienie zgasły, odsłaniając połyskujący bielą, żółtem i czerwienią elegancki powóz.

– No, niech mi talarków na lupanar braknie – wymamrotał krasnolud. Podszedł z wahaniem i dotknął złoconych drzwiczek powozu. Zaraz jednak cofnął rękę, potrząsając nią, jakby się poparzył. – Nie da rady, panie Yasa. Krasnolud do tego nie wsiądzie. Za dużo pierwotnego czarodziejstwa. I rzeknijcie mi, po cholere kolaska? Nie możemy normalnie? Wierzchem? Czegoście takie cacko wydumali, ha?

Yasa wzruszył ramionami, bez słowa przyglądając się podopiecznej. Młoda czarownica też podeszła do powozu. Wolno przesunęła palcami po lakierowanej powierzchni. Zmrużyła powieki, przekrzywiła głowę i rzuciła szybkie, pytające spojrzenie magowi. Pierwotny wolno skinął głową.

Likal zacisnęła dłonie. Zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko i wyszeptała zaklęcie.

Szeleszcząc głośno, brązowe liście pchane przez wiatr sunęły wezwane magią, aż dotarły do czarownicy. Tam zatrzymały się i zaczęły układać jeden na drugim. Po chwili osiem kopców pięło się w górę. Liść na liściu, unoszone coraz wyżej, najpierw

budowały kolumny, by w końcu połączyć się w niesamowite brązowe i szeleszczące figury. Przez moment liściaste wierzchowce chybotwały się na wietrze, wreszcie jednak nabrały ciała, a w porannym słońcu zalsniła czarna grzywa gniadoszy, z pysków zaś dobył się pierwszy oddech.

– O niech tak jutra nie doczekam – wyszeptał krasnolud. Przetarł wielkimi pięściami oczy, gapiąc się na zwierzęta, stworzone przed chwilą magią Likal.

Magią, której prawie nie czuł.

Dziewczyna zaś klasnęła w dłonie i roześmiała się.

– Udały mi się, prawda? I nie bolało? Panie Sodi, nie bolało, co nie? – zapytała.

Krasnolud, któremu naraz brakło słów, tylko patrzył. To na zwierzęta, to na czarownicę, to na Pierwotnego. Mag uśmiechał się. Podszedł do gniadoszy i zaprzągnął je do powozu. Zwierzęta parskały niespokojnie, bijąc kopytami w ziemię.

– Mogłaś, panna, wyczarować jakieś potulniejsze chabety – warknął wreszcie Yudherthardere, nieco wystraszony umiejętnościami dziewczyny.

– Poczują waszą woń, to i się im niełacno zrobiło – odszczekała Likal i pokazała krasnoludowi język.

– Panna bliżej stoisz, to od waszego pachnidła tak im pilno uciec.

Dziewczyna złapała się pod boki, otworzyła usta...

– Głodny jestem – leniwie odezwał się Yasa.

Zdumieni towarzysze podróży zagapili się na maga. Tak byli zaskoczeni nagłą deklaracją, że naraz zamilkli. Albowiem Pierwotny nigdy o rzeczach tak przyziemnych jak głód nie raczył był opowiadać. Z tej samej przyczyny – zdumienia rzecz jasna – chwilę później w kompletnym milczeniu wyruszyli do miasta.

\*\*\*

Bertho leżało na szlaku wiodącym z Krainy do Zachodnich Łądów i chociaż przed trzydziestu laty straciło prawa książęcego grodu, wciąż można było dostrzec resztki dawnej świetności. Czyste, jasne ulice przy których stały rzędy eleganckich domów z barwnymi, wypielegnowanymi ogródkami. Bogato odziani przechodnie udawali, że nie interesuje ich elfia wojownicza jadąca na srebrzystym rumaku. Starannie omijali wzrokiem i jeźdźca, i wierzchowca, bacząc, by przypadkiem nie stanąć na drodze żadnemu z nich. Dopiero gdy elfka ich mijała, mieszkańcy odwracali się i z pogardą zerkali za jadącą. Ostroucha zaraza – warczał co odważniejszy. Zawsze jednak cicho, tak aby przypadkiem kobieta nie dosłyszała obraźliwej uwagi.

Nie było dnia, by berthoanie nie tęsknili do czasów Białego Kodeksu, gdy prawo nie tylko zezwalało na oczyszczenie Krainy, ale nawet wymagało go. Do czasów, gdy żaden ostrouchy bękart nie mógł spać spokojnie. Wtedy takie coś nie mogłoby

podróżować przez krański gród z podniesionym czołem, jakby było równe ludziom. Ba! Jakby było od nich lepsze.

Tria jechała powoli, nie interesując się mijanymi ludźmi. Nie była świadoma ich nienawiści, lecz nawet gdyby była – nic by jej to nie obeszło. Od chwili gdy kobieta przekroczyła południową bramę miasta, czuła tylko ból. Ból, gniew, strach i rozpacz. Elfia krzywda parzyła jej skórę. Wciskała się porami i płynęła wraz z krwią, drażniąc nerwy, kurcząc mięśnie, zwężając źrenice. Dziesiątki lat okrucieństwa opowiadało teraz jurystce swoje historie. Obraz po obrazie mknęły w podświadomości szybciej niż jej własne wspomnienia i zakotwiczały się, by nie mogła zapomnieć. Oddychała płytko, ale nie po to, by pozbyć się tego bólu.

Po to, by go utrwalić.

Gdy zaś ostatnie wspomnienia pomordowanych w Bertho elfów staną się jej wspomnieniami, Tria znajdzie to, dla którego przybyła.

\*\*\*

Powóz zrobił ogromne wrażenie na karczmarzu. Zgięty w ukłonach, widząc w wyobraźni ogromną górę talarów, tłuściutki właściciel najzacniejszej gospody w mieście kazał przygotować nowym gościom najlepsze pokoje. Bogactwo zaprzęgu i jakość odzienia błyskawicznie pomogły tak gospodarzowi, jak i jego sługom zapomnieć o niechęci do krasnoludów.

– Taaa... – Sodi starł rękawem tłuszcz z grubych warg. Zagapił się łakomie na duży półmisek mięsa, stojący tuż przed nim. Zjadł już pięć kawałków, ale jedzenie było tak dobre, że sięgnął po następny. – Taaa... tera to ja rozumiem, po coście tę kolaskę wyrzucowali. – Oblizwał paluchy i sięgnął po kolejny kawałek. – Jak jakie, nie przymierzając, króle czy inne szlacheckie paniska nas ugościli. – Wcisnął w usta jeszcze jeden kęs i przeżuwał przez chwilę w milczeniu. – Wiecie, że pościel haftowaną dali? Haftowaną! Takie cuda to żem ostatnio na dworze jaśnie, niech ją ślepy osioł do ołtarza prowadzi, królowki widział. – Rozpiął pas i rozejrzał się po pustej o tej porze izbie. Oprócz nich jeszcze czterech mężczyzn zasiadało przy stołach w karczmie. Siedzieli przy wejściu i rozmawiając półgłosem raczyli się piwem. Co jakiś czas jeden z nich, łysy chudzielec, rzucał Sodiemu szybkie, niechętne spojrzenie. Zaraz jednak pochylał głowę i wracał do rozmowy z towarzyszami.

– Patrzcie ino, jakie te miejscowe to serdeczne chłopcy. – Krasnolud uśmiechnął się krzywo. – To jakie mamy plany, panie Yasa?

Nim jednak mag zdołał odpowiedzieć, drzwi karczmy skrzypnęły cicho. Siedzący przy nich mężczyźni zamilkli nagle. Zagapili się na wchodzącą. Zdziwienie bardzo

szybko zmieniło się w pogardę. Poderwali się z ław, zastąpili kobiecie drogę i splunęli pod jej stopy.

Tria zatrzymała się. Promienie słońca odbiły się w srebrnych rękojeściach mieczy przypiętych na jej wyprostowanych jak struna plecach. W chłodnym obliczu elfki trudno było znaleźć choćby ślad emocji, gdy spojrzała na czterech nie grzeszących trzeźwością ludzi. Nie powiedziała ni słowa, tylko patrzyła.

– Ej, Tonte! – wrzasnął ten sam łysy chudzielec, który przyglądał się Sodiemu. – Coś ci klientela na psy schodzi! Suki wciskają się nieproszone!

Przywołany gospodarz wybiegł z zaplecza. Zaraz jednak zatrzymał się, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, i bezradnie patrzył na scenę przy wejściu.

– Suki jak suki – mówiąc to, Sodi uniósł się powoli – ale kundle to już wcześniej wasz przybytek, gospodarzu, nawiedzały. I to kundle najgorszego sortu. Rzekłbym, że dopiero teraz nieco wam się klientela poprawiła.

Krasnoludom co prawda nie po drodze było z elfami i Yudherthardere nigdy dla ostouchych włosa w swej rudej brodzie by nie naraził, tym razem jednak dałby sobie owego włosa wyrwać, że łysol, do wojowniczkę pijąc, i jego miał na myśli. Że zaś po dobrym posiłku humor Sodiemu dopisywał, a dziadunio – niech dobre bogi miodem go raczą w zaświatach – zwykł mawiać, że nie ma jak solidna porcja ćwiczeń po obfitym śniadaniu, jego wnuk uznał, że co tam, może i czarnowłosej właścicielce atrakcyjnego zadka nieco pomóc. Zawsze to przecież nowa przyjaciółka jego przyjaciela, no nie? Dlatego też wstał i ostentacyjnie sięgnął po toporek.

Zachowanie krasnoluda tak zaskoczyło zaczepną czwórkę – bo przecież czego jak czego, ale komitywy niskiego brodacza z ostouchą się nie spodziewali – że zamiast kontynuować ubliżanie przedstawicielce zniechęconej rasy, stali z ogłupiałymi minami na czerwonych gębach, gapiąc się to na Trię, to na Yudherthardere'a.

– Myślę, panowie – Yasa zaakcentował ostatnie słowo, uśmiechając się zimno – że czas wam do domu wracać.

Nie wstał, nie sięgnął po broń, ale naraz w głowach czterech berthoan pojawiły się obrazy tak przerażające, że czym prędzej wybiegli z gospody.

– Zapłacić! – wrzasnął za nimi karczmarz, odzyskując naraz rezon. – Kto mi, łachudry jedne niedomyte, za piwo zapłaci?! – darł się, biegnąc za niefortunnymi klientami.

Tria wyminęła go i podeszła do stołu, przy którym siedziała trójka przyjaciół. Bez słowa skinęła krasnoludowi, a potem usiadła. Yudherthardere westchnął, nieco rozczarowany, że nie doszło do rozróby i, odłożywszy toporek, również usiadł.

Wojowniczką w milczeniu wpatrywała się w Pierwotnego.

– Cofnij – powiedziała wreszcie, a na elfim obliczu pojawił się ślad irytacji.



Yasa uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Kiedy sięgnął po mięso, szczupła, mocna dłoń zamknęła się wokół jego ręki.

– Cofnij – powtórzyła Tria przez zaciśnięte szczęki.

Likal patrzyła zdumiona na protektora i elfkę.

– O co chodzi? – zapytała wreszcie.

– Nie wciskaj się, gówniarzu, kiedy dorośli konwersują. – Krasnolud z przyjemnością obserwował pojedynek na spojrzenia pomiędzy czarodziejem i wojowniczką. Kiedy młoda czarownica fuknęła rozeźlona, klepnął ją lekko w ramię. – Chodź, panna, przejdziem się. Miasto obejrzym. Nie będziem w takiej błyskotliwej pogawędce przeszkadzać. – A że Likal nie drgnęła, szarpnął ją lekko. – No chodźże, dziewczyno.

Posłuchała wreszcie, acz niechętnie, bo patrząc tak na tę ładną, dorosłą i tajemniczą kobietę, niemal czuła swoje pękające z żalu serduszko.

Kiedy krasnolud i czarownica wyszli, Yasa wyswobodził się delikatnie.

– Stęskniłaś się? – zapytał, nie przestając się uśmiechać.

– Bardzo zabawne – zimny ton przeczył słowom. – Jakbyś nie wiedział, że przyciągnęła mnie twoja magia. Och, przestań być takim zadowolonym z siebie...

– Kim?

– Wiesz kim. Czytasz w myślach, prawda?

– Czytam. Myślałem, że czarnoelfie jurystki są wyjaławiane z uczuć.

– Źle myślałeś. Cofnij.

Pokręcił głową.

– Dlaczego? – zapytała, podnosząc głos.

– Taki mam kaprys – szepnął. Wstał. Zrobił ledwie krok, gdy czarnoelfie ostrze znalazło się na jego gardle.

– Cofnij – warknęła elfka.

– Naprawdę? – Zajrzał w ciemne oczy kobiety.

Ostrze opadło z brzękiem na kamienną podłogę. Tria przylgnęła do maga. Uniosła głowę. Rozchyliła wargi... Yasa przesunął opuszkami po policzku jurystki.

– Cholera – westchnął smutno – nie wiedziałem, że będzie aż tak... kusząco. – Obrysował palcami usta ciemnowłosej, a potem ponownie westchnął. – Nie. Wolę bez magii. Przynajmniej na tym etapie. – Odsunął się, uwalniając Trię spod swojej władzy.

Opadła ciężko na ławę i, marszcząc brwi, powiedziała:

– Nie rozumiem cię, Pierwotny Magu.

Roześmiał się głośno.

– Kochana, nie ty jedna.

– Połączyłeś nasze uczucia? Dlatego zapragnęłam cię przed chwilą.

– Dla mnie to też nie był najłatwiejszy poranek. Ten cały ból...

Skrzywiła się.

– Poczujesz.

– Mówiłem ci, że to nie jest najlepsze miasto dla elfów.

Potaknęła.

– Nie jestem zwyczajnym elfem – powiedziała po chwili. – Nie musisz mnie chronić. Bo chyba to miała na celu ta magia, prawda? Chędożenia nie chcesz...

– A kto ci powiedział, że nie chcę? – Uśmiechnął się mag.

Zamrugnęła zdumiona, a Yasa pochylił się nad nią.

– Wiem, że nie jesteś zwyczajnym elfem – wyszeptał w rozchyłone zdziwieniem usta kobiety.

Zablokował czar współodczuwania i czekał. Ledwie chwilę.

\*\*\*

Zobaczyła to, gdy otworzyła oczy. Długo ich nie otwierała, kiedy się obudziła. Było tak przytulnie, tak ciepłutko. Słoneczko łaskotało w nos i namawiało do uniesienia powiek. Dziewczynka zaciskała je z całych sił, uśmiechając się. Było jej dobrze. Tak dobrze, że wyobraziła sobie mamę podchodzącą do łóżka. Roześmianą mamę, której tata mierzwił włosy.

Ale kiedy otworzyła oczy, mamy nie było. I taty też nie. Leżała w obcej izbie. Za oknem świeciło słońce. Mocnym, jasnym światłem.

Usiadła, przetarła oczy, a potem rozejrzała się. I zaczęła krzyczeć.

\*\*\*

Dotarli na obrzeża miasta. Do dzielnicy skromnych domów i ciasnych uliczek. Wbrew zapowiedziom Sodiego nie spacerowali, zwiedzając. Raczej maszerowali we wścieklej ciszy. Złamane serce Likal zagoiło się błyskawicznie, ale blizna po ranie drażniła dziewczynę jak cierń wbity w piętę. Każdy krok wbijał ów cierń głębiej, lecz właścicielka pięty zamiast zwolnić – przyspieszała. Nieszczęsny krasnolud zaś prawie biegł za nią, bojąc się gniewu Pierwotnego, gdyby dziewczynę stracił z oczu.

I właśnie w chwili, w której zamierzał porozmawiać z panną – używając eleganckich słów, z czego przecież był znany – w tej właśnie chwili ciszę przedpołudnia rozerwał przeraźliwy dziecięcy krzyk.

Sodi zatrzymał się czując, jak włosy na karku stają mu dęba. Dzieciak wrzeszczał, jakby go obdzierano ze skóry. Raz czy dwa razy Yudherthardere słyszał taki strach i zawsze oznaczał on jedno.

Śmierć.

Czarownica również się zatrzymała. Jak przebudzona ze snu, potrząsnęła głową i rozejrzała się, nasłuchując. Zlokalizowała dźwięk i pobiegła w jego kierunku, zanim krasnolud zdołał ją zatrzymać.

– Kurwa! – zaklął Yudherthardere, biegnąc za dziewczyną.

Wpadł do niewielkiego domu zaraz za podopieczną Pierwotnego. Ledwie zdołał się zatrzymać, żeby się z nią nie zderzyć.

– Co się...? – nie dokończył.

Mała, może sześciolatka dziewczynka stała na łóżku, próbując wcisnąć się w ścianę i wrzeszczała, patrząc nieprzytomnie w kąt pokoju. Likal zatrzymała się o dwa kroki od dziecka i patrzyła w to samo miejsce. Krew odpłynęła z twarzy młodej czarownicy, a spojrzenie wyrażało czyste przerażenie.

W kącie izby leżało sześć trupów.

Obfite śniadanie przewróciło się w krasnoludzkim brzuchu. Przełknął głośno. Wyminął Likal i podszedł do krzyczącej. Spróbował ją chwycić, ale mała – wciąż wrzeszcząc – drapała i wyrywała się.

– Uśpij ją! – Odwrócił się do czarownicy, ale dziewczyna nie zareagowała, wpatrzona w ciała. Złapał ją więc za ramię i potrząsnął. Zamrugła półprzytomnie. – Uśpij dzieciaka! Szybko! Zanim oszaleje, a my, kurwa, ogłuchniemy!

Likal wracała z długiej podróży, pełnej straszliwych wspomnień, więc chwilę potrwało, nim zrozumiała, czego od niej żąda. Zamknęła oczy, odetchnęła i wyszeptała zaklęcie. Wrzask ucichł, a dziecko opadło bezwładnie na łóżko.

Krasnolud w milczeniu wziął dziewczynkę na ręce. Spojrzał na czarownicę.

– Chodź – powiedział nieoczekiwanie miękko, wskazując głową wyjście. Posłuchała z ulgą.

Na ulicy Yudherthardere zatrzymał się.

– Usiądź, panna. – Wskazał jej bruk przed domem. – Położę ci dzieciaka na kolanach. Za ciężka jest, żebyś ją trzymała.

– A wy? – zapytała niespokojnie.

– Zaraz wrócę.

– Ale...

– Nic mi nie będzie – powiedział uspokajająco, niespotykane łagodnym tonem. – Wam też nie. Jakby co, macie moc, co w perzynę roznieście pół okolicy.

Zamrugła zaskoczona. Jak dotąd żadnemu z jej opiekunów nie zdarzyło się przyznać, jak potężną władą magią.

Krasnolud tymczasem spieszenie, acz niechętnie wrócił do środka.

Zaciskając usta, podszedł do zwłok. Dwoje dorosłych i czworo dzieci leżało zarżniętych i wybebeszonych jak zwierzęta ofiarne. Zasnęta krew wsiąkła w deski

podłogi. Rozwarte do krzyku usta, wybałuszone z przerażenia oczy. Mały chłopiec zaciskający chude ramiona wokół szyi matki, przecięty w pół. Dziewczynka z rozplataną czaszką. We wnętrzościach, wydartych z ciał, poruszały się białe larwy.

Sodi odwrócił się i gwałtownie zwymiotował. Potem sięgnął po koce i nakrył ciała. Dokładnie. Z namaszczeniem.

– Chodźmy – powiedział, wróciwszy do Likal.

– To jej rodzina? – zapytała, kiedy zabrał śpiącą.

Pokręcił głową.

– Ona jest człowiekiem, a tam... to elfy. Dlatego nikt nie przybiegł, gdy mała krzyczała. I nikt im nie pomógł. Przeklęte miasto.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– No, to teraz wiemy, co tak wkurwiło Agrah Erra, że wysłał jurystkę – domyślił się Sodi. A potem, zacisnąwszy zęby, dodał: – Elfy, nie elfy... Za dzieci... Za tego małego... Kurwa! Dopilnuję, żeby zdychali, wrzeszcząc.

\*\*\*

Położyli dziewczynkę w pokoju Likal. Dziecko spało głębokim snem. Tak głębokim, że Sodi dwa razy upewniał się, że mała odдыcha.

– Nie przesadziłaś, panna, z tym czarem? – zapytał wreszcie. – Znałem kiedyś jedną babę wioskową, co tak ziółka zmieszała...

– Zaklęcie to nie ziółka – dziewczyna odsunęła włosy z chudej buzi śpiącej. – Co z nią zrobimy?

– Znaczy?

– Przecież jej nie zostawimy. Po tym, co widziała...

Krasnolud usiadł na ławie pod ścianą i westchnął ciężko.

– To nie jest ta kulawa koza, co to za wami, panna, w Dolinie chodziła. Nie możemy se tak wziąć dzieciaka. Może ma rodzinę, co jej szuka? Nie pomyślałaś, co?

– A jeśli nie ma? Weźmiemy?

– Nie wiem, czy...

– Weźmiemy. – Yasa wszedł do pokoju i łagodnie zamknął za sobą drzwi. Nie pytał, co się stało. Poznał odpowiedź, nim przekroczył próg. Odczytał ją w myślach podopiecznej. To i rozzalenie, gdy dziewczyna dostrzegła rozchełstaną koszulę opiekuna.

Cóż. Wiedział, że tak będzie.

Spodziewał się też, że Likal zaciśnie usta i odwróci wzrok. Dokładnie tak, jak to zrobiła. Westchnął cicho, podszedł do łóżka i przyjrzał się śpiącej dziewczynce. Jeszcze nim wsunął się w pogrążony we śnie umysł dziecka, głębokie cienie pod oczami

i zapadłe policzki małej opowiedziały mu część historii. Później przyjrzał się wspomnieniom. I wreszcie zobaczył to ostatnie.

Rysy maga stwardniały.

– Kiedy się obudzi, trzeba będzie ją umyć i nakarmić – powiedział, idąc do wyjścia.  
– Nie będzie pamiętała tamtego...

– Pojedzie z nami? – Tak, Likal obiecywała sobie solennie nie rozmawiać z opiekunem, ale słowa jakoś same się wymknęły.

Yasa potaknął bez słowa. Potem spojrzął na krasnoluda. Sodi skinął głową i obaj wyszli.

\*\*\*

Błagała. Ból ją zamroczył. Tylko na chwilę. Przyciskała do piersi syna. Był taki malutki. Najmniejszy z jej dzieci. Wczoraj pierwszy raz powiedział: „mama”. Taka była dumna. Jej mały skarb. Eon mówił, że będzie wojownikiem. Ona wiedziała swoje. Te wielkie czarne oczy. Oczy poety.

Ból odbierał jej siły. Słowa z jękiem opuszczały usta. Chłopiec spał. Tak lepiej. Błagała coraz ciszej. Nie miała już sił. Nie miała nadziei. Eon skonał. Słyszała rżenie starszej córki.

– Proszę – szepnęła ostatni raz.

Chichot. A potem już nic.

Tria otworzyła oczy, oddychając szybko. Ostatnie wspomnienie konającego elfa wypaliło znak pod jej powiekami. Wiedziała już, po co przybyła.

\*\*\*

Stali we trójkę przed płonącym domem. Tak grzebie się elfy. W milczeniu i płomieniach.

Czarnowłosa wojowniczką wyciągnęła oba elfie miecze i skrzyżowała je nad głową. Bez słowa, z pozorną obojętnością, przyglądała się językom ognia liżącym ściany ubogiego domostwa. Żar odbijał się w srebrze rękojeści, ogień trzaskał.

Ostrza uderzyły o siebie. Pojedyncze, dźwięczące uderzenie. A potem kolejne. I kolejne. Coraz szybciej i szybciej. Metal wykłaskiwał pożegnalne dźwięki elfiej żałobnej pieśni. Pieśni bez słów, bez łez. I bez przebaczenia.

Sodi wyrwał zza paska oba toporki. I po chwili do pieśni mieczy dołączył głuchy trzask obuchów krasnoludzkiej broni. Yasa stał sztywno, z zaciśniętymi ustami, podtrzymując magiczny ogień i zaklęcie, które sąsiadom ofiar nie pozwoliło opuścić domostw. Tylko on słyszał ludzkie krzyki, wrzaski przerażenia, że spłoną żywcem. I tylko on poznał wspomnienia tych ludzi i zobaczył ich obojętność na śmierć elfiej

rodziny. Chociaż nie zamierzał ich zabić, nie uśmierzył też ich strachu. Przeciwnie – podsycił go. Kazał im się bać. Kazał im wyć.

To był jego wkład w pożegnalną pieśń.

\*\*\*

– Kim jesteś?

Młoda czarodziejka obudziła się błyskawicznie. Mała przyglądała się jej z ciekawością. Yasa rzeczywiście odebrał dziecku złe wspomnienia, bo w szarych oczach nie było śladu niepokoju.

– Jestem Likal. A ty?

– Evanece, ale wszyscy mówią Eva.

– A więc, Evo, nasz opiekun kazał cię umyć i nakarmić. Pewnie jesteś głodna, co?

– No...

– Przyniosłam wcześniej – Likal wskazała stół. – Mleko może jeszcze ciepłe, ledwie się zdrzemnęłam, a i...

– Mleko?! – dziewczynka krzyknęła i błyskawicznie wygrzebała się spod koców. Złapała kubek i chciwie przytknęła do ust. Po chwili jakby się zreflektowała. Z żalem odsunęła naczynie i spojrzała na nową znajomą. – A ty?

– Już jadłam. To dla ciebie.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Eva wypila mleko i sięgnęła po pszenny placek. Wepchnęła go do ust tak gwałtownie, że nie mogła żuć. Siedziała więc z zapchaną buzią, bo nie potrafiła się zmusić do wyplucia choćby odrobiny posiłku.

– Eva...

– Hmm?

– Wyjmij trochę, bo się udławisz. Wiem, że dobre. Teraz będziesz zawsze jeść dobre rzeczy. Pan Yasa o ciebie zadba. Tak jak o mnie. Będziesz miała ładne ubrania. Będzie ci dobrze, ciepło i nigdy już nie będziesz głodna. Pan Yasa się tobą zaopiekuje.

Dziewczynka przełknęła z trudem, a potem pokręciła główką.

– Ja muszę do taty. On poszedł. Muszę go znaleźć.

– Eva...

– Tata by płakał. Muszę go znaleźć – powtórzyła z uporem. Wcisnęła kolejny kawałek słodkiej chałki do buzi. Popiła mlekiem i, przetarłszy usta dziurawym rękawem, rozparła się na krześle. Chude nóżce, niesięgające podłogi, majtały wesoło, jakby w rytm słyszalnej tylko dla dziewczynki piosenki. – Pomożesz mi? – zapytała naraz. Nóżki zatrzymały się w pełnym napięcia oczekiwaniu, a ich właścicielka pochyliła się ku nowej znajomej. – Pomożesz mi znaleźć tatę?

Likal milczała. Kiedy patrzyła na to chude, zabiedzone stworzenie, wspomnienia, których od lat próbowała się pozbyć, wracały, paląc podświadomość. Oto na krześle siedziało jej wierne odbicie. Z tą różnicą, że ona w wieku Evy nie miała już taty, którego można by było szukać.

Cóż szkodzi rzucić lokalizujące zaklęcie?

– Pomogę.

Poszukiwania nie zajęły dużo czasu.

\*\*\*

Pieśń mieczy wciąż brzmiała, a ogień nadal płonął, gdy Tria poczuła, że nadchodzi chwila sądu. Nie przestając uderzać ostrzami, odwróciła się powoli. Nie musiała szukać oskarżonych. Sami do niej przyszli.

Kilku uzbrojonych mężczyzn stało na ulicy. Nie wyglądali na bestie, ale i ona nie oczekiwała bestii. Była jurystką już wiele lat i nieraz przyszło jej karać zwyczajnych ludzi, którzy popełnili okropne zbrodnie. Niektórzy robili to z głupoty, inni zmuszeni przez okoliczności, a jeszcze inni...

Jeszcze inni zabijali dla przyjemności zabijania, z nienawiści i zła, które nosili za łagodnym, zwyczajnym obliczem. Taka była ta grupa. Elfka opuściła miecze i przyglądała się złoczyńcom. Poznawała każdego z nich. Widziała ich we wspomnieniach zamordowanych. Wciąż czuła zadane przez nich cierpienie. Dopasowała twarz każdego z morderców do bólu.

Sodi też się odwrócił. W przeciwieństwie do jurystki nie rozpoznał fizjonomii, ale i tak wiedział, kim są zgromadzeni. Postąpił krok w ich kierunku. Tria zatrzymała go, blokując drogę mieczem. Nie odrywając wzroku od podsądnych, poczekała, aż krasnolud zrozumie i cofnie się.

– Zostaliście oskarżeni – zaczęła cichym, ale zdecydowanym głosem – i osądzeni. Martwi stanęli przeciwko wam. Świadczyli prawdę. Uznano was winnymi zbrodni. Karą jest śmierć. W imieniu Tradycji, w imieniu tych, których zabiliście... Umrzecie. Zaraz.

Któryś z mężczyzn parsknął śmiechem. Któryś głośno przeklął. A jeden zachichotał. Tria spojrzała na niego.

– Ty pierwszy – powiedziała spokojnie.

W ostrzach odbijały się płomienie, gdy kat wolno kroczył ku skazanym. Mężczyźni przestali się śmiać. Przepychali się jeden przed drugim. Każdy chciał być tym, który zabije elfkę. Do głowy im nie przyszło, że grozi im niebezpieczeństwo, że któreś z trojga patrzących na płonący dom stanowi dla nich zagrożenie.

Rzucili się ku kobiecie. Tria uśmiechnęła się zimno i uniosła miecze.

\*\*\*

Ładna pani miała rację. Tata tam był. Stał z innymi panami. Eva krzyknęła do niego i pomachała, ale tata nie zauważył. Krzyknęła jeszcze raz. I nic. Więc pobiegła. Już prawie go dotykała... już prawie... Nagle tata odwrócił się.

Nie zdążyła się zatrzymać.

\*\*\*

Likal nie zauważyła Yasy ani Sodiego. Nie spojrzała nawet na Trię i atakujących ją mężczyzn. Widziała tylko dziewczynkę nabitą na wyciągniętą klingę.

– Eva – wyszeptała. Zatrzymała się gwałtownie, jakby następny krok był ponad jej siły.

Właściciel broni wyszarpnął ją i jak ogłuszony patrzył na dziecko upadające na bruk.

Tria wykonywała wyrok, Sodi dzielnie jej pomagał, ale Likal patrzyła tylko na chude ciało i rosnącą wokół niego kałużę krwi. Ledwie mogła oddychać. Zrobiła krok, a potem następny. Klęknęła przy małej. Chwyciła drobniutką dłoń.

Eva z trudem łapała oddech. Patrzyła przed siebie, gdzieś daleko, w świat, którego Likal nie mogła dostrzec. Naraz uśmiechnęła się.

– Mama? – wyszeptała.

Ostatni płomyk żarzący się na pogorzeliśku zgasł. Dziewczynka odeszła.

Żal natychmiast zmienił się w gniew. Gniew we wściekłość. Likal podniosła się. Z jaskrawą przejrzyistością dojrzała uzbrojonych mężczyzn, zgliszczu domu, ciała elfów, gości w karczmie. Zobaczyła Bertho. Miasto zabijające swoje dzieci. Zaciśnęła pięści. Zamknęła oczy.

Yasa wiedział. Nie zdołał jej zatrzymać. Nawet nie próbował. Skoczył między krasnoluda i elfkę. Złapał każde za rękę i błyskawicznie zamknął zaklęcie ochronne.

Najpierw nastąpiła ciemność. Pośrodku niej bielą jaśniała czarownica. W ciszy uniosła się nad ziemię. Szczupła i drobna. Łagodny podmuch przez moment rozwiewał jasne włosy. Świat zamarł. A później eksplodował. Dziewczyna wybuchła ogniem. Płomienie szarpnęły się we wszystkich kierunkach. Potężny huragan żaru wdarł się w mrok i ogłuszającym grzmiotem uderzył w miasto.

Pośrodku pandemonium Sodi krzyczał z bólu, osłonięty pierwotnym zaklęciem.

Nagle ponownie nastąpiła cisza. Płomienie, wichura, mrok – wszystko znikło, a Likal osunęła się na kolana.

– O kurwa – wycharczał ochryple krasnolud. Tak jak dziewczyna opadł na kolana. Zamrugnął rozpaczliwie, a potem zagapił się na krople krwi na kocich łbach. Z wielkim



trudem uświadomił sobie, że to krew z jego nosa. – Znowu? Częściej widuję swoją posokę niż dojrzewająca panienka.

Yasa milczał. Podeszedł do wychowanki i kucnął przy niej. Spojrzała na niego przez łązy. Westchnął, a potem złapał ją, nim omdlała upadła na bruk.

Tria rozejrzała się wokoło i powoli wsunęła miecze w pochwy na plecach.

Nikt i nic nie mogło już im zagrozić. Bertho przestało istnieć.

## IX

### Mroczny okruc

#### *Uri*

– Dawno, dawno temu, zanim jeszcze urodził się dziad twego pradiada, żył czarodziej potężniejszy niż jakakolwiek istota. Mówiono, że był jednym z bogów, lecz znienawidzony przez współbraci, został strącony na ziemię. Zamieszkał więc wśród ludzi, ale i oni go nie zaakceptowali. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wzbudzał strach i nienawiść. Śmiertelnicy, nawet jeśli nie uciekali, odwracali się ze wstrętem od maga. Wreszcie odwzajemnił ich uczucia i któregoś wieczoru, samotny i opuszczony, stworzył magiczne zwierciadło. Każdy, kto w nie spojrzeł, widział siebie i świat takim, jakim widział go czarodziej – szpetnym, złym, potwornym.

– I co? I co? – Złotowłosa dziewczynka wierciła się na ławie, patrząc w lustrzane odbicie starszej kobiety, zaplatającej jej warkocze.

– Wyobraź sobie – kontynuowała staruszka – że znaleźli się głupcy, którzy skradli straszliwy artefakt. Lecz kiedy biegli, niosąc ciężką taflę...

– Przestań, nianiu, straszyć moją córkę! – Piękna kobieta weszła do komnaty i stanęła obok dziecka i jego opiekunki. Uśmiechnęła się promiennie, obserwując w olbrzymim lustrze o złoconych ramach, jak ten uśmiech rozjaśnia i tak doskonałe oblicze. Złote tęczęwki połyskiwały, gdy Isina pochylała się nad córką. – Spójrz, Uri. Widzisz?

Dziewczynka posłusznie przyjrzała się odbiciu.

– Kiedyś, w niedalekiej przyszłości – mówiła dalej matka, łagodnie kładąc dłoń na ramieniu dziecka – będziesz tak piękna jak ja. Może nawet piękniejsza. Taaaak, z całą pewnością piękniejsza. Z taką urodą i mocą, jaką obdarowali cię bogowie, będziesz potężniejsza niż jakikolwiek przedwieczny czarodziej. Czego bowiem nie osiągniesz magią, kochanie, osiągniesz ciałem.

Roześmiała się perliście, a potem cmoknęła czubek jasnej główki.

– Dobranoc, córeczko – powiedziała wychodząc.

– Dobranoc, mamusiu – skinęła główką Uri, nie odrywając wzroku od swego odbicia.

Przez chwilę kontemplowała w milczeniu słowa matki. Potem jednak przypomniała sobie o opiekunce. Odwróciła się, podskoczyła na ławie i zapytała:

– I co było dalej, nianiu? Co?

\*\*\*

Yasa obudził się nagle i usiadł zdezorientowany.

– Czego się tak rzucacie, ha? – cicho zapytał siedzący na koźle Sodi. Nie przestał przy tym wpatrywać się w drogę, a raczej w czarną nicość, w którą zmierzały dwie szkapiny ciągnące wóz. – Spać nie możecie?

Mag opadł z powrotem na legowisko.

– Rzecz w tym, że mogę – westchnął.

– Znaczy nie chcecie? – Pokiwał głową krasnolud. – W sumie, nie dziwota. Jak gówniara? Bo już od jakiegoś czasu nie czuję waszego zaklęcia.

Yasa zerknął na leżącą obok dziewczynę. W świetle księżyca blada twarz Likal połyskiwała bielą, złamaną jedynie ciemnymi cieniami pod zamkniętymi oczyma.

– Wciąż śpi.

– Może i dobrze, bo od patrzenia w te puste oczyska aż mi po krzyżach ciarki latały.

Pierwotny poprawił grube niedźwiedzie futro okrywające śpiącą, a potem usiadł obok krasnoluda. Koła skrzypiały cicho, a kopyta stukały rytmicznie, gdy wóz wolno pokonywał kolejne długości. Mężczyźni siedzieli obok siebie w milczeniu. Sodi trzymał luźno lejce, nawet nie udając, że to od jego woli zależy, dokąd zmierzają. Podrażniony magią, prowadzącą zaprzęg, Tropiciele mrucał pod skórą swego nosiciela.

– To dokąd nas niesie? – zapytał wreszcie Yudherthardere, jako że milczenie nie było jego silną stroną.

– Na Czarną Górę – odpowiedział Yasa po chwili wahania.

Krasnolud odruchowo ściągnął lejce. Konie parsknęły, ale – posłuszne zaklęciu – szły dalej.

– Wiedziałem – Sodi poluzował rzemienie – że nie wracamy do królowki, jak szkapę ruszyły na północ. Czarna Góra? Tak was przycisnęło? Dlatego spać nie chcecie? Zakonna się wam śni? Dyc ni ma pewności, że ona u elfiego króla siedzi. A jeśli nawet tak jest, to skąd wicie, że zechce z jego łoża wyskoczyć, żeby wasze ogrzać? Ile to już czasu, jakieśmy ją na rozstaju pożegnali? I jakoś nie...

– Odkąd zostawiliśmy za sobą zgliszca Bertho – przerwał przyjacielowi Pierwotny, patrząc daleko przed siebie – próbuję usunąć Likal wspomnienia. Nie pozwala mi. Wpuściła mrok. Zabijając tych wszystkich ludzi, wpuściła lustrzany okruch Mrocznego Czarodzieja w duszę. Nie potrafię jej pomóc.

– A czarnoelfi król potrafi?

– On albo Rosa. Mam nadzieję.

Krasnolud nie zapytał, a Yasa nie odpowiedział. Obaj jednak pomyśleli o tym, co będzie, jeśli nadzieja jest płonna.

Likal była potężną czarownicą. Jednym gniewnym zaklęciem, spaliła całe miasto. Zabijając wszystkich mieszkańców, uwolniła ciemną stronę mocy. Jeśli więc nie usuną jej wspomnień, jeśli nie sprowadzą z powrotem tamtego dziecka, którym była, nim rozniosła Bertho...

Nie można zostawić przy życiu wściekłego potwora.

Sodi westchnął głośno.

– Jakem ostatnio podziwiał czarnoelfie siedlisko, ledwie mnie odratowali od wiecznego spoczynku. Nie żebym coś miał przeciw spoczynkowi... Telepiecie moją rzycią po całej Krainie i co rusz czarami pasiecie. Łeb mi od tego spuchł, rzyć posiniała, a co nieco takie mam obite, że jakby mi się jaka chętna trafiła – pewnikiem bym nie dogodził. Tak że i ochoczo bym trochę dychnął, ale nie żeby tak od razu na zawsze. A taka ilość magii zgromadzona w jednym miejscu, tak jak tam, to może mnie na spotkanie z przodkami wysłać.

– Możecie zostać.

– A tam, mogę – wzruszył ramionami Sodi. – A kto waszą dupę ochraniać będzie, co?

Spojrzeli na siebie i – mimo niepokoju – roześmiali się jednocześnie.

– To skorośmy już ustalili, kto czyją sempiterną będzie miał na względzie, może jednak dychniecie co nieco? Sporo was, się mnie tak zdaje, owe zapasy z czarnoelfią jurystką sił kosztowały, nie? Po tych waszych oczyskach znać, że zaś chcecie mnie po nazwisku wyzywać. Rację mam?

Yasa wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– A dyć, że panna niczego była. Ona się wam przyśniła, co? No bo jak nie Zakonna, to pewnie jurystka was po nocy nawiedza, ha?

– Uri.

– Co?! – Sodi podniósł głos. Wspomnienie krótkiego, acz bolesnego spotkania z kuzynką Pierwotnego uniosło włosy na karku krasnoluda. – Przecież... no przecież... Likal ją... i wy ją...

– Uśmierciliśmy. Tak, drogi Yudherthardere, uśmierciliśmy moją kuzynkę, a jednak śni mi się nocami. Tylko tym razem nie wysysa ze mnie sił.

Brodacz przez chwilę trawił tę informację. Wreszcie uśmiechnął się krzywo.

– I jaka jest... no wiecie... w tych snach? Gorąca, chętna... – Uniósł jednoznacznie brew. – Jaka?

– Mała – odpowiedział Yasa, wracając do wnętrza wozu.

Położył się obok podopiecznej. Był zmęczony. I chociaż nie tęsknił do snów, musiał odpocząć.

Minęła chwila, nim Sodi zamknął usta i patrząc w mrok, zamyślił się głęboko.

\*\*\*

Prawie zasypiała, gdy drzwi cicho skrzyknęły.

Zacisnęła mocno powieki, udając, że śpi. Ten nowy wujek trochę ją niepokoił. Mama przez niego stawiała się niemiła i wszystkim dokuczała. Służba uciekała przed nim w popłochu. Uri się go nie bała. O, nie. Widziała mroczny cień płonący wokół mężczyzny, ale nie czuła strachu. Tylko przyciąganie.

I to też jej się nie podobało.

Wiedziała, że to on wszedł do sypialni. Czuła go przez grube mury, przez zamknięte drzwi.

Zacisnęła mocno powieki, ale chociaż bardzo się starała, nie potrafiła ukryć lekkiego drżenia.

– Możesz otworzyć oczy, Uri. – Jego głos zaśpiewał szeptem. Uwodził, przyzywał, nakazywał. – Nie zrobię ci krzywdy.

Rzęsy dziecka uniosły się powoli.

– Nie bój się – słowa płynęły pieśnią, łagodnie pieszcząc uszy.

– Nie boję – ledwie zdołała powstrzymać pokazanie języka. Wyprostowana jak struna, usiadła na łóżku.

Mężczyzna uśmiechnął się. Strzelił palcami i naraz świece zgasły. Gość usiadł obok dziewczynki i delikatnie chwycił ją pod brodę. Długo, w milczeniu, przyglądał się rysom małej. W pozbawionym światła, a mimo to nie do końca ciemnym pokoju oczy mężczyzny błyszczały zimno.

– Twoja matka ma rację. Kiedyś będziesz piękna. – Odsunął się łagodnie. – Piękniejsza niż ona.

– Nikt nie jest piękniejszy niż mamusia! – krzyknęła Uri, zeskakując z łóżka.

Roześmiał się i również wstał.

– Charakterny z ciebie kociak, malutka. Będziesz trudniejsza niż Isina. Dużo trudniejsza.

Klasnął.

Uri zasnęła.

\*\*\*

Yasa się obudził. Wóz kołysał lekko, wokół panował mrok, a jedynym źródłem światła był pyzaty księżyc. Mężczyzna patrzył na jego okrągłą tarczę, gdy naraz ciche

chrząknięcie dobiegające z drugiego końca wozu przyciągnęło jego uwagę.

– Już myślałam, że mnie nie zauważysz. Witaj, kuzynie.

Złotowłosa dziewczynka kiwała się na drewnianej belce w rytm stukotu kół. Yasa usiadł, nie odrywając od niej wzroku. Uśmiechnęła się szeroko i chwyciwszy jasny warkocz w palce, zaczęła go powoli rozplatać.

– Och, nie bądź taki zaskoczony. Przecież śniłeś o mnie. Usłyszałam, że mnie wzywasz, więc... Tęskniłeś?

– Nie wzywałem cię.

Wzruszyła ramionami.

– Nie? A byłam tego pewna. Cóż, może to ja cię wzywałam. Nieważne. Grunt, że jestem. A właściwie mój duch – przekrzywiła główkę – bo ciało byliście uprzejmi wyparować. Bolało, wiesz? Bardzo bolało, kiedy ty, kurdupel i ta mała wysuszyliście moje jezioro i spopieliliście piękną Uri. Nie powiesz, że ci przykro?

– Nie.

– Wiedziałam, że nie powiesz. – Zeskoczyła z belki i podeszła do śpiącej czarownicy. Pochyliła się nad nią. – Mroczny okruch, co? Myślałam, że to tylko bajka niani. – Zachichotała i spojrzała prosto w oczy Yasy. – Nieprawda! Wiesz, że skłamałam? No, może nie całkiem. Kiedyś, dawno temu, kiedy jeszcze ciebie nie było na świecie... O tak, wtedy myślałam, że to bajka. Ale potem poznałam Czarodzieja. – Westchnęła. Rozpuściła włosy. A kiedy zarzucała je na ramiona, niezauważalnie dziecięce dłonie urosły, ramiona się wydłużyły, ciało dojrzało i oto nad magiem pochylała się piękna, dorosła i naga kobieta. – A teraz? Teraz za mną tęsknisz?

Westchnął.

– Dlaczego to robisz, Uri?

Wzruszyła ramionami.

– Nudzę się zawieszona między światami. No i twój problem – wskazała Likal – to też mój problem. Och, nie patrz tak. Rzeczywiście chciałabym, żeby trochę pocierpiała. Tobie też życzę nieco bólu. Dobrze – przewróciła oczami – dużo, dużo bólu. Mam więc taki dylemat: czy bardziej chcę, byście cierpieli, czy żebym mogła wrócić do żywych... Wielki, wielki dylemat. Nie zapytasz, co twoja młoda wiedźma ma ze mną wspólnego?

– I tak mi powiesz.

– O nie, kuzynie – szepnęła miękko, przysuwając się tak blisko, że czuł zapach jej nieistniejącego ciała. – Nie powiem. Pokażę ci. Wkrótce.

Prawie poczuł ten pocałunek. Prawie.

I znów się obudził.

\*\*\*

Dzień wstawał szary i pochmurny. Nisko zawieszony, ciemne obłoki zwiastowały nadchodzącą nawałnicę. Sodi przetarł oczy i spojrzał za siebie. Likal wciąż spała, ponownie dzięki magii. Czuł zakłęcie. Tropicieł warczał gniewnie pod skórą nosiciela, drażniony pierwotną mocą. Tylko warczał, bo mag użył osłony, rzucając oba czary. Mimo to ćmiący ból drażnił czaszkę krasnoluda, nie poprawiając i tak podłego od samego rana humoru Sodiego. Najchętniej podzieliliby się tym radosnym postrzeganiem świata z którymś z przyjaciół, ale Yasa również spał.

Sodi Yudherthardere westchnął ciężko.

No tak, tylko jemu nie dane było zmrużyć oka. I to nawet nie dlatego, że ktoś musiał pilnować, by dwie szkapiny, co to ledwie dyszą, dowiozły ich na miejsce. Nie, on nie mógł zasnąć właśnie dlatego, że szkapiny bezbłędnie ich na to miejsce dowiożą.

– Kurwa! – warknął, wściekle wpatrując się w ciemną ciężką chmurę, wiszącą niemal na wyciągnięcie ręki. Potem ponownie przyjrzał się śpiącemu czarodziejowi. Ostre rysy mężczyzny złagodniały, jakby świat, w którym przebywał, sprawiał mu mnóstwo przyjemności. – Jasne, jemu to nawet we śnie dogadzają. Nie musi, jak tu obecny, biedny chudzina, zadowalać się wspomnieniami. A nie mógł, mag w rzyć cmokany, zamiast czarować chabety, wydumać mi jakiejś ładniutkiej cichodajki? Takiej, co to mówić by nie umiała, ale całą resztę i owszem? Z długimi nogami...

– A jakby się te długie nogi wokół was owinęły, wylibyście z bólu jak młode cielę oddzielane od matki? – przerwał mu Yasa, unosząc powieki.

– I? – Krasnolud wzruszył ramionami. – Co inszego by miała, co by na ból pomogło.

Czarodziej westchnął cicho. Zerknął na śpiącą Likal, a potem usiadł na koźle, obok Sodiego.

– Będzie sypać – mruknął krasnolud, wskazując horyzont. – Otworzycie Most czy szukamy schronienia?

– Nie wiem, czy zdołam ustabilizować Likal w Moście. Przeczekamy śnieżycę.

– Nie żebym zaufania do was nie miał, ale gdzie, kurwa, chcecie zawieruchę przeczekać? – Sodi machnął ręką, rozglądając się wokoło. – Do najbliższego miasta ze dwa dni drogi, a ostatnią chatę widzielim wczoraj przed świtaniem. Gdzie nie patrzeć, ino skały i drzewa.

Rzeczywiście, nocą zaprzęg wjechał w górzysty teren. Koła podskakiwały na kamieniach, gdy konie pięły się w górę ścieżką pomiędzy delghartowskimi szczytami.

– No? – zapytał ponownie krasnolud. Nie żeby specjalnie chętny do rzucania zaklęć był, ale myśl o szalejącej śnieżycy, o mrozie i wichurze na odsłoniętej drodze sprawiała, że nawet kolejne czary wydawały mu się mniej straszne. – Zatrzymamy koniki

pośrodku niczego przewróć wóz i spróbuję dupy pod drewnikiem ukryć? I skąd pewność, że się gówniara nie obudzi, jak zamieć nam rzuci kasać zacznie?

– Nie zacznie – odpowiedział mag. Łagodnie wyjął lejce z dłoni przyjaciela i ściągnął je mocno. Tym razem konie posłuchały polecenia i zatrzymały się. Mężczyzna zeskoczył z wozu. Podeszedł do szarej ściany góry i delikatnie pogładził kamień. Pod dotykiem maga gład zniknął, tworząc zagłębienie. Yasa postąpił o krok i ponownie dotknął góry. Wnęka pogłębiła się.

I tak, zrobiwszy ledwie dziesięć kroków, Pierwotny stworzył jaskinię. Sodi zaś, przed chwilą jeszcze tak chętny do rozpinania Mostu, zlął z kozła zaciskając zęby i mamrocząc pod nosem. Trzecie zakłęcie, przy dwóch czynnych, szarpnęło Tropicielem i uderzyło w nerwy jego nosiciela kolejną falą bólu. Yudherthardere oddychał ciężko, opierając się o wóz. Przez chwilę milczał – co już samo w sobie świadczyło wyraźnie, że bardzo cierpi – a potem wzdychając głośno, żeby wyraźnie dać do zrozumienia przyjacielowi, jak ten bardzo go skrzywdził, pociągnął konie w kierunku jaskini. Zwierzęta parskają niespokojnie, wchodząc do środka.

– Mnie też bardziej by sucha stajenka z pachnącym siankiem pasowała – wymamrotał krasnolud, klepiąc koński kark. – Trza nam będzie trochę poczekać na piernaty. Ino patrzeć, jak zacznie walić śniegiem, a w takiej zawierusze to żadna parada leźć przez góry. Się ino uspokoi, zara ruszym dalej.

Padające z zewnątrz światło błyskawicznie przygasało. Wiatr chłostał górskie ściany, śpiewając hałaśliwą, groźną pieśń. Śnieg nie zaczął padać z wolna, ale uderzył gwałtownie, lodowatą ścianą bieli, która mimo jasności nie rozświetlała mroku jaskini. Jednocześnie ani jeden płatek szalejącej śnieżycy nie dostał się do środka, powstrzymany przez niewidoczną barierę chroniącą wejście.

Krasnolud wdrapał się na wóz, wyciągnął spod koców pajdę chleba i kawałek suszonej kiełbasy i zabrał się do jedzenia.

– Gówniarę też trza by nakarmić – powiedział, połykając wielki kęs wędliny.

Yasa usiadł obok niego, odłamał kawałek chleba i odpowiedział:

– W tym stanie nie trzeba. Jeśli w kilka godzin wyruszymy, na noc będziemy u Agrah Erra. Wtedy ją obudzimy.

– Jak tam chcecie. Wasza magia – wzruszył ramionami Sodi – i wasza wychowanica.

Przez chwilę przeżuwali w milczeniu.

– To co się wam tak śniło, żeście pół nocy po wozie skakali, ha? – Yudherthardere otarł usta i uśmiechnął się krzywo. – Bo nad ranem to i wiem co, gęba się wam radowała, że pewnie nie tylko Zakonna, ale i ta mała jurystka wam dogadzały. Zgadłem, co nie?

Odpowiedziała mu cisza.



– Oj, byście rzekli co i jak, bym se, biedny chudzina, przynajmniej podumał, skoro nie chcecie mi jakiej innej przedniej zabawy wykoncypować. Steranym wielce. Całą noc to na szkapy, to na wasze po dechach dupą tańcowanie inom pozierał. Odpoczynku mnie trza. A ni ma jak odpoczynek po jakiej pochedźce.

Yasa przyjrzał się przyjacielowi. Biedny chudzina rzeczywiście wyglądał na zmęczonego.

– Będzie bolało... – uprzedził miękko.

– A, kurwa, niech boli – westchnął radośnie Sodi.

Kontury skalnych ścian rozmyły się błyskawicznie. Mrok zastąpiła ciepła gra płomieni świec. Naraz w ciszy łagodnie zabrzmiała zmysłowa melodia harfy.

Tak, bolało, a Tropiciel warczał. Tylko przez chwilę. Potem krasnolud zapanował nad nim, a może zrobiła to pierwotna moc ochronnego zaklęcia. Ważne, że Sodi mógł bez przeszkód chłonać miękkość jedwabistej pościeli, zmysłowość muzyki, ciepło ognia płonącego na kominku.

Mógł w całej pełni cieszyć się długimi nogami pięknej kobiety. I czym innym też.

Mag uśmiechnął się, przyglądając zamkniętemu w uludzie, na wpół śpiącemu, na wpół nieprzytomnemu przyjacielowi. Później, już bez radości, spojrział na Likal. Na bladej twarzy młodej wiedźmy nie było ani śladu przyjemności. Jej nie potrafił podarować snu, jak Sodiemu. Zawiesił zmysły podopiecznej w niebycie. Wrzucił ją w pustkę, by mroczny okrucieństwo, który wpuściła do serca, nie pozbawił dziewczyny człowieczeństwa. Odłączył dusze mieszkające w tej drobnej istocie od jej ciała i obie zamknął w próżni. Udręczoną dokonaną zbrodnią duszę słodkiej Likal i mroczną, gotową zabijać duszę potężnej czarownicy.

Gdyby potrafił je rozdzielić...

Delikatnie przesunął palcami po bladym policzku śpiącej.

– Dobrze, Uri – szepnął, kładąc się obok wychowanicy i zamykając oczy – pokaż mi resztę.

\*\*\*

Pojawiła się momentalnie. Uśmiechnięte złotowłose dziecko z oczami dorosłej kobiety. Siedziała w tym samym miejscu, co ostatnio i tak jak poprzednio machała nogami.

– Tym razem wołałeś, prawda?

– Tym razem tak. – Skinął głową.

Zeskoczyła z belki. Jeszcze nim zrobiła pierwszy krok, zmieniła się w kobietę, która ledwie kilka tygodni wcześniej chciała go zabić. Piękną i nagą. Zapierającą dech.

– Słyszę, jak twoje serce przyspiesza, kuzynie.

– Tak działa twoja moc, Uri. To tylko czary.

Prychnęła niechętnie.

– Nie przyznasz, że coś co mnie czujesz, prawda? Nawet jeśli powiem, że chcę to usłyszeć? Jak mówisz...

– Coś do ciebie czuję, Uri – przerwał jej chłodno. – Niekoniecznie to, co ty chcesz usłyszeć.

Skrzywiła się. Podeszła do Yasy i usiadła obok.

– Kochasz ją? – Wskazała Likal. – Kochasz i zaryzykujesz dla niej życie, prawda?

– Nie twoja sprawa.

Roześmiała się.

– W sumie nie. Nie moja. – Wyprostowała długie nogi, oparła się o brzeg wozu i uniósłszy ramiona, oparła na nich głowę. Złote loki rozsypały się wokół doskonałego ciała, miękko pieszcząc sterczące sutki. Opuściła powoli powieki, oddychając głęboko.

– Wiesz, kiedy jest się duchem, nie trzeba otwierać oczu, żeby zobaczyć... Zgadnij, co ja teraz widzę, kuzynie?

Zacisnął zęby.

– Powtórzę, Uri, to tylko czary. Pamiętaj, że nie masz mocy nad moim snem. Mogę się obudzić. I znów będziesz sama.

Długie rzęsy zadrżały.

– Och, jakiś ty okrutny, kuzynie – westchnęła. – Dobrze, pokażę ci.

\*\*\*

Mrok, kompletna, absolutna ciemność. Jak zawsze. Głośne westchnienia, gwałtowne bicie serc, ciche jęki. I coraz głośniejsze. Palce zaciskające się na napiętych węzłach mięśni i rozdzierające ciało. Czują ciepło krwi pod opuszkami. Tak! Jeszcze! Mało! Wbiła zęby w wilgotną skórę. Słodko-cierpka kropla podrażniła język. On krzyczał. Ona krzyczała. Ból i rozkosz. Wszystkiego po równo.

Jeszcze! Jeszcze!

Dyszeli ciężko. Przez chwilę. Potem ona zaczęła się śmiać. Odepchnęła go i wstała.

– No, Dreo, robisz się coraz lepszy. Do dobrego jeszcze ci brakuje, ale... ze sto, dwieście lat i może, kto wie, dorównasz, któremuś z moich poprzednich kochanków.

Był szybki. Uderzył raz. Poczują, jak podrażniona pocałunkami skóra ust pęka. Starła krew wierzchem dłoni. A potem miękkiem gestem tej samej ręki zapaliła setki świateł w komnacie.

Syknął wściekle.

– Zgaś!

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Mnie światło nie przeszkadza, Mroczny Czarodzieju.

– Ty mała dziwko!

Nie zgasił światła. Nie próbował, wiedział, że nie potrafi. Nie tym razem. A blask płonął, jaśniał, odbijał się w milionach drobin tańczących wokół nagiego mężczyzny. Odbijał, a potem załamywał, tworząc na ścianach pokracczne obrazy. Straszliwe, przerażające wizje, przed którymi uciekali wszyscy, którym dane było je zobaczyć.

Uri przestała się uśmiechać. Patrzyła na żywe freski stworzone przez odbitą jasność. Poruszające się malowidła przedstawiały największe potworności, jakich dopuszczali się żyjący. Była Pierwotną Czarownicą, władczynią snów, z nocnych mar czerpała siłę. Widziała już wiele zła w swoim życiu, sporo sama uczyniła, ale to... to przerastało najbardziej chorą wyobraźnię.

Odsunęła się z odrazą.

– Widzisz – Dreo postąpił krok ku niej – od tamtej nocy, kiedy byłaś dzieckiem, czułem, że będziemy do siebie pasowali. Bo będziemy, Uri. – Błyskawicznie zacisnął palce wokół szyi kochanki. Szarpnęła się, próbując wyrwać. Bezskutecznie. Mężczyzna zbliżył twarz do jej twarzy. – Najpierw jednak musisz przesiąknąć mrokiem, kochana. Ludzie myśleli, że mogą mi ukraść moje lustro, ale ono, nawet rozbite, wróciło do mnie. Krąży wokół milionami okruchów. Kiedyś będzie też krążyło wokół ciebie. Najpierw jednak – zacisnął ręce – najpierw umrzesz. Za sto, może dwieście lat stworzę lustro, które będzie źródłem twego odrodzenia. Jeśli zasłużysz, kto wie, może dorównasz którejś z moich poprzednich kochanek.

Krzyczała, drapała, kopała... daremnie.

\*\*\*

Młoda wiedźma uniosła powieki. Leżący obok niej mężczyzna spał niespokojnym snem. Rzucił się na kocach i jęczał. Usiadła i przez chwilę przyglądała mu się beznamiętnie. Jakieś odległe wspomnienie błysnęło i zgasło.

Dziewczyna wstała. Potężny, rudowłosy krasnolud siedzący na koźle w nienaturalnej pozycji i uśmiechający się głupawo nie przyciągnął uwagi czarownicy. Zeskoczyła z wozu i ruszyła do wyjścia z jaskini.

Na zewnątrz szalała śnieżycza. Likal – jakby nie zauważyła ani zimna, ani dującego wiatru próbującego na powrót wepchnąć ją do grotu, ani śniegu ostrymi drobinami wbijającego się jej w twarz – parła przed siebie.

Naraz zatrzymała się.

Sanie pojawiły się znikąd. Zaprzężone w dwa ogromne siwki, wyłożone białymi skórami, zdawały się stapiać z bielą otoczenia. Powożący mężczyzna pochylił się,

wyciągając dłoń ku dziewczynie. Przyjęła ją bez wahania. Usiadła obok woźnicy, a ten otulił ją futrem.

Niepoganiane siwki ruszyły z kopyta.

## Rosa

Najpotężniejsza wojowniczką Krainy spała wtulona w kochanka niczym kocię, z głową złożoną na jego piersi. Oddychała regularnie i uśmiechała się przez sen. Kiedy Agrah Err drgnął, żeby poprawić okrycie, Rosa błyskawicznie objęła go, zaborczo zaciskając ramiona wokół torsu mężczyzny.

– Ej – powiedział łagodnie, wsuwając palce w czarne włosy kochanki i owijając jeden z trzech białych kosmyków wokół kciuka – to nie ja chcę wyjechać.

– Ja też nie chcę. – Podniosła głowę i spojrzała zaspanymi oczyma.

– Ale wyjedziesz, jak tylko ustąpi śnieżycy?

Westchnęła.

– Pewnie tak.

Pocałowała mężczyznę, żeby złagodzić słowa. Pieszczota przedłużała się, tętno przyspieszało... Nagle Zakonna zeszywniała. Wyprostowała się i odsunęła od elfa, acz niechętnie. A później wstała bez słowa.

– Yasa przyjechał – powiedziała.

Err usiadł i sięgnął po odzienie. Wyczuł Pierwotnego Maga na długo przedtem, nim zobaczyli go dwaj potężni przybocznicy Rosy – Yorhowie, i w myślach przekazali jej tę informację. Król elfów chciał dać sobie i Rosie kilka dodatkowych chwil.

Zakonna zawiązała troczki koszuli, zarzuciła na ramiona futrzaną kurtkę i wyszła na zewnątrz. Bez słowa, bez pocałunku czy choćby szybkiego uścisku. Tkliwość nie leżała w naturze wojowniczki. Err już dawno się z tym pogodził. Ubierał się powoli. Nie tęsknił do widoku Pierwotnego, a i towarzyszący mu krasnolud nie należał do ulubieńców elfiego króla. Poza tym nie musiał wychodzić z domostwa, by widzieć, co dzieje się na zewnątrz. Czarna Góra była nim, a on był Czarną Górą. Nie było w niej miejsca, które ukryłoby się przed świadomością swego władcy.

Przed domem Agrah Erra czekali Yorhowie. Rosa wyminęła ich, stając dwa kroki przed kudłaczami. Wiatr szarpał długie czarne włosy, a gęsto padający śnieg oślepił mlecznobiałe tęczęwki, gdy szczupła wojowniczką w lekkim rozkroku, pozornie rozluźniona, czekała na nadjeżdżających gości.

Mag siedział w koźle, obok Sodiego de Gra Yudherthardere.

Wsunęła się w umysł Pierwotnego, a ten, wyczuwając ją, podniósł głowę.

„Yasa należy do mnie” – powiedziała, ratując mu życie dwa lata wcześniej. Poszła za nim przed Sąd Pierwotnych, zdmuchnęła palące go płomienie, a potem powiedziała

pierwotnym bóstwom, że on jest jej. I kiedy teraz zobaczył Rosę, wiedział, że miała rację.

Należał do niej.

– No dyć, kurwa, dom, kochany dom. – Sodi zeskoczył z kozła. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i rąbnął na kolana. – Gdzie jaśnie, kurwa, wielmożny król? Nie żebym się, ten tego, nie roztkliwił waszej facjaty oglądaniem, psia jego mać, ale mi tu bebeczami wywraca, posoka mi się gotuje i jak zaraz pierdolnie, to ze mnie ino galoty zostaną. I to posrane, bo przez to całe elfie czarodziejstwo to jużem z bólu popuścił.

Wywołany tak grzeczną prośbą, Agrah Err wyszedł z domu, minął Rosę i kucnął obok krasnoluda. Położył rękę na ramieniu Sodiego i uśmiechnął się do niego:

– Witam ponownie, panie Yudherthardere.

– O żeż, miłosierna ostatnia Gaalska dziewico – westchnął krasnolud, pozbawiony naraz straszliwego bólu, który towarzyszył mu od przekroczenia granic czarnoelfiej stolicy. Podniósł się niepewnie i wykrzywił w tym, co dlań było serdecznym uśmiechem, a dla całej reszty świata parodiującym go grymasem. – Nie sądziłem, że kiedyś mnie tak może gęba ostrouchego królika uradować. Witajcie, wasza wysokość. Radość, jakem już nadmienić zdążył, radość przeokropna.

Agrah Err również się wyprostował. Zerknął na drugiego gościa, potem na ukochaną. Intensywność spojrzenia Pierwotnego nie uszła uwagi elfiego króla. Nie mógł też nie zauważyć łagodnego, ciepłego uśmiechu Rosy – czegoś, co niewielu dane było zobaczyć, a czego zapomnieć nie było można. Władca Czarnych Elfów zacisnął usta.

Zazdrość to jednak paskudne uczucie.

– Witaj, Yaso. – Ukłonił się chłodno.

– Agrah Err. – Mag, jakby właśnie się obudził, zeskoczył z kozła. Skinął elfowi, a potem Zakonnej. – Roso.

– No, to skorośmy se już przypomnieli, jak kogo zwą – zauważył Sodi – może wliżem na moment pod dach, bo mnie i sempiterna, i insze, wartościowsze co nieco wymarzło przy tej pogodzie. I jakby się jeszcze co ciepłego do żarcia trafiło, jaka polewka, albo... pieczyście – dokończył nabożnie.

Elf wskazał zapraszającym gestem swoje domostwo.

W stolicy Czarnych Elfów – plemienia wybrańców, mającego chronić elfy, być ich zbrojnym ramieniem, narzędziem sprawiedliwości, a czasami zemsty – nie było pałaców. Większość wojowników mieszkała w drewnianych chatkach w lesie. Władca nie był wyjątkiem. Jego dom był tylko trochę większy, więc zamiast jednej izby miał trzy pomieszczenia. Zasiedli w pierwszym, przy stole. Err położył na nim chleb i rozlał do mis gorącą zupę, która od rana grzała się w kociołku nad paleniskiem.

Yudherthardere umoczył chleb i z lubością wcisnął go w usta. Mlaskał przy tym głośno, jęcząc i sapiąc, aż wreszcie milcząca dotychczas Rosa pochyliła się nad nim i powiedziała cicho:

– Dość, de Gra.

Krasnolud zakrztusił się. Przełknął z trudem.

– Kurwa, alem się za tym waszym szeptaniem stęsknił – wycharczał, bo ostatni kęs podrażnił mu gardło. Odchrząknął i kontynuował: – Jużem zapomniał, jak to jest, kiedy tak się z wami gwarzy. Teraz to już na pewno trza mnie galoty przeprać. – Wytarł dłonie w spodnie, rozsiadł się i zagapił na pozostałych. – Skoro pan Yasa tak zajęty... pożywaniem – zachichotał z własnego żartu, bo mag nawet nie włożył chleba do miski, zapatrzony w Zakonną – to może ja wam opowiem, z czym przybyliśmy?

Rosa potaknęła w milczeniu.

– Od czego by tu... No, więc pana Yasy wychowanka wyrznęła jednym zaklęciem całe miasto. Nie żeby mi żal Bertho było, bo tam mord na mordzie, nawet dzieciaki się nie uchowały. Niemniej, jak Likal czar rzuciła, to aż się Tropicielowi jucha uszami lała. Jak se pomnę, to jeszcze mi kolana miękną. No nic to... Grunt, że jak dziewczucha skończyła, Pierwotny ją uśpił i zamierzał do was przywieźć, bo sam nijak poradzić z panny mocami nie potrafił. Ino po drodze śnieg nas złapał, to żeśmy w jaskini przeczekać chcieli. I jakeśmy tam siedzieli... – jednoznaczny uśmiech wypłynął na brzydkie lico krasnoluda. Już miał kontynuować swoją opowieść. Już zapragnął pochwalić się nieco szczegółami swego z cichodajką spotkania, co to mu je przyjaciel najmilejszy zorganizował. Jednak jedno spojrzenie w odbarwione tęczówki przypomniało mu, kto słucha i czego mówić nie należy. – No i jakeśmy tam siedzieli, pospaliśmy nieco, bo i wielce utrudzeniśmy byli. A panna naonczas wzięła i polazła. Pierwej myślelim, że w śnieg poszła i się pan Yasa turbował, że może zamarznąć bidulka. Ale jakeśmy wyszli z jaskini, okazało się, że... czarodziej jakowys pannę zabrał. I to mocny czarodziej.

– Tropiciel? – zapytał Agrah Err.

Krasnolud potaknął.

– Wyczuł starożytną moc. Nie zna źródła, ale wiekowa musi być.

– I czego od nas oczekujecie? – Err spojrział na Pierwotnego.

– Nie mogę jej namierzyć. Ani ja, ani Yudherthardere. Ktokolwiek ją porwał, dobrze się ukrył. Potrzebuję waszej pomocy w znalezieniu Likal i w jej... odzyskaniu.

– Dziewczyna nie jest elfką?

– Jest człowiekiem.

– Żaden człowiek nie ma mocy, żeby zgładzić całe miasto – chłodno zauważyła Rosa.

Yasa przygryzł wargę.

– Przecież wiesz – Zakonna pochyliła się ku niemu – że zgodnie z prawem Zakonu dziewczyna powinna zostać osądzona i, w najlepszym razie, zamknięta do końca życia w lochach?

– To jeszcze dziecko.

– To dziecko wymordowało całe miasto. – Czarnowłosa prawie szeptała.

– To dziecko! Nie zapanowała nad gniewem! To...

– Nie rozumiesz? – przerwała mu Rosa. – Jestem przedstawicielką Zakonu...

– Nie proszę cię jako Zakonną – tym razem Yasa wszedł jej w słowo. – Proszę cię jak przyjaciela. Proszę o pomoc kobietę, która niejednokrotnie przeciwstawiła się prawu. – Odetchnął głęboko. Uspokoił się i mówił dalej: – Likal ma potężną moc, nie przeczę. Nie wiem, jak to możliwe, bo jest tylko człowiekiem. Ale ty – uśmiechnął się do Rosy – też kiedyś byłaś tylko elfem. Dzisiaj twoja moc jest prawie nieograniczona, a przecież urodziłaś się elfem i to nawet bez znamienia. Jakimś cudem Likal jest czarownicą, chociaż urodziła się człowiekiem. Znasz mnie, Rosa. Wiesz, że nie prosiłbym o łaskę dla zła. Wiesz, że pierwszy zabiłbym czarodzieja używającego potęgi przeciw ludziom. Znasz mnie, Rosa – wyszeptał miękko, kładąc rękę na dłoni wojowniczkii.

Err zacisnął usta, widząc wyraz twarzy kochanki. Zazdrość naprawdę jest fatalnym uczuciem.

– Jeśli dziewczyna nie jest elfem, nie znajdę jej – przerwał wreszcie ciszę.

– Nie będziemy szukać panny – wtrącił się krasnolud. – Poszukamy tego, co ją capnął. Was nam potrzeba, żebyście Tropicielea podpaśli. Pan Yasa się nie nadaje, bo jego moc rani. Wy to co inszego. Wasza potęga wzmocni Tropicielea, a pani Rosa go ustabilizuje. Powinno się udać.

Rosa i Agraph Err wymienili szybkie spojrzenia i zdecydowanie dłuższe myśli. Zakonna wstała i podeszła do okna.

– Założmy, że odnajdziemy waszą zgubę – powiedziała cicho, patrząc na płatki śniegu spadające z nieba. – Co będzie, jeśli nowe towarzystwo jej odpowiada? Jeśli nie zechce z nami pójść? Przy mocy, którą posiada, nie łatwo będzie to... dziecko... – skrzywiła się lekko – zmusić do czegokolwiek.

Yasa zacisnął usta, przez chwilę zastanawiając się, ile może powiedzieć.

– Słyszeliście imię Dreco?

Każde z pozostałej trójki drgnęło. Źrenice Zakonnej zwęziły się gwałtownie. Err zacisnął pięści, a Sodi, jak to Sodi, odpowiedział pierwszy:

– Kurwa mać!

– Więc słyszeliście.

– Ale Mroczny Czarodziej nie żyje – powiedział elf.

– Nic żeście nie mówili, że to o niego... – denerwował się Sodi.

– Skąd wiesz, że to on porwał twoją Likal? – zapytała wreszcie Rosa.

– Mam swoje źródła.

– Uri? Wasza, niech ją w piekle najszpetniejszy demon bierze, wasza kuzynka wam powiedziała, co nie? To o tym żeście gwarzyli, kiedy was na wozie po nocy rzucało? – domyślił się krasnolud.

– Yasa? – cicho zapytała wojowniczką.

Pierwotny mag wstał. Podszedł do Zakonnej i odpowiedział:

– Jest wielce prawdopodobne, że za porwaniem Likal stoi Mroczny Czarodziej. To jego okrucieństwo nie pozwalało mi usunąć z jej wspomnień zagłady miasta. Czułem opór czystego zła, kiedy dotykałem podświadomości mojej podopiecznej. Nie wydaje mi się, żeby Dreo umarł. Chociaż mam nadzieję, że da się go zabić.

– Wszystko da się zabić, mój drogi – powiedziała chłodno wojowniczka. – Chociaż niektóre istoty trzeba zabijać wiele razy – dodała. – Rozumiem, że za zło w dziewczynie winisz Dreo i uważasz, iż zgładzenie go pomoże w odzyskaniu twojego... dziecka.

Skinął głową.

Znowu spojrzała na kochankę i porozumiała się z nim bez słów.

– Dreo Gur der Ure jest zły – powiedział cicho Agrah Err. – Pomożemy ci go znaleźć i zgładzić.

– Err – ostrzegawczo szepnęła kobieta.

Uśmiechnął się. Przez chwilę dyskutowali bez słów, prowadzili milczącą, lecz gwałtowną, wymianę myśli i spojrzeń. Wreszcie elf wzniósł oczy ku górze, a potem skinął głową.

– No – wykrzywił się Sodi, obserwując kochanków. – Nikt jeszcze z babą nie wygrał. Nawet wybraniec bogów, nie, panie królu?

– Rosa i Yorhowie pojedą z tobą – zwrócił się do maga Czarny Elf, ignorując krasnoluda. – Ja i pan Yudherthardere poczekamy na was tutaj.

Sodi szarpnął się. Już miał krzyczeć, protestować i przeklinać, gdy naraz zrozumiał, co oznacza wykluczenie go z wyprawy. Ciepłutki dach nad głową, dobrą strawę, a i – kto wie – może jaką chętną elfkę? Dla zasady jednak, a również dlatego, że nie lubił, kiedy decyzję za niego podejmuje jakiś ostouchy albo może i najpotężniejsza w Krainie, ale jednak baba... postanowił jednak zaprotestować:

– A niby dlaczego?

– Dreo Gur der Ure wyczuje Tropiciela na trzy wioski, a na jego moc zwykłe pranie galotów nie wystarczy – odpowiedziała zimno Zakonna. – A my zbyt będziemy zajęci



Czarodziejem i... dzieckiem, żeby się jeszcze zajmować zbieraniem waszych resztek rozprysniętych po okolicy.

– No, skoro tak, to może rzeczywiście zostanę. Królowi dotrzymam towarzystwa, powspominamy stare czasy – uśmiechnął się krzywo Sodi.

Err, zupełnie jak zwykle Yasa, westchnął głęboko.

– Chcecie odpocząć, nim wypuścimy Tropicielea? – niespodziewanie łagodnie zapytała Rosa, podchodząc do Sodiego.

O tak, chętnie by odpoczął. Ostatnie dni lekkie nie były, a i snu zażył nie za wiele. Jednak Yasa wyglądał na wystraszonego, a jeśli Pierwotny Mag się bał, to znaczyło, że Likal grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Yudherthardere zaś, chociaż dokuczał dziewczynie i kłócił się z nią niemal cały czas, lubił dzieciaka.

– Nie trzeba – odpowiedział, wstając.

Zakonna skinęła głową. Położyła rękę na ramieniu krasnoluda, a drugą podała królowi Czarnych Elfów. Agrah Err zrobił podobnie. W chwili, gdy się połączyli, Sodi uwolnił Tropicielea.

Wzmocniona przez moc elfa magiczna istota pomknęła tysiącami wstęg. Jak wielobarwne żywe stworzenia, rzuciły się we wszystkie strony, wijąc się, falując, tańcząc. Płynnym ruchem sunęły, przenikając ściany, drzewa, góry, a nawet żywe organizmy. Nic nie było godną ich przeszkodą. Nic nie mogło stanąć im na drodze. Widoczne tylko dla nosiciela, nieczułe na nic poza zapachem poszukiwanej mocy, wiły się przez Krainę. Na południu, na północy, na wschodzie i zachodzie. Sprawdziły każdy dom, każdą chatę, każdy namiot, szałas, lepiankę. Las, bór, rzeka, jezioro czy morze nie miały tajemnic przed Tropicielem. Przeciwnie. Szeptwały jego wstęgom, podpowiadały, prowadziły. Nakarmione siłą setek poprzedników czarnoelfiego króla, potęgą jego przodków, lokalizacyjne szarfy zaczęły cofać się z trzech stron świata. Szybciej niż mgnienie powieki połączyły siły i opuściwszy wreszcie granice Reinghartowego królestwa pomknęły dalej, na północ.

Tam znalazły to, czego szukały.

– Nie waż się! – zasyczał Mroczny Czarodziej, próbując schwycić jedną ze wstęg.

Sodi krzyknął. Tropiciel wrócił.

– On wie – wydyszał ciężko krasnolud, opadając na krzesło.

– Więc nie ma na co czekać – chłodno zauważyła Rosa. Puściła dłoń elfa. Szybko zapięła pasy podtrzymujące pochwy mieczy na plecach i ruszyła do wyjścia. Na mężczyzn nawet nie spojrzała.

Kiedy wyszła, Yorhowie podali jej oba elfie ostrza. Wsunęła je w pochwy i wyczekująco popatrzyła na drzwi królewskiego domostwa.

– Szybka ta wasza kobita – westchnął Sodi.

Agrah Err tylko uśmiechnął się z dumą.

Wszyscy trzej wyszli na zewnątrz.

– Jak pojedą tym wozem, co to żeśmy tu przyjechali, z cały miesiąc im zejdzie – zauważył rozsądnie Yudherthardere.

– Dlatego nim nie pojedą. – Elf odwrócił się do Yasy. – Most otworzy się pół dnia drogi od jego zamku. Głębiej się nie da. Osłony są za mocne. Mam nadzieję, że nie spodziewa się was tak szybko, ale musicie założyć, że będzie przygotowany.

– Wiem.

Err podał rękę Pierwotnemu.

„Chroń ją” – pomyślał.

„Zawsze” – odpowiedział w ten sam sposób mag.

„Ona sama się ochroni” – Rosa uśmiechnęła się ciepło do obu mężczyzn.

Jaskrawe światło Mostu rozbłysło pośród śnieżycy.

## *Likal*

Szczupła dziewczyna siedziała w saniach i pustym wzrokiem patrzyła przed siebie. Drobne palce splatały i rozplatały jasne włosy. Ładna twarz pozostawała obojętna, a dłonie poruszały się odruchowo. Dusze Likal, ta słodka i ta piekielna, pozostawały zawieszony w innym świecie, do którego zesłał je Pierwotny Mag. Mimo wysiłków Dreo nie zdołał żadnej z nich sprowadzić. Wiózł tylko pustą skorupę. Milczącą pannę o pustym wzroku.

W tym stanie nie mogła mu się na nic przydać.

Chyba że...

\*\*\*

Wyszli w śnieżycę potężniejszą niż ta w Krainie. Płatki śniegu jak małe sztylciki cięły każdy fragment odsłoniętej skóry, a chłoszczący wiatr przenikał lodowatym zimnem przez najgrubsze odzienie. Marsz w takiej pogodzie wydawał się niemożliwy. Yasa westchnął, patrząc na plecy poprzedzającej go kobiety. Szła energicznym krokiem, jakby obute w wysokie trzewiki nogi nie zapadały się w głębokim śniegu. Towarzyszący jej olbrzymi ciężkimi stopami wyrzynali w głębokiej białej powłoce ścieżkę. Korzystał z niej, ale mimo to dotrzymanie tempa pozostałej trójce kosztowało go wiele wysiłku. Niestety, użycie magii było niemożliwe. Nie chodziło bynajmniej o barierę Mrocznego Czarodzieja – bo tego nawet nie sprawdzili – lecz o element zaskoczenia. Nie chcieli, żeby Dreo wiedział o ich przybyciu.

Maszerował więc, z coraz większym trudem. Śnieg sypał gęściej i gęściej. Wiatr szarpał odzieniem Pierwotnego i co rusz spychał go ze ścieżki wydeptanej przez

Yorhów. Wreszcie Yasa zatrzymał się na moment i uśmiechnął krzywo. Tak, właśnie pojął, jak to jest być człowiekiem. Kiedy nie można problemów rozwiązać magią, przeciwnie – trzeba się z nimi zmierzyć i nawet dać im pokonać.

Rosa wyczuła chwilę, gdy mag stanął. Odwróciła się i podeszła doń.

– Chcesz odpocząć? – zapytała.

Odetchnął, z gorzkim rozbawieniem obserwując parę unoszącą się na mrozie. A potem pokręcił głową.

– Chodźmy.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Potrzebuję cię, Yaso. Potrzebuję cię wypoczętego. Mała też. Całej twojej mocy, mój drogi. Yorhowie widzieli niedaleko opuszczoną chatę. Odpoczniemy tam.

– Likal...

– Dreo nie potrafi rozpiąć Mostu. Zapewne podróżują tradycyjnie i jeszcze nie dotarli do jego zamku. Mamy trochę czasu. Chodź.

Ruszył posłusznie, świadomy, że zwolniła z jego powodu. I wściekły na siebie, że ją do tego zmusił.

\*\*\*

Chata, mimo iż opuszczona, wyglądała na solidną. Yorhowie zostali w pierwszej izbie, a Rosa i Yasa weszli do drugiej. Pierwotny zdjął ciężki od śniegu płaszcz i usiadł na rozpadającym się łóżku. Zakonna usiadła obok niego.

– Starość? – zażartowała.

– Po dwóch tysiącach lat byłaby, zdaje się, uzasadniona. – Uśmiechnął się krzywo. Przyglądał się zachłannie siedzącej obok kobiecie. „Yasa należy do mnie”... Wyciągnął dłoń, żeby pochwycić samotny płatek śniegu, który topiąc się spływał po policzku Rosy.

– Nie, Yaso. – Pochwyciła nadgarstek mężczyzny. Trzymała go o uderzenie serca za długo, a potem puściła. Nie dodała ani słowa, ale oboje wiedzieli, co nie zostało wypowiedziane. – Połóż się. Obudzę cię później.

– Nie chcę...

– Potrzebujesz snu. Nawet jeśli oznacza spotkanie z twoją kuzynką.

– Skąd...?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Należysz do mnie, pamiętasz? – Wstała, by wyjść. W drzwiach odwróciła się i dodała: – I czytałam cię, kiedy przybyłeś na Czarną Górę. Śpij.

Wyszła, a on posłusznie położył się na zakurzonych kocach. Nim zasnął, jeszcze raz usłyszał: „należysz do mnie”.

\*\*\*

Złotowłosa dziewczynka przysiadła na brzegu łóżka i wpatrywała się w leżącego mężczyznę.

– Ale ona do ciebie nie będzie – powiedziała radośnie.

– Słucham? – Zmarszczył brwi.

– Ty należysz do niej, ale ona do ciebie nie będzie, prawda? Jak ci z tym, kuzynie?

Usiadł, wspierając się ciężko o zagłówek.

– Przyszłaś, żeby rozprawić ze mną o oczywistości, Uri? W takim razie daj mi się przespać. W tym temacie nic nowego mi nie powiesz.

Wyszczrzyła się złośliwie.

– Nie, nie przyszłam, żeby o tym z tobą rozmawiać, to tylko taki dodatek. Sprawiający mi niezwykłą przyjemność. – Weszła na łóżko i opadła na kolana i dłonie. Ciało dojrzało w mgnieniu oka, a dorosła, naga Uri z kocią gracją zbliżyła się do Yasy. Złote loki zsypały się na jego tors. Prawie je czuł. Prawie.

– Tak, wiem, że to tylko czar, kuzynie, ale...

– Jestem ci wdzięczny za podpowiedź, Uri – przerwał jej. Nie mógł odepchnąć kobiety, której nie było. To tylko duch. Bardzo rzeczywisty, niesamowicie podniecający, ale duch. – A teraz daj mi się przespać. Jeśli nie odpocznę, braknie mi sił, żeby pozbyć się Dreo. Tego przecież chcesz? Jego śmierć nie tylko odda mi Likal, ale i uwolni ciebie. Będziesz mogła się odrodzić bez uporczywego głodu, bez potrzeby zabijania.

– Pomożesz mi, kuzynie? Pomożesz mi wrócić?

Nie odpowiedział. Wiedział, że to tylko urok, ale i tak zapragnął zagłębić palce w złotych włosach, poczuć miękkość jej ciała.

Roześmiała się perliście.

– Żegnaj, Yaso. – I znikła.

\*\*\*

Wyrwała go ze snu pieszczota. Otworzył oczy i przestał oddychać.

Była taka, jaką ją pamiętał. Niebezpieczna i piękna. Tak pachniała tylko jedna kobieta. Dziką wolnością, siłą i smutkiem. Odbarwione tęczówki wypatrywały zgody, kiedy mocne palce rozplątywały sznurki męskiej koszuli. Bał się odpowiadać, więc jedynie skinął głową. Uśmiechnęła się drapieźnie. Czarne włosy uwolnione z warkocza pieściły twarz mężczyzny, kiedy się pochyliła, żeby go pocałować. Oddał pocałunek z zaborczą gwałtownością. Krew płonęła, skóra paliła, oddech parzył.

Naraz Rosa odsunęła się i zachichotała. Ten chichot wbił go w koce.

– Och, nie bądź taki zaskoczony. Naprawdę sądziłeś, że to ona przyszła do ciebie? Naprawdę? – Głos należał do Zakonnej, ale to nie były jej słowa. – Dostałam pewną propozycję, kochany kuzynie... Tylko sprawdzałam, czy potrafię. Mamusia mnie uczyła tej sztuczki, ale nie byłam pewna... – Zeskoczyła z łóżka. Naga, piękna, niebezpieczna. Śmiała się śmiechem Rosy, mówiła jej głosem. – Nic by z tego nie było, najdroższy. Ona jest za silna. Już... – Zachwiała się. Zamrugła. Przez uderzenie serca wydawała się zdezorientowana.

– Rosa? – wyszeptał.

– To ja – potaknęła. – Wstawaj, musimy się zbierać.

– Roso! – krzyknął, gdy ruszyła ku drzwiom.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Zimnym uśmiechem, który nie obejmował oczu.

– Stanowczo, Yaso, nie lubię kobiet z twojej rodziny. Dopilnuj, żebym jej więcej nie spotkała.

Skinął głową w milczeniu, a ona, nieskrępowana nagością, wyszła.

\*\*\*

Sanie zatrzymały się przed zamkiem, a Dreo pomógł dziewczynie wysiąść. Prowadził ją schodami do lodowego wnętrza, delikatnie trzymając za rękę. W całkowitych ciemnościach bezbłędnie odnajdywał kolejne korytarze i drzwi. Dotykając skóry Likal, czuł jej potencjał. Drzemiącą w niej moc, równą potędze Pierwotnych. Uciszoną w tej chwili, odesłaną wraz z duszą w niebyt, zamkniętą w kryształowym pudełku, do którego klucze miał tylko Yasa.

Jakże Dreo go nienawidził.

Odetchnął głęboko. W labiryncie korytarzy nieomylnie znalazł prowadzący do kaplicy. To było odpowiednie miejsce. Zapomniane bóstwa będą świadkiem nowego stworzenia. I to on – Dreo – wypełni pustą skorupę życiem. Stanie się równy starożytnym bogom. On! Dreo Gur der Ure, znieawidzony przez ludzi, przez elfy, krasnoludy i wszystkie inne żywe stworzenia. Zapomniany przez istoty takie jak on. Ożywi martwą skorupę, a potem spłodzi z nią potomstwo zdolne władać całym Światem.

Bo ta dziewczyna, mimo że jest człowiekiem, posiadała moc. Płynęła w jej żyłach, drzemała zaklęta w tym drobnym ciele. I kiedy wypełni je umysłem, posiadzie też skorupę. Już to robił. Chociaż tamto ciało było bardziej podniecające, zadowoli się tym.

Posadził dziewczynę na ławie i zapalił jedną świecę. Tylko jedną.

Drobny płomyk odbił się od mrowia lustrzanych drobin tańczących wokół Czarodzieja. Im był starszy, tym okruchów było więcej. Kiedy ukradziono mu lustro –

wieki temu – i rozbito w drobny mak, okruchy wróciły do swego pana, a on w gniewie rozesał je w świat. Mrok mnożył się, potęgował. Kruszyny wracały i sprowadzały nowe.

Uśmiechnął się. Zło było zaraźliwe.

– Chodź, Uri – szepnął radośnie.

Wyszła z mroku i stanęła przy świecy. Taka jak w chwili śmierci. Naga i doskonała.

– I co cię tak dziwi? Duchy się nie zmieniają – warknęła wściekle.

– Jeszcze niedawno nie byłeś duchem. Dałem ci lustro, które cię odrodziło, kochanie – zakpił.

– I przez które czułam taki głód, że w rok wybiłabym całe miasto, a potem z tego głodu zdechła?

– Nie dałbym ci umrzeć.

– Raz już dałeś.

Machnął ręką.

– Rozgniewałaś mnie. Chciałem cię ukarać.

– Trzysta lat zawieszenia nie wystarczyło? Musiałeś jeszcze związać mnie z jeziorem i kazać zabijać?

– Byłaś prawie doskonała... wtedy. Teraz masz wystarczająco dużo mroku. Jesteś absolutem. Jeśli do tego dodamy moc wychowawcy twojego Yasy – wypluł to imię jak przekleństwo – nikt cię nie pokona.

Uri podeszła do Likal siedzącej na krześle. Kucnęła obok, pomachała dłonią przed twarzą siedzącej, ale błękitne oczy patrzyły pusto przed siebie, a rysy młodej czarownicy pozostały niezmienione.

– Mam się wcisnąć w takie ciało? Jest młoda, chuda i... średniej urody. Nie mogłeś wynaleźć czegoś lepszego?

– Dziewczyna ma dar. Przy odrobinie szczęścia może uda ci się nim zawładnąć.

Uri jeszcze przez chwilę wpatrywała się w dziewczynę. Potem uśmiechnęła się do kochanka.

– Nie boisz się? – zapytała ironicznie.

– Czego?

– Choćby tego, że mając taką moc urwie ci ten zakuty łeb – odezwał się cicho Yasa, wchodząc do komnaty. Patrzył przy tym tylko na ducha kuzynki.

– Ja się nie boję, ale ty chyba tak – zaśmiał się nerwowo Dreó. – Zaraz stracisz swoją dziewczynkę... a może nawet dwie dziewczynki – dodał, patrząc na wchodzącą za Pierwotnym Rosę.

– O mnie się nie martw, Dreó. – Zakonna uśmiechnęła się drapieżnie. – Ja sobie poradzę.

Mroczny Czarodziej też się uśmiechnął.

Przez chwilę nic się nie działo. W ciszy i półmroku każdy przyglądał się każdemu.

Naraz Dreo klasnął. Okruchy tańczące wokół niego zamarły, a potem opadły na ziemię i zaczęły się łączyć. Setki, tysiące drobin, jedna po drugiej składały się, najpierw w szkielety, a potem w całe sylwetki. Dwa wykreowane błyskawicznie potwory, wysokie na osiem stóp, ruszyły na gości czarodzieja.

Wchodzący właśnie Yorhowie wyszarpnęli z pochew miecze i ruszyli do boju. Wzrostem i posturami niewiele ustępowali bestiom. Kiedy jednak napani, a potężne miecze barbarzyńców dosięgły celu, zamiast gładko wejść w ciała, odbiły się od mrocznych stworzeń, krzesząc iskry. Przybocznicy Rosy odskoczyli. Spojrzeli na siebie. Potem odrzucili broń i skoczyli ku bestiom.

– O, jeszcze dwaj. – W głosie gospodarza nie było niepokoju, a jedynie zdziwienie. Popatrzył na ducha kochanki i zapytał: – Może byś tak się pospieszyła? – Jednocześnie ponownie klasnął. Fala mocy błyskawicznie uderzyła w gości. Ci jednak byli przygotowani. Yasa zasłonił przyjaciółkę i złożył dłonie. Pierwsze uderzenie szarpnęło magiem. Zakonna zmrużyła oczy. Położyła ręce na ramionach osłaniającego ją mężczyzny. Wzmocniony Yasa bez trudu odbił kolejny cios. Jednocześnie zerknął na walczących Yorhów. Cofali się pod naporem mrocznych potworów, wciąż jednak nie ustępując.

Moc spłynęła z palców Rosy. Poczuli, gdy Pierwotny z niej zaczerpnął.

Oślepiający blask wystrzelił z dłoni Yasy. Ostrzeżeni telepatycznie Yorhowie, odskoczyli od mrocznych potworów.

– Nie! – wrzasnął Dreo.

Jasność uderzyła w stwory. Pchnęła je na siebie. Kiedy bestie się zetknęły, tworzące je kruszyny poruszyły się. Światło błyskawicznie zaczęło je topić.

– Pomóż mi! – Mroczny Czarodziej krzychał do Uri.

Kobieta uśmiechnęła się, a potem spojrzała na Yasę.

– Już nie mam dylematu, kuzynie. Mogę mieć jedno i drugie. Do zobaczenia.

Uri znikła, a jednocześnie okruchy mroku ponownie połączyły się w magiczną lustrzaną taflę. Yorhowie przyskoczyli ku niej i podtrzymując, by lustro się nie rozbiło, przekreśliли w kierunku gospodarza.

– Nie, nie, nie, nie – powtarzał Dreo. Nie mógł jednak powstrzymać się i spojrzał w odbicie. Zło zaklęte w zwierciadle przywoływało swego mistrza. Śpiewało pieśń. Uwodziło. Czarodziej postąpił krok. Potem następny.

Rosa odsunęła się od Yasy. Powoli wyciągnęła czarnoelfie ostrze. Podeszła do zaczarowanego przez własny twór mężczyzny i cięła. Tylko raz.

Lustro zadrżało. Tafla zafalowała i jak glina rozciągnęła się, sięgając najpierw po toczącą się ku niej głowę Mrocznego Czarodzieja, a potem po upadający korpus. Gdy zaś szczątki znikły wewnątrz zwierciadła, jego powierzchnia wygładziła się, by po chwili zmatowieć.

\*\*\*

Likal zachwiała się na krześle. Powieki dziewczyny opadły, a ona osunęła się wprost w ramiona opiekuna. Yasa trzymał ją mocno, delikatnie głaszcząc blady policzek.

– Nie powinieneś tego robić – łagodnie powiedziała Rosa, stając za plecami maga.

Podniósł głowę i spojrzał w odbarwione tęczęwki.

– Nie, nie rozkazuję ci. Nie mam takiej mocy. – Odczytała jego myśli. – Kochasz to dziecko, a miłość nie może ograniczać, nie może zniewalać. Musisz dać jej wolność wyboru i pozwolić uczyć się na błędach. Nawet jeśli to oznacza cierpienie. Dla was obojga.

Wiedział, że Rosa ma rację. Zaciśnął zęby i skinął głową.

– A teraz, kochany, przywołaj jej dusze – szepnęła kobieta.

I tak zrobił.



## X

### Nie mów nigdy

Za małym okienkiem w drewnianej chacie znów sypał śnieg. Grube, ciężkie płatki bielily mrok. W ciszy nocy, przerywanej jedynie dźwiękami oddechu śpiących, można było usłyszeć pojękiwania wiatru, próbującego przedrzeć się przez deski ścian. Yasa nie spał. Leżał z zamkniętymi oczyma od wielu godzin. Czasami unosił powieki, by popatrzeć na Sodiego czy Likal, pogrążoną w głębokim śnie. Dziewczyna tak długo bała się zmrużyć oczy, aż wreszcie pokonało ją zmęczenie. Na Yasę jednak znużenie nie działało. Nie miał co prawda wyrzutów sumienia czy straszliwych koszmarów, jak jego podopieczna. Po prostu nie mógł zasnąć.

– I ja nie mam nic z tym wspólnego? – Miękki kobiecy głos przerwał rozmyślenia maga.

Yasa westchnął ciężko.

– Myślałem, że się pożegnaliśmy, kuzynko.

– Och, kochany – szept pieścił uszy mężczyzny – ja też byłam tego pewna, ale... powiedzmy, że zatęskniłam.

– Po dwóch dniach?

– Masz taki nieodparty urok, skarbie.

Pierwotny uniósł powieki. Naga Uri pochylała się nad nim, pieszcząc twarz leżącego długimi złotymi lokami. Czuł ich miękkość i delikatny kwiatowy aromat. Czuł, mimo że piękna czarownica była tylko ułudą. Bezcielesną imaginacją.

– Czego znowu chcesz, Uri?

– Tak od razu, kochany? Myślałam, że się nudzisz. Samotny wśród innych. Jednej swojej dziewczynki pilnujesz wiernie, nawet nie dotknąwszy, a drugiej dotyka teraz ktoś inny. To dlatego nie możesz spać, prawda? Jeśli mocno się skupisz, usłyszysz jej przyspieszony oddech. Słyszysz, prawda? Kiedy jęczy z rozkoszy, pieszczona przez innego. – Duch uśmiechnął się złośliwie, czekając na reakcję kuzyna, ale Yasa wciąż patrzył obojętnie. – Nic nie powiesz? Nie rzucisz jakiejś złośliwej uwagi? To może chociaż pstrykniesz palcami, żebyśmy zniknęła? Też nie?

– Może i ja się stęskniłem, moja droga?

Roześmiała się perliście. Odrzuciła włosy na plecy i usiadła na brzegu łóżka.

– Coraz lepiej kłamiesz, Yaso. Chyba, że to prawda... Prawda?

Pierwotny też usiadł. Milczał.

– Nawet mogłabym to zrozumieć, kochany. Mała śpi, krasnolud też, a tobie pozostało słuchanie, jak elf dogadza kobiecie, której pragniesz. Zagłuszam ich? O to chodzi?

– Już ustaliliśmy, dlaczego nie przeszkadza mi twoja obecność – uśmiechnął się krzywo Yasa. – A dlaczego ty tu jesteś?

Wstała i przeciągnęła się leniwie. Tak, by mógł podziwiać doskonałość wyimaginowanego ciała. Czy tak wyglądała, czy tylko taką ją zapamiętał? Czy może, ot, po prostu, taką sobie wymarzył, żeby – zgodnie z jej słowami – przestać myśleć o Rosie w ramionach innego. Stworzył iluzję byłej kochanki?

– Och, Yaso, nie! – Zachichotała miękko. – Nie wymyśliłeś mnie sobie! I tak, wiem, że nie lubisz, kiedy czytam w twoich myślach, ale były tak słodko bezradne. – Kucnęła przy śpiącej Likal i przez chwilę w milczeniu przyglądała się dziewczynie. – Jest ładna. I młoda. Strasznie młoda jak na ciężar, który musi dźwigać. Może elf twojej drugiej dziewczyny wyczyściłby małej pamięć? Albo ty? Nie, ty chyba nie masz takiej mocy, więc poproś kochasia Zakonnej. Kiedy już skończą... albo zrobią sobie przerwę?

– Taaak, z całą pewnością sobie ciebie nie wymyśliłem – sarknął Yasa. – I nie, nie usuniemy Likal wspomnień. Pomożemy jej uporać się z nimi.

– Z poczuciem winy też? Z bólem po wymordowaniu całego miasta? Małych, niewinnych dzieci? – ściszyła głos i przestała się uśmiechać. – Wiesz, jak to jest, kiedy wciąż od nowa myślisz o tych, których pozbawiłeś życia? Jak to jest nieustannie słyszeć krzyk umierających? Ich ostatni oddech? Ostatnie uderzenie serca? Wiesz?

Mag zmarszczył brwi i ze zdziwieniem przyjrzał się zjawie. Podniósł się z łóżka, ale nie podszedł do kuzynki.

– Czego ty chcesz, Uri? – zapytał łagodnie.

– Ja wiem jak to jest, mój drogi. Nikt nie zsyła mi magicznego snu. Słyszę ich nieustannie. Każdego z osobna. Każdego, kto skonał przeze mnie. Tu, gdzie jestem, wspomnienia i poczucie winy są wiecznie obecne. – Przesunęła dłońią tuż nad włosami śpiącej dziewczyny, jakby chciała ją pogłaskać. A potem podniosła wzrok i spojrzała na Pierwotnego. – Nikt nie może mi pomóc... jak to rzekłeś? A, tak, uporać się z koszmarami.

– Tego chcesz?

– Chcę, kochany, zapomnieć. – Skrzywiła się ponuro. – Wymazać z pamięci cały ból, który sprawiłam, każdego, kto przeze mnie cierpiał, kto płakał, kto skonał przez moją moc. Tak. Właśnie tego chcę. Zapomnienia.

Przez chwilę ciszę przerywał tylko szmer oddechu. Yasa nie odrywał wzroku od posmutniałej naraz piękności. Nie ufał jej. Od wieków jej nie ufał. Zawiodła go

dziesiątki razy, oszukiwała, narażała życie tak jego, jak i jego przyjaciół. Ba! Prawie go zabiła. Dlaczego więc miałaby jej współczuć? A jednak...

– Przykro mi, Uri.

Pokiwała głową.

– Wiem, kochany. Nie nawiedzam cię żebyś mi współczuł. – Uśmiechnęła się słodko. – Chcę twojej pomocy.

Mag również się uśmiechnął.

– W czym mogę ci pomóc?

– Właśnie w tym – wskazała na śpiącą – w zapomnieniu.

– Uri, przecież wiesz, że nikt nie ma mocy, by usunąć wspomnienia duchowi Pierwotnego. Może bogowie, ale nie ja.

– Wiem, oczywiście, że wiem. Bo, widzisz, to złożona prośba. Przyglądałam ci się. Wtedy w drodze na Czarną Górę i potem, kiedy wędrowałeś z tą swoją Zakonną. Widziałam, jak opiekujesz się tym dzieciakiem i widziałam żądzę w twoim wzroku, gdy byłeś blisko tej drugiej. Chcę znów to poczuć. Czułość i pożądanie. Nie – zachichotała, widząc jego spojrzenie – nie twoje, nie martw się. Na to już za późno. Chcę się zakochać, chcę być kochana. Potrzebuję tego. Wiesz, do czego zmierzam, prawda?

– Chcesz być człowiekiem.

– Chcę być człowiekiem. Chcę ciała i zapomnienia. Chcę się zestarzeć i... tak, właśnie tak, umrzeć, nie pamiętając czarów, zaklęć i tego całego... bałaganu. Przeżyłam setki lat, a następne setki byłam martwa. Teraz pragnę normalności. Człowieczeństwa.

Yasa milczał. Nie był w stanie wejść w umysł ducha ani odczytać jego myśli, jednak z jakiegoś powodu był pewien, że Uri mówi prawdę. Rzecz w tym, że nawet gdyby chciał, nie mógł spełnić marzeń kuzynki. Nie potrafił.

Pierwotna stanęła przed kuzynem. Przekręciła głowę, a długie złote włosy przesypały się przez ramiona, muskając odkryte piersi kobiety. Zawinęła powoli jeden z loków wokół wskazującego palca.

– Nie odpowiesz? – zapytała miękko.

– Uri, moja droga, wiesz, że nie mogę ci pomóc. Nie mam takiej władzy. Żądasz rzeczy niemożliwych. Nie umiałbym nawet oddać ci ciała, a co dopiero uczynić cię śmiertelną. Mogłabyś, i owszem, wejść w kogoś, ale przecież nie o to ci chodzi. Nie zdołam stworzyć żywej istoty z niczego i wepchnąć w nią twojej duszy, a nie zamierzam nikogo dla ciebie zabijać. Nawet jeśli...

Przerwał, bo zjawa sięgnęła po jego dłoń. Uchwyciła ją i położyła na swojej piersi. Czuł jedwabistość skóry i siłę palców kobiety. Chłód tężejącego pod dotykiem

mężczyzny sutka.

– Jak...? – szepnął.

Roześmiała się. W tej samej chwili dłoń Yasy straciła oparcie i opadła. Postać Uri zadrżała, rozmyła się na moment, by zaraz ponownie nabrać kształtów.

– Masz rację, kuzynie. Sam nie zdołasz spełnić mojego życzenia. A przynajmniej nie zdołałbyś w innym miejscu. Ale jesteśmy na Czarnej Górze. Pokolenia Czarnych Elfów gromadziły tu moc, o jakiej nawet nie śniłeś. Nie dziw się tak. Masz u boku Tropicielea – wskazała śpiącego w kącie krasnoluda – i nie zauważyłeś, jak wiele kosztuje go pobyt tutaj? To nic. Ja też nie wiedziałam. Kiedy jednak przyszłam tu za wami... Kiedy mocno, mocno się skupię, mogę się zmaterializować. Niestety na krótko. Z twoją pomocą i może jeszcze elfiego króla zatrzymam tę chwilę na następne dziesięciolecia.

Mag ponownie usiadł. Westchnął ciężko. Pokręcił głową.

– Uri...

– Tak, kochany?

– Skąd myślisz, że Agrah Err zechce ci pomóc? Byłaś... będziesz Pierwotną. Twój powrót zachwiałby równowagę w naturze. Że nie wspomnę o niechęci Zakonnej do ciebie. Trzeba było jej, kuzynko, nie drażnić pożyczaniem ciała.

– Przekonasz ich.

Skrzywił się nieco.

– Tak? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ze współczucia? – zapytała, figlarnie unosząc brwi. – Albo z miłości? Z solidarności? Z rodzinnego przywiązania?

Nie odpowiedział. Zjawa westchnęła dramatycznie.

– Och, rozczarowujesz mnie, drogi kuzynie. A tak wierzyłam w nasze... rodzinne więzi. Nic to. W takim razie przekonasz elfiego króla, bo tylko ja wiem, gdzie znaleźć twojego syna.

Yasa najpierw skrzywił się, a potem parsknął gniewnie.

– Posuwasz się za daleko – warknął cicho. – Ja też wiem, gdzie spoczywa ciało mojego dziecka, nie musisz...

– Och, skarbie – przerwała mu, przestając się uśmiechać. – Ja nie mówię o twoim pierworodnym. Wybacz, że obudziłam wspomnienia. Nie chciałam.

– O czym ty, do licha...?! – Przyskoczył ku niej, próbując uchwycić zjawę za ramiona. Bezskutecznie.

– Nie pamiętasz? – Uri rozwiała się, ale zaraz pojawiła kilka kroków dalej. – Nie? Przecież kiedy zabawiałaś się ze smoczyką, ona użyła magicznego artefaktu. Chyba

nawet ci go zostawiła... Myślałam, że się domyślasz. No cóż, gratulacje, drogi kuzynie. Zostałeś ojcem.

\*\*\*

Lodowate okruszki śniegu uderzyły w twarz Sodiego, kiedy wyszedł z chaty. Sarknął gniewnie, osłaniając oczy. Wolałby zawrócić i poleżeć w ciepłutkich pieleszach, jednak obecność milczącej, zagubionej Likal ciążyła mu znacznie bardziej, niż był gotów się przyznać. Yasa obudził dziewczynę, ale nie zdołał sprawić, by wróciła niezmienną. Nie żartowała już, nie walczyła z Sodim, nie dokuczała mu. Milczała, patrząc ponuro przed siebie, a krasnolud ledwie znosił te zmiany.

– Kurwa, ale zimno! – warknął wściekle, bardziej do siebie niż do stojącego w pobliżu Yasy. – Nienawidzę śniegu.

Mag milczał. Mrużył oczy, bo białe płatki wciskały mu się pod rzęsy, ale poza tym nie wyglądał na kogoś, komu przeszkadza mróz czy szarpnięcia wiatru. Krasnolud podszedł do przyjaciela. Pokręcił głową, rozejrzał się wokoło, jakby chciał sprawdzić, czy w pobliżu czarodzieja nie zmieniła się aura. Stwierdziwszy, że i tu zacina śnieżycą, zajrzał w oczy Yasy.

– Wam dupa nie marznie? – zapytał grzecznie. – Stoicie se tu tak, jakby to słońeczko zerkało wam w galoty, a nie mróz za jajca ścisnął. Jak tak na was patrzę, to i mnie zara ciepłuchno się robi. Na duchu, się znaczy, bo w kuper jak wiało, tak i dalej wieje. Może tak wliżem do jakiej chaty? – Zawiesił głos, bezskutecznie czekając na odpowiedź. Mag nawet na niego nie spojrział. – Nie? A mnie się zdawało, że będziecie chcieli z królikiem o waszej krewnej pogwarzyć.

– Myślałem, że spaliście. – Yasa nie wyglądał na specjalnie zdziwionego.

– Jak spać, kiedy taka... – zająknął się – piękność koło łóżka się pręży. Jak wy, kurwa, to robicie? Aniście drgnęli, jak waszymi paluchami dobrze se robiła.

– Jednak śniliście. I to jeszcze z majakami.

– No przecie żem widział. Ma dziewczucha tupet, nie ma co gadać. No, ale z takim ciałem...

– Do czegoś zmierzacie, Yudherthardere?

– Zastanawiam się, czy chcecie kuzyneczce pomóc? Nie żebym w wasz rozum wątpił, ale dziewczucha będzie chciała was wykolegować jak nic. Śmierdzi szwindlem, nawet jako przesłodka duszyczka. I coś za dużo wie... Tak se kombinuję, że panna z tą waszą smoczycą w zмовie być może. Pewnikiem chcą Smocze Ziarno odzyskać, przy okazji ożywiając Pierwotną. – Wyjął zza pazuchy wzmiankowany artefakt. Okrągły kamień rozjarzył się łagodnym blaskiem. Sodi uśmiechnął się krzywo, przesunął Ziarno między paluchami, a potem ponownie je schował. – Dziwne nie jest. Ładna

rzecz, a i jaka pomocna. To i pewnie dziewczuszki razem wymyśliły. Wiecie, taka babska solidarność. Obieście obracali, to i się dziewczuchy dogadały. Strach pomyśleć, co by było, jakby się wszystkie wasze... były zorganizowały.

– Yudherthardere...

– No? – Krasnolud uśmiechnął się krzywo. – Ino mi nie mówcie, żeście uwierzyli w nawrócenie i wyrzuty sumienia złotowłosej czarownicy. Jakoś mi dziwno, żeście się naraz tacy mięty na niewiasty zrobili.

Yasa westchnął. Spojrzał na przyjaciela, a potem uśmiechnął się ponuro.

– Nieważne, drogi Sodi, czy Uri chce się zmienić, czy rzeczywiście pragnie śmiertelności i zapomnienia. Nieważne, czy jej wierzę, czy ufam w dobre serce, jak to określiliście, złotowłosej czarownicy. I bez znaczenia, czy dogadała się z Deidghe, czy też działa za jej plecami...

– Wam o dzieciaka chodzi, co? – domyślnie skwitował Yudherthardere.

Obaj przez chwilę milczeli.

– Jesteście pewni – zapytał wreszcie krasnolud – że zjawa nie łąga?

– Nie, więc muszę sprawdzić.

– Znaczy pomożemy Pierwotnej? – Sodi zmarkotniał. Podrapał się po gęstej czuprynie, strącając przy tym płatki śniegu. – Jakoś się mnie, kurwa, mroźniej zrobiło. Jakem ostatnio do dziółchy się zbliżył, to trza mnie było potem galoty prać. Nie lubię, wiecie, srać ze strachu.

– Nie musicie...

– Taaa – przerwał Yasia krasnolud – jasne, że nie muszę, ale przecie wiemy, że pójdę, nie? Jak się okaże, żeście jednak tatulkim zostali, przyda się wam bona. A nikt tak dzieciakiem się nie zaopiekuje, jak wasz najmilejszy przyjaciel. – Yasa uniósł brew, więc Sodi szybko wyjaśnił: – No ja, znaczy się. Ja!

Nie dane mu było doczekać się komentarza czarodzieja, bo właśnie w tej chwili przed domostwo elfiego króla wyszła Zakonna. Odziana jedynie w rozchełstaną koszulę i spodnie, tak jakby i jej zima się nie miała, stała przez dłuższy czas, z lekkim uśmiechem przyglądając się przyjaciołom.

– Widzi mi się, że król prosi – złośliwie zauważył Sodi, kiedy Yasa bez słowa ruszył ku wojownicze. Dalsze komentarze krasnolud jednak sobie darował, świadomy, że zaraz znajdzie się w ciepłej chacie.

\*\*\*

Król elfów wiedział, co trapi Pierwotnego. Czarna Góra nie miała tajemnic przed swoim władcą. Nie mogło się tu zdarzyć nic, co umknęłoby jego świadomości. Żadnych tajemnic, żadnych sekretów. Yasa doskonale o tym wiedział. Dlatego nie

opowiedział Agrah Errowi o swoim nocnym gościu. Wszedł za Rosą do niewielkiej izby królewskiego domostwa, usiadł naprzeciw elfa i czekał.

Ciszę przerwało charknięcie krasnoluda.

– Nie żeby się mnie śpieszyło – Sodi roztarł potężnie dłonie nad kominkiem i uśmiechnął się szpetnie – ale jak tak se będziecie ostro dyskutować, to nic nie ustalimy.

– Ależ, drogi Yudherthardere, oni właśnie ustalają. – Uri pojawiła się nagle, tuż obok zaskoczonego brodacza. Odrzuciła włosy na plecy, prężąc wciąż nagie ciało. Krasnolud rozwarł usta, w równym stopniu wystraszony, co i zachwycony. Zjawa tymczasem uśmiechnęła się słodko i, przemknąwszy w powietrzu, usiadła obok Yasy. – Robią to w milczeniu, żebym ich nie podsłuchiwała. A że nasz gospodarz ma moc większą ode mnie, narzucił blokady niepozwalające mi wejść w umysł mojego najdroższego kuzyna. To trochę niegrzeczne, ale poniekąd zrozumiałe.

– Twój strój, droga kuzynko, też jest nieco niegrzeczny – chłodno zauważył Yasa. – I przy tym kompletnie niezrozumiały.

Uri przekrzywiła głowę, zalotnie rozchylając usta. Przyglądała się czarnoelfiemu władcy, ignorując pozostałych. Wreszcie powoli przeniosła wzrok na maga. Najwyraźniej jednak zauważyła chłodny błysk w oczach Zakonnej, bo kiedy odpowiadała, uśmiezek satysfakcji zbłądził na piękne wargi czarownicy.

– Ależ skarbie, nikt inny się nie skarży.

– Uri!

Westchnęła teatralnie.

– Jestem duchem, Yaso – zaczęła miękko, smutnym tonem. – Wyglądam tak, jak w chwili śmierci. A wtedy – przecież pamiętasz, prawda? – byłam naga.

Tłumacząc, patrzyła wprost w oczy Pierwotnego i uśmiechała się złośliwie, kpiąco mrużąc oczy.

– Chcesz powie...

– Spokojnie, Yaso – przerwała mu Zakonna – wygląd naszego gościa rzeczywiście nikogo nie wzrusza.

– Jasne, kurwa – wyrwało się krasnoludowi nieustannie zapatrzonemu w nieodzianą piękność. Niestety, w tym samym momencie obraz czarownicy zafalował i rozmył się. Na krótko. Kiedy Uri pojawiła się ponownie, była już ubrana w powłóczystą jasną suknię. Sodi zamrugał rozczarowany i westchnął rozpaczliwie. Z rozżaleniem zerknął na przyjaciela, ale Yasa tylko wzruszył ramionami, wskazując Agrah Erra. Zjawa tymczasem zachichotała, przesuwając palcami po materiale.

– Piękna suknia, wasza wysokość. Dziękuję. – Mrugnęła do elfa. – A moja prośba? Rozważyliście ją?

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem na Zakonną.

– Yasa nalegał – uśmiechnęła się Rosa – a ja nie lubię mu odmawiać. Spełnimy twoją prośbę, ale najpierw wskażesz nam miejsce pobytu Deidghe.

Uri pokręciła głową.

– Nie. Chcę pojechać z nim. Będzie mnie potrzebował. Gawry smoczyca strzegą starożytne zaklęcia. Nie poradzi sobie sam.

– Dlaczego miałby?

– Król ma tu obowiązki, a wy tam, gdzie jest smoczyca, iść nie możecie. Młodej czarownicy też nie powinien zabierać ze sobą. Po ostatnich... działaniach lepiej, żeby dziewczynka odpoczęła od magii. Tropiciel, z tego co pamiętam, nie jest zbyt sprawny w czarach. Zostaję ja. Żywa. W aktualnej postaci wiele nie zdziałam.

Obecni ponownie spojrzeli na siebie. Tym razem Tropiciel warknął, wyczuwając magię przekazywanych myśli. Przeczytać ich oczywiście nie zdołał. Krasnolud skrzywił się poirytowany. Oj, nie lubił być niewtajemniczonym. Podrapał się po gęstej czuprynie, zastanawiając nad słowami zjawy. Naraz coś mu zaświtało. Poruszył się nerwowo, próbując zwrócić na siebie uwagę pozostałych. Chrząknął raz i drugi. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

Już miał wstać, już otwierał usta, gdy w jego podświadomości pojawił się obraz. Sodi szarpnął się gwałtownie, ale zamilczał.

– Nie lubię, jak się mi we łbie grzebie – pomyślał.

– Wiem – odpowiedź pojawiła się tak, jak poprzednio obraz.

Agrah-Err nawet nie spojrzął na krasnoluda, gdy wsuwał się w jego umysł.

– Dobrze – zwrócił się do Pierwotnej. – Przywrócimy ci życie, Uri. Yasa ci ufa. Wierzy w twoje dobre chęci. Zaprowadzisz go do dziecka, a kiedy wrócicie, zabiorę ci wspomnienia. Czy to ci odpowiada?

Skinęła głową.

– A więc postanowione.

– Kiedy? – W głosie zjawy zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Teraz. – Elf wstał. Uśmiechnął się do Sodiego. – Drogi Yudherthardere, zechcecie wyjść? Nawet z ochroną ilość magii potrzebna do ożywienia naszej czarownicy może wyrwać Tropicieła na wolność.

– I takeście wymyślili, że kiedy przeleżą kilka kroków, to się bestia nie wybudzi? – zakpił krasnolud. Widząc jednak spojrzenie Zakonnej i Yasy, dodał błyskawicznie: – Tak se tylko... Dyc idę, nie?

I niechętnie poczłapał do wyjścia.

Ledwie zamknął za sobą drzwi i poczuł pierwsze drobne soplek zamarzniętego śniegu szczypiące wielki nochal, a Tropiciel zawarczał głośno. Sodi przyspieszył kroku,



dziwnie pewien, że jeśli zostanie, będzie bolało. Bardzo bolało.

Agrah Err podszedł do Rosy. Położył dłoń na jej ramieniu. Powietrze wypełnił intensywny zapach leśnego poszycia. Dziesiątki drobnych płomyków zapłonęły pod powałą. Trwały nieruchomo, nie rozświetlając mroku, a jedynie migocząc. Nie poruszył ich nawet gwałtowny powiew, wdzierający się z sykiem do izby. Zakonna wyciągnęła rękę do Pierwotnego, uśmiechając się łagodnie. Zetknięcie palców połączyło moce całej trójki w jedną niespotykaną siłę, a płomyki rozbłysły wzmocnione nią. Jeden po drugim sunęły ku sobie, by spotężnić, gdy się spotkają. Wreszcie pozostały tylko trzy. Chybały przez chwilę, ogromne i jaskrawe. Nagle splotły się. Oślepiająca jasność rozświetliła wnętrze izby. Aromat drażnił zmysły, szum wiatru ranił uszy. Coraz większe, coraz intensywniejsze...

Sodi biegł, krzycząc. Tropiciel szarpał, nie przestając wyć. Nogi krasnoluda splątały się i mężczyzna upadł.

Nastała cisza. Płomyki zgasły, zapach znikł.

Uri, ponownie naga, siedziała na ławie. Z przygryzionej wargi spływała wąska strużka krwi, a pot skroplił się na czole. Kłykcie zaciśniętych palców pobieleły. Dziewczyna drżała, oddychając nerwowo. Powoli uniosła głowę, a potem jeszcze wolniej rozprostowała palce. Dotknęła uda, pogłaskała je i wreszcie uszczypnęła. Syknęła z bólu, ale zaraz zachichotała radośnie.

– Udało się wam! Naprawdę! Wszystko mnie boli, ledwie oddycham... ale żyję! – Podniosła się z ławy z wahaniem. Postąpiła krok, niepewna siły odzyskanego ciała, a potem rozrzuciła szeroko ramiona i okręciła się szybko. – Wspaniale!

Yasa westchnął ciężko. Ściągnął z łóżka koc i okrył nim kuzynkę.

– Tak, Uri, wszyscy jesteśmy ogromnie uradowani twoim magicznym powrotem.

Uszczęśliwiona Pierwotna przysunęła się do Yasy. Tak blisko, że poczuł jej zapach. Delikatny, jaśminowy aromat skóry. Słodycz ciepłego oddechu, jedwabistość długich włosów. Poczuli każdą z tych rzeczy i zapagnęli...

Tak działała magia Uri, a on już niemal tego nie pamiętał. Dlatego poddał się pragnieniu. Wyciągnął dłoń i wsunął w chłodną miękkość loków. Przesuwał je pomiędzy palcami, wpatrując się w falę złota pieszczącego jego skórę. Nie widział triumfu w oczach czarownicy, bo nie pozwalała mu go zobaczyć. Błyskawicznie zapanowała nad każdym z pięciu zmysłów mężczyzny. Kazała wachać i dotykać. Pozwoliła mu usłyszeć jej przyspieszający oddech i głośne uderzenia serca. Nie dała oderwać wzroku. Wreszcie zażądała, by jej posmakował...

Kiedy jednak pochylał się, by posłuchać wezwania, Rosa odepchnęła go łagodnie. Dotyk Zakonnej w jednej chwili przerwał zaklęcie. Nieco zdezorientowany Yasa pokręcił głową, a Uri sapnęła wściekle.

– Przykro mi, moja droga – uśmiechnęła się chłodno Rosa – ale Yasa należy do mnie. I nikt nie może mieć nad nim władzy... prócz mnie.

– Ty...! – Czarownica wyciągnęła rękę. Spróbowała zaklęcia. Na próżno. Zakonna milczała z krzywym uśmiechem na pięknych wargach. Kiedy czarownica wykonała kolejną próbę, wojowniczką westchnęła i złożony palce w znak, zmusiła Uri, by ta znów usiadła.

– Wystarczy, moja droga. Yaso, proszę, zabierz... kuzynkę do waszej chaty. Niech nieco ochłonie.

Czarownica fuknęła wściekle, ale posłusznie wyszła za milczącym magiem. Za drzwiami uśmiechnęła się, przekonana, że kiedy opuszczą Czarną Górę, odzyska władzę nad kuzynem.

\*\*\*

Śnieżyca ustała, gdy tylko opuścili wioskę elfów. Konie przedzierały się z trudem przez zasy. Jadąca na czele Uri, drobna i sliczna w białym kożusku, siedziała z wielce niezadowoloną miną. Wszelkie próby zapanowania nad Yasą kończyły się niepowodzeniem. Najwyraźniej moc Zakonnej sięgała poza tamtą izbę. Pierwotny uśmiechał się za każdym razem, gdy czarownica koncentrowała moc. Czuł, a ona o tym wiedziała, że dziewczyna nieustannie próbuje. I najwyraźniej bardzo go to bawiło.

Krasnolud też wydawał się odporny na urok czarownicy. Co prawda wpatrywał się w nią z zachwytem, ale nie słuchał jej milczących poleceń. Czasami tylko, kiedy zbyt mocno się skoncentrowała, krzywił się boleśnie i zerkał na towarzyszkę podróży z wyrzutem. Uri ogarniała frustracja. Przez kilkaset lat nie mogła korzystać z czarów, a gdy wreszcie odzyskała nad nimi władzę, nie było nikogo, na kim mogłaby poćwiczyć. Złościła się jak dziecko, któremu pokazano zabawkę, ale nie pozwolono się nią bawić.

Jadący za czarownicą krasnolud rzeczywiście zerkał na nią z zachwytem, kiedy tylko się odwróciła. Była to jednak admiracja połączona z lekkim niepokojem. Tylko lekkim, bo chociaż Tropiciel nieustannie wiercił się pod skórą nosiciela, oprócz tego nic się nie działo. Najwyraźniej Yasa wraz z elfem i Zakonną rzucili jakiś ochronny czar. Dziwne jednak, że Sodi tego nie poczuł. Zmarszczył brwi i spojrzał na przyjaciela. Mag siedział w siodle z przymkniętymi powiekami, kołysany krokiem wierzchowca, i wyglądał na śpiącego. Czy rzeczywiście spał? Yudherthardere nigdy nie był tego pewien.

– Znaczy przed nami kawał drogi – zaczął krasnolud – bo pewnie Mostu rozpinać nie zamierzacie? No, niby wiem, że do końca się nie da, ale może tak chociażby do

granicy? To by nam kupę czasu oszczędziło, a jak będziecie tacy gadatliwi, to zasnę z nudów, pod kopyta spadnę i tyle ze mnie zostanie.

– Na pewno nie – zaprzeczyła Uri.

– No, dyć że mogę. Idzie se tak ten mój kucyk, idzie, dupę mi kolebie... Nic, ino spać. A jak zasnę, rymnę w śnieg jak nic.

– Niemożliwe. Nie mamy aż tyle szczęścia – zgryźliwie zauważyła czarownica.

– Ha! Ście, panna, za dużo pobyli w kompanii Likal, co? – uśmiechnął się szeroko Sodi. – Bo gadacie całkiem jak ta nasza gówniara. Tak mnie smutno było dziewczuszkę u elfów zostawiać, ale i wasze towarzystwo widać niegorsze. Może i nie muszę kopytek się obawiać.

– Wzrusza mnie niezmiernie wasza radość – sarknęła kwaśno Uri. Potem spojrzała na drzemiącego kuzyna i skrzywiła się nieco. – Yasa na stęsknionego nie wygląda. Przynajmniej na takiego, co by za waszą podopieczną tęsknił. Pewnie mu się marzy ta długa, półelfia...

– Nie powinnaś kończyć, kuzynko – szepnął miękko Pierwotny, unosząc powieki. – Nie wiesz, jaką moc ma Zakonna. Lepiej jej nie obrażać.

Kobieta fuknęła gniewnie.

– Jedziemy już pół dnia. Nikt nie słyszy tak dobrze. Chyba że to twoje... należenie do Zakonnej oznacza, że ona siedzi w twojej głowie? – Uniosła z zaciekawieniem brwi. Yasa tylko się uśmiechnął. – I co to w ogóle za bzdura, że jesteś własnością Kobiety Tradycji? Jej kochanek nawet nie drgnął, kiedy to powiedziała. Taki trójkącik?

Yudherthardere parsknął śmiechem, ale szybko spoważniał, usilnie wpatrując się w niebo, jakby coś go tam niezwykle zajmowało.

– Myślałem, Uri, że dotrzymywałaś mi towarzystwa i grzebałaś w moich myślach, będąc martwą? Nie wiesz? – zdziwił się łagodnie Pierwotny.

– Kochany, miałam wielu byłych. Każdemu starałam się poświęcić nieco czasu. Coś mogło mi umknąć.

– To przykre, ale przywykniesz. Teraz będzie ci umykało coraz więcej rzeczy.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a potem je zamknęła. Przygryzła wargę, jednocześnie zaciskając palce na wodzach. Przez chwilę jechali w milczeniu. Nawet krasnolud, któremu cisza była wrogiem, nie odezwał się ni słowem.

– Jak myślisz, Yaso – odezwała się wreszcie Uri – czy elfi król pozwoli ci zatrzymać syna? Wspomniałeś, że nie będzie chciał mojego powrotu, bo to naruszy równowagę. A mały? W połowie Pierwotny, w połowie smok. I to jeszcze z królewskiego rodu najstarszych, najpotężniejszych, zmiennokształtnych smoków z Itru. To dopiero nienaturalny stwór. Gdybym to ja była Agrah Errem...

– To siedziałabyś cicho i nie zamęczała mnie gdybaniem.

– Wiesz... martwię się. Ostatecznie to maleństwo jest moim krewnym.

Yasa uśmiechnął się nieznacznie.

– Maleństwo? A nie nienaturalny stwór?

– Och, skarbie – kobieta zatrzepotała rękami – oczywiście, że nienaturalny. Czyż nie tym jesteśmy? Ostatnimi wybrykami natury. Istotami, które muszą wyginąć wraz z magią, wszechmocą czy nieśmiertelnością. Nikt nie powinien egzystować poza rzeczywistością albo móc wrócić do żywych. Świat jest nami zmęczony i wreszcie nas odrzuci, zobaczysz. Na razie jednak twój syn jest moim krewnym i nieco martwi mnie jego przyszłość. Nie sądzisz, że z matką będzie bezpieczniejszy? Może i robisz Rosie dobrze, ale dziewczyna jest Zakonną. Przywieziesz dzieciaka, a ona odda go rzeźnikom z klasztoru.

Yasa milczał. Nie zaprzeczył, nie skrzywił się, nie kłócił. Milczał.

– Taaa, widzę, że przyszło ci to do głowy, prawda? – pokiwała głową dziewczyna. – Może więc lepiej zostawić sprawy tak, jak teraz?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Pierwotny wpatrywał się w daleki punkt na horyzoncie i najwyraźniej postanowił zakończyć dyskusję z kuzynką. Uri spojrzała więc na krasnoluda, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Po próżnicy panna gadasz – uśmiechnął się krzywo – ale nie przestawaj. Głosik masz jak fletnie czy inne takie, to i miło słuchać. Jego nie przekonasz, a mnie nie potrzebujesz. Ja to bym zaraz wracał. Wcale mnie nie śpieszno ze smoczycą w szranki stawać. Zwłaszcza, że o jej jedynaka bić się będziem. Bo chociaż pomnę, że dupa z niej była niepoślednia, to jakoś mi się do niej nie cni.

– Nie może to być – zdziwiła się ironicznie Uri – a ja myślałam, że wam do każdej... dupy tęskno.

– Tylko do tych chętnych – rozpromienił się krasnolud. – Takich, co to za moją szacowną osobą oczy wypatrują.

– Niemożliwe, żeby takie się trafiały. To się w życiu chyba nie natęskniliście.

– Wam się fagas trafił kilka razy, to i mnie jakaś panna mogła uczuciem obdarować. Nie takie cuda Kraina widziała.

– Tak, może i obdarować. Zwłaszcza że jak słyszałam, jesteście w posiadaniu pewnego artefaktu, którego moc niektóre panny myślą z... umiejętnościami posiadającego.

– A się na te umiejętności żadna nie skarżyła, nim jeszcze posiadał ów artefakt.

– Ale też pewnie żadna nie wracała po więcej, prawda? Znać, że ten drobiazg bardziej do dziewcząt przemawia.

Krasnolud skrzywił się nieco, odruchowo dotykając sakwy przytroczonej do siodła, a Uri uśmiechnęła się niezauważalnie.

– Zmierzcha już – zmieniała temat dziewczyna, podjeżdżając do kuzyna. – Chyba nie będziemy nocować pod gwiazdami?

Yasa nie odpowiedział.

– Na pewno nie – zapewnił Sodi. – Wy byście pewnikiem jakoś się razem rozgrzali, ale ja biedniuteńki zamarzęłbym jak nic. A przynajmniej co nieco se odmroził. Jak dobrze pomnę, zara kończą się lasy i trakt królewski zaczyna. Stoi tam taka gospoda... – rozmarzył się. – Kuchta zalewajkę robi palce lizać, a karczmareczka... Ech, śliczności. Przed zmrokiem powinniśmy dotrzeć. Już się...

Nie dokończył, bo właśnie pomiędzy drzew wyskoczyło wrzeszcząc czterech potężnych drabów. Odziani w niedźwiedzie skóry, wywijali drągami, szczerząc szczerbate uzębienie.

– Stój! – Największy wysforował się, próbując złapać uzdę klaczki wiozącej Uri. – Już!

Spłoszone zwierzę poderwało przednie kopyta. Amazonka poklepała uspokajająco koński kark i, przekrzywiwszy głowę, przyjrzała się zbójcom. Odetchnęła głęboko, a potem uśmiechnęła się wdzięcznie. I nim któryś z jej towarzyszy zdołał zareagować, uwolniła czar.

Naraz, pomimo śniegu i chłodu zimy, powietrze zapłonęło intensywnym zapachem tysiąca róż. Zafalowało, gorące, choć mroźne. Słodycz kwiatów, ciężka, przytłaczająca, otoczyła zbójców. Ci zaś zamilkli, kompletnie zdezorientowani, i tylko wpatrywali się w czarownicę. Tępym, pełnym uwielbienia wzrokiem. Uri uśmiechała się słodko, jakby każdy z czterech drabów był spełnieniem jej snów. Kiedy ponownie przekręciła głowę, mężczyźni zrobili to samo. Poruszyła dłonią, a zaczarowani odrzucili broń. Szczupłe palce Pierwotnej zwinęły się w pięść, następnie rozprostowały. Wolniutko, jeden po drugim. Zbójcy zaczęli się rozbierać w rytm prostujących się palców swojej pani, by wreszcie stanąć nago pośród śniegu. Pogrążeni w magii nie czuli zimna, a jedynie ciepło uśmiechu czarownicy. Ona tymczasem ponownie poruszyła palcami na końskim karku, udając stąpanie. Nadzy mężczyźni odwrócili się i ruszyli między drzewa.

– Uri – przerwał ciszę Yasa – wiesz, że wkrótce zamarzną? Myślałem, że nie chcesz już zabijać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To krótkie zakłęcie. Nie umrą. Co najwyżej nabawią się przeziębienia i odechce im się napadać na bezbronne kobiety.

– Kurwa – westchnął krasnolud – bezbronne?

– Dobra jestem, prawda? – Czarownica roześmiała się niczym dziecko z udanego psikusa. Klasnęła w dłonie, podskakując radośnie w siodle. – Już prawie zapomniałam... Ależ jestem dobra! Widziałeś, Yasa? Widziałeś?!

Mag patrzył przez chwilę w milczeniu. Wreszcie uśmiechnął się smutno.

– Tak, Uri, widziałem – potaknął. – Zawsze byłeś dobra.

– I raz, dwa – cieszyła się dalej Pierwotna. – Kazałam im... Widziałeś, jak szybko mnie posłuchali? Nie powiedziałam nawet słowa! Nawet jednej głoski! To... niesamowite – dokończyła szeptem.

Yasa skinął głową w milczeniu, a przyglądający mu się Yudherthardere bez trudu zauważył, jak bardzo zafrasowany jest jego przyjaciel.

\*\*\*

Karczma pogrążyła się we śnie. Cisza i ciemność, obie tak głębokie, że bliższe śmierci niż zwykłej nocy, wzięły we władanie niewielki budynek i wszystkich jego mieszkańców. Czy była w tym magia, czy to tylko wyjątkowy czas? Nieważne. Yasa znów nie mógł spać. Leżał samotny, wpatrzony w powałę, rozpaczliwie świadomy, co musi zrobić, a czego zrobić nie chciał. Po niewidocznym w mroku suficie spacerował pajak. Mag dostrzegał każde z sześciu par jego odnóży i cierpliwie liczył niesłyszalne kroki stworzenia. Każde stuknięcie, którego nie mógł usłyszeć, każdy zamilkły dźwięk przybliżał nieuchronnie.

Mężczyzna usiadł i podszedł do okna. Położył dłoń na lodowatej szybie. Rozgorączkowane palce roztopiły śnieg po drugiej stronie. Pięć kropek, niewidocznych w kompletnej ciemności. Westchnienie, które powinno przerwać ciszę, wyrwało się z ust maga. Nieme westchnienie. Yasa oparł czoło o zimne szkło. Czekał.

\*\*\*

Sodi nie miał problemów z zaśnięciem. Spał głęboko, wtulony w ciepłe ciało pulchnej karczmareczki i uśmiechał się przez sen. Słodkie majaki wykrzywiały grube usta krasnoluda w coś, co zapewne można było uznać grymasem radości i spełnienia. Yudherthardere oddychał równomiernie, obejmując upragnione krągłości posługaczki, nieświadom niezwykłości nocy, ciszy i mroku. Cokolwiek mu się śniło, przewyższało zapewne doznania z tego wieczoru, które same w sobie były przecież wspaniałe.

Nie obudził się nawet wtedy, kiedy z bezdźwięcznym skrzypnięciem otworzyły się drzwi, a w plamie ciemności z korytarza zamajaczyła postać gościa, który przybył odwiedzić śpiącego krasnoluda.

Sodi spał, pogrążony w najbardziej wyuzdanym ze snów, jakie potrafiła zesłać Uri.

\*\*\*

Wsunęła się bezszelestnie do izby Yasy. Zamknęła za sobą drzwi, ale nie podeszła do mężczyzny. Stała, wpatrując się w absolutnej ciemności w plecy stojącego przy oknie

Pierwotnego. Nie powinna go widzieć, a on nie powinien usłyszeć płytkiego oddechu Uri. Oboje jednak byli odporni na tę magię.

– Wiedziałaś, że przyjdę, prawda?

Skinął głową bez słowa.

– Nigdy nie będę miała cię dosyć, wiesz o tym. Chyba jesteś naszym przekleństwem, kochany. Przekleństwem kobiet z naszej rodziny. Każda cię pragnie. Zawsze. Spójrz na mnie, kochany... Proszę, Yaso – wyszeptała miękko.

Odwrócił się. Nie ufał jej już. Nie wierzył w dobre chęci kuzynki ani w jej zapewnienia. Kiedy jednak zobaczył bezradność w pięknych oczach... Nie miała nad nim władzy. Czary elfów i Zakonnej uodporniły Yasę na magię Pierwotnej. Zatem to, co zobaczył, nie było efektem mocy.

– Nie kocham cię, Uri. Nie tak.

– Ale mnie pragniesz, prawda? Bez zaklęć, bez uroków. Tak po prostu? Pragniesz mnie?

– Jesteś piękna.

– A ty od dawna nie byłeś z kobietą. Pragniemy się, więc co nam szkodzi?

Westchnął.

– To zły pomysł, kuzynko.

Podeszła do niego. Położyła dłoń na ramieniu mężczyzny i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Za kilkanaście dni wrócimy do twoich dziewcząt, a elf zabierze mi wspomnienia. Zapomnę o tym. Ty zapewne nawet wcześniej. Ale teraz... Pragnę cię, Yaso. Teraz. Ostatni raz. Bez zobowiązań. Bez nadziei. Dotknij mnie. Kochaj. Jakbym była... jedyna.

Zawahał się. Łagodnie odsunął z policzka dziewczyny kosmyk jasnych włosów, rysując kciukiem miękki łuk kości policzkowej. Uri rozchyliła wargi. Czuł pod dotykiem przyspieszający puls. Gładził chłodny jedwab jej skóry, powolnymi, delikatnymi ruchami. Wreszcie pochylił się, by dokończyć to, co zaczęli na Czarnej Górze.

\*\*\*

Nie spała, chociaż miała zamknięte oczy, a doskonałe piersi poruszał równomierny oddech. Yasa uniósł się na łokciu i z czułością pogładził wgłębienie obojczyka kochanki.

– On istnieje? – zapytał cicho. Nie tłumaczył, kto. Ona wiedziała.

Uri uniosła powieki. Uśmiechnęła się.

– Tak. Ma twoje oczy.

– Nie zamierzałaś mnie do niego zaprowadzić?  
– Och, Yaso – westchnęła – to nie takie proste. Naprawdę uważam, że chłopcu będzie lepiej z matką. Jest w połowie smokiem.

– A w połowie Pierwotnym.

– Tak, w połowie Pierwotnym. Zakon, Czarne Elfy, kapłani kraińscy, zapewne nawet Rada i Król Królów... każdy wierzący czy niewierzący będzie bał się mocy pół-smoka, pół-Pierwotnego. Urządzą na niego polowanie. Ogromne kraińskie zawody, kto pierwszy położy trupem straszego stwora. Przecież wiesz.

– Ochronię go.

– Może tak, może nie. Naprawdę chcesz ryzykować życiem własnego dziecka? Pokręcił głową. Cofnął dłoń i położył się obok dziewczyny.

– Wracać ze mną też nie planowałaś? Chciałaś tylko znów mieć moc?

Tym razem Uri się podniosła. Przez chwilę, w ciszy, wpatrywała się w kuzyna.

– Mówiłam szczerze, że chciałabym zapomnieć. Chciałabym – szepnęła. – Ale pewne rzeczy, Yaso, nie są dla nas. Miłość, dzieci, normalność... Jesteśmy Pierwotnymi. Tacy się urodziliśmy. Z tym musimy żyć... No i czasami to takie niesamowicie zabawne! – Zachichotała.

Przymknął oczy. Milczał.

– Och, kochany, nie smuć się. – Uri pocałowała go delikatnie. – Przecież i tak chciałaś mnie ożywić, prawda? Prawda, kochany? Jesteśmy teraz ostatnimi Pierwotnymi. Możemy być razem. – Ponowiła pocałunek, naciskając łagodnie, aż mężczyzna rozchylił wargi, a języki obojga zetknęły się. – Możemy robić to do końca świata. Żadnego ostatniego razu.

Pokręcił głową. Zamknął kochankę w objęciach i, nie przestając całować, zamienił pozycje. Włosy dziewczyny rozsypały się na poduszce. Oddychała płytko, z zaborczością oddając pieśczęty.

– Ostatni raz, Uri – wyszeptał mag.

– Nigdy – jęknęła, zamykając oczy.

Nie zdołała więc zauważyć trzech płomieni rozjarzających ciemność. A kiedy poczuła zapach leśnego poszycia, było już za późno.

\*\*\*

– Znaczy wracamy do gówniary? – Sodi siodłał kuca, z żalem spoglądając na stojącą w progu karczmareczkę. – Nie jedziemy do smoczycy? Bo przecie mozem jechać i bez tej waszej ślicznotki. Wiecie, że dzieciak jest w Itru? Przecie wiecie, no nie? Tylko tam Zakonnym wstępu bronią, a i Mostu rozpiąć się nie da. No, chyba żeście w dzieciaka przestali wierzyć.



Yasa dosiadł wierzchowca.

– Nie przestałem.

– To, kurwa, ja już nic nie rozumiem. Dopiero co moją biedną dupę przez mrozy i śniegi włóczyliście, wiosny nie czekając. Tak się wam piliło, jak mnie jedną nocą, co tom wtedy nie zdążył... Nie, wspominać nie będziem, tamto inna bajka, a i taka, co się w nocy śni ku przestrodze, że powoli nie zawsze gorzej, a czasami nawet dużo lepiej...

– Yudherthardere!

– No dyć mówię, że inna bajka. Nie wiem, co wam ta wasza kuzyneczka naopowiadała, żeście tak nagle pozmieniali plany. Nie, no przecież, że nie narzekam. Tam na nas czeka ciepłutka chatynka, żreć też dadzą nie najgorzej. Se poczekamy do roztopów... Ale dziw nad dziwami, żeście chętni do gówniary wracać, zamiast progenitury dzielnie szukać. Jakichże to argumentów pannica użyć musiała? Przecie aż taka dobra być nie może, prawda? To co? Czary jakie odprawiła? Nie może być, bo czułbym wyraźnie...

Yasa tylko uniósł brew, nie wspominając Sodiemu, że Uri magii używała przez pół nocy, a on w tym czasie spał jak dziecko.

– I czego panna z nami nie wraca? Coście jej zrobili, ha? Znaczy ja wiem, żeście w tych sprawach nie lada wojak, to i panna pewnie z sił opadła, ale żeby zaraz w karczmie ją ostawiać? Nic nie powiecie? Coście zrobili?

– Spełniłem jej prośbę, przyjacielu. Tylko spełniłem prośbę – odpowiedział cicho Yasa, spinając konia.

Sodi stał zaskoczony, kiedy jego przyjaciel oddalał się w kierunku elfiej siedziby. Wreszcie dosiadł kuca i popędził za magiem.

\*\*\*

Jasnowłosa dziewczyna obudziła się rankiem. Otworzyła oczy, nieco zdezorientowana. Nie pamiętała gdzie ani kim jest. Absolutnie niczego nie wiedziała o sobie. Wystraszona usiadła na łóżku, oddychając głęboko. Kim była?

– Uri. Masz na imię Uri – przemknęło przez jej myśli. Zamrugowała.

Tak, teraz pamięta. Ma na imię Uri.

Na ławie, przy łóżku, leżała suknia, kilka tobołków i gruba sakiewka. Bardzo gruba. Zatem miała na imię Uri i była zamożna. Kolejne wspomnienia pojawiały się obrazami. Miasto, dom, ludzie. Już dobrze, coraz lepiej. Prawie wszystko pamięta.

Wstała, strącając poduszkę. Biały okrągły kamień stoczył się z łóżka i spadł na drewnianą podłogę. Połyskiwał pięknie, jak olbrzymia kremowa perła.

Hmmm... tego nie pamiętała.

# XI

## Olbrzymy

Oblubienica siedziała na pieńku. Śnieg prószył na rozpuszczone czarne włosy. Migotliwymi diamentami połyskiwał na zdobiącym kunsztowną fryzurę wianku z ususzonego kwiecia i topił się, spływając po mokrych kosmykach. Krople toczyły się po policzkach, mieszały z zasychającymi łzami i nikły za dekoltem białej sukienki.

Dziewczyna opuściła głowę, zamknęła oczy i, mnąc materiał poplamionego odzienia, kiwała się to w przód, to w tył. Wianek zsunął się powoli i spadł pod nogi siedzącej, ale ta nie uniosła powiek.

– Będę ci ja panią, będę ci ja panią, wianek ci oddam – zanuciła cichuteńko oczepinową piosenkę. Las odpowiedział jej szumem drzew i odległym trelem ptaków. Śpiew urwał się nagle. Ciemnowłosa westchnęła i załkała, ukrywając twarz w dłoniach.

Wianek różowił się w śniegu. Tuż obok stóp panny młodej i zmiażdżonej głowy pana młodego. A oblubienica wciąż siedziała na pieńku, kiwając się apatycznie, wśród krwi i ciał weselników.

\*\*\*

Sodi de Gra Yudherthardere chrząknął kolejny raz. Tym razem donośniej. Charknął głęboko i splunął pod nogi kuca. I znowu bez skutku. Dosiadający srebrzystej elfiej klaczki czarodziej nie zechciał nawet spojrzeć na przyjaciela, a co dopiero zagaić rozmowy. Siedział wyprostowany w siodle, jakby chłodny północny wiatr w ogóle się go nie miał. Może zresztą tak było? Kto zna moc Pierwotnego?

Krasnolud odkaslnął ponownie. Wciąż nic.

– Przyjdzie mi, kurwa, flaki wysmarkać, a wy i tak gęby nie rozewrzecie, nie? – zapytał wreszcie rozeźlony. – Byście chociaż zerknęli, no!

– Wybaczcie, Yudherthardere – uśmiechnął się złośliwie Yasa, wciąż jednak nie patrząc na towarzysza. – Nie wiedziałem, żeście tak moich oczu głodni.

– A głodnym, głodnym – warknął krasnolud. – Chcę w te wasze oczyska patrzeć, kiedy mi odpowiadać będziecie, po ciężką cholerę dupę na północ wlecemy, ha? Ledwieśmy do elfiej wioski wrócili, kuzyneczkę waszą w karczmie ostawiając. Do roztopów będzie jeszcze kilkanaście zachodów słońca... Nie mogliśmy to przeczekać ich w ciepłutkiej chatynce, u boku elfiego króla? Podpowiem wam: w tym przemiłym

miejscu, w którymście gówniarę zostawili. I co to za pomysł, żeby dziewczucha u elfów została? W samym sercu mocy, co? Mało narobiła bajzlu? Jak się, co uchowajcie bogowie, wspomóż elfiej Góry potęgą, to całą Krainę rozpieprzy.

– Agrah Err jej pilnuje – miękko zauważył Yasa.

– Taaa – krasnolud wzruszył ramionami – tylko czy se z nią poradzi jakby co? Wyście nie zdołali. To nie jakieś elfie pacholę, że król ino spojrzy, a to w portki robi. To czarownica pełną gębą. Tu strzeli paluszkami, a w Delgharcie lawina popierdala.

– Chcecie przez pół drogi opowiadać oczywistości? – westchnął niechętnie mag. – Czy może do czegoś zmierzacie?

– Tak se ino dumam, że młodą u elfów zostawilim, a sami popieprzamy przez leśne zadupie. Chabety ledwo przez te śniegi nadążają, a mnie już dupa do siodła całkiem przymarzła. Jak se pomyślę o ciepłutkiej chatynce i o tych długonogich pannicach, co to się wam do łóżka pchały... Nie mogliście to skorzystać, zamiast oczyska za Zakonną, psia jej mać, wypatrywać? Zdało się mnie, że jakeście z młodą wrócili, to pani Rosa, nie wychodząc przez dwie doby z królewskiego łóżka, wyraźnie pokazała, komu du... serce oddała. – Sodi uśmiechnął się złośliwie, zauważając zaciskające się usta Pierwotnego. – Taaa, tak się mnie zdawało, a tu ledwie Zakonną wezwali, pół dnia nie minęło i popierdalały za nią. Bo to jej konia ślady, nie?

Yasa westchnął. Spojrzał w ciemniejące niebo. Na północy sypał śnieg, pomiędzy drzewami widać było odległe smugi.

– Tak – odpowiedział krótko mag.

– I dlategoście gówniarę z Agrah Errem zostawili, nie? Czego oczy nie widzą...?

Mag wreszcie spojrział na przyjaciela.

– Zostawiłem Likal na Czarnej Górze, bo w tej chwili tam jest jej lepiej. A za Rosą wyruszyliśmy, bo Agrah Err nas o to prosił. Obu.

Sodi rozdziawił usta. Na moment.

– No, teraz to se ze mnie żarty stroicie, nie? – parsknął po chwili. – Żem żadnej prośby od jaśnie wielmożnego elfiego królika nie słyszał. I jakoś się mnie wierzyć nie chce, kiedy se wspomnę, jak na was spoglądał, żeby chciał waszego z Zakonną spotkania. To jakby pasterz wilki za owcami słał. Jeno wam się konsumpcja innego rodzaju duma. I nie gapie się tak na mnie. Się nie wystraszę. Za bardzo mróz mi jajca ściska – dodał już nieco ciszej, bo chłodne spojrzenie czarodzieja miało jednak pewną moc. – Wiem, że elf widzi czasami przyszłość, ale jakby o panią Rosę się martwił, sam by pojechał, ot co.

– Nie wiem, czy o Rosę się martwił, ale powiedział, że nasza obecność jest tam, gdzie ona zmierza, niezbędna.

– A wy tak grzecznie, a bez pytania mnie o zgodę, dupę wsadziliście na koń i jazda?

Yasa milczał.

– Pomyśleliście chociaż, że Zakonna może wcale naszej pomocy nie chcieć? Wiecie, ja tam nie chcę wkurwionej babie pod jeden z mieczy wchodzić. Już go kiedyś na gardle miałem i starczy. – Zawiesił głos, wpatrując się w przyjaciela, a konkretnie w jego plecy, bo Yasa spiał konia i wysforował się przed krasnoludzkiego kuca. – Taaa, znaczy pogadaliśmy, co? Dobra, Doru, jak trza, to trza – rzekł łagodnie do kuca. Pochylił się w siodle i sam pogonił wierzchowca.

\*\*\*

Niebo nad polaną było czarne i usiane gwiazdami. Widziała kiedyś taką tkaninę. Jeden z płaszczy królowej Doliny Serbithów miał podobną barwę, a brylanty wszyte w zdobienia wyglądały zupełnie tak, jak połyskujące na nieboskłonie gwiazdy. Dziwne, że tamte kosztowności nie zrobiły na Likal równie dużego wrażenia, co tej nocy kryształowy światła nad głową. Stała na opustoszałej polanie, gdzie za dnia czarne elfy doskonaliły umiejętności walki. Zamknięta w mroku i ciszy. Samotna i pusta. Gdzieś blisko zaśpiewał ptak, ale dziewczyna nie słyszała jego treli. Usunęła wszystkie dźwięki.

Tylko w ten sposób nie słyszała krzyków.

Uniosła dłonie w bezsensownej próbie dotknięcia gwiazd. Może, tylko może, gdyby udało się sięgnąć odległych klejnotów, gdyby zdołała choćby musnąć je palcami, potrafiłaby naprawić wszystko. Wszystko zmienić. Cofnąć czas.

Dalekie skry bogów migotały obojętnie, piękne i nietykalne. Nie miała nad nimi władzy. Tak jak nie miała władzy nad przeszłością. Nikt nie mógł jej zmienić. Nawet Yasa. Nawet on nie mógł naprawić zła, które wyrządziła Likal. Wskrzесиć zmarłych, odbudować domów, przywrócić do życia unicestwionego miasta.

Załkała, opuszczając ręce. Opadła na kolana i schowała twarz w dłoniach. Nie płakała. To, co paliło ją od środka, osuszało łyzy, nim wymknęły się spod powiek. Może gdyby zapłakała, rozpacz trawiąca myśli dziewczyny wreszcie by ustąpiła i Likal zdołałaby zasnąć. Chociaż na jedną noc. Chociaż na chwilę. Spałaby, nie widząc burzy ognia, nie słysząc wrzasku konających. Może...

Usiadła na ubitej ziemi, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Przygotowywała się na wyjście z ciszy. Wbiła palce w ciało, wiedząc, co się stanie, kiedy wyłączy magię.

Yasa zabronił. Widziała troskę w ciemnych oczach opiekuna, gdy narzucił czar ciszy i zabronił z niej wychodzić. Oboje wiedzieli, że Likal nie posłucha. I oboje bali się tej chwili.

Odetchnęła głęboko i wypowiedziała zaklęcie.

Przyglądający się dziewczynie Agrah Err drgnął. Cofnął się i zamknął oczy. Złożył palce w ochronny znak. Pierwsza fala krzyku umierającego miasta szarpnęła elfim umysłem. Setki dusz, konających w jednej chwili, wołało o pomoc. Mężczyzna zacisnął dłonie. Jedno uderzenie serca, drugie, trzecie... Głosy cichły niechętnie. Wreszcie odeszły. Elf uniósł powieki. Zwinięta w pozycji embrionalnej Likal pojękiwała cicho. W jej głowie krzyk wciąż trwał.

Gwiazdy na mrocznym niebie migotały obojętnie, gdy czarnoelfi władca podszedł do młodej czarownicy i usiadł obok niej. Nie dotknął dziewczyny, nie pomógł, nie uciszył rozpacz.

Czekał.

\*\*\*

Rosa podała wodze jednemu z Yorhów. Łagodnie poklepała bok srebrnej elfiej klaczki, a koń parsknął zadowolony. Potężny kudłacz przejął zwierzę i skinął głową Zakonnej.

– Pani – cichy męski głos wyrwał kobietę z zamyślenia – zechcecie pójść za mną?

Potaknęła i ruszyła za człowiekiem namiestnika, zostawiając przybocznych na placu przed ratuszem.

Mijane w korytarzu służące umykały pospiesznie, widząc córę Zakonu. Co odważniejsze dziewczęta zerkały z ukrycia, podziwiając wysoką sylwetkę kobiety. Szczególne wrażenie robiły dwa miecze zapięte pasami na plecach wojowniczk. Ach, być taką silną, piękną i poważaną... I żeby mężczyźni pochylali głowy ze strachu. Tak... być taką Zakonną.

Rosa uśmiechnęła się łagodnie, słysząc pełne uwielbienia i zazdrości rozmyślenia służącej, ale nawet nie zerknęła w kierunku dziewczynki. Kolejne dwie, ukryte za filarami, też minęła obojętnie. Szła szybko, stawiając długie kroki. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zrobił to prowadzący ją mężczyzna. Zastukał w pięknie zdobione drzwi i, usłyszawszy zaproszenie, pchnął je. Nie wszedł jednak do środka, a jedynie przepuścił gościa.

Namiestnik Erunde siedział za wielkim stołem. Sam też nie należał do ułomków. Potężny, z łapami jak bochny chleba, podwójnym podbródkiem i natłuszczonymi włosami przyklejonymi do czaszki. Widząc Zakonną, podniósł się powoli i wyszedł jej na spotkanie.

– Witajcie, kobieto Tradycji. Zaszczyt to wielki dla naszego miasta. Wielki...

– Wzywaliście nas – przerwała mu Rosa.

– Tam zaraz wzywałem – burknął namiestnik. – Dla mnie sprawa jasna jak to słoneczko, co właśnie chowa się za lasem. Na co mnie tu Zakonne? Ni cholery żeście

niepotrzebni. Sami się przekonacie. Ale, kurwości, arcykapłan kazali. I Rada. No, tom pchnął dzieciaka do Zakonu, a oni wysłali was. Wyście Rosa? Jedyna po Przemianach? Po włosach poznałem, po tych nożykach, co wam zza pleców wystają, no i po tych kudłatych drabach, coście ich przed drzwiami zostawili. – Wskazał głową okno. – Sława was wyprzedza. Dziw, że wybrali najlepszą do takiej pierdolety.

Zakonna tylko uniosła brew.

– Nie powiedzieli wam? – uśmiechnął się krzywo Erunde. – A to nawet normalne... Odpocząć chcecie, zanim wam wszystko wyłuszczę? Z Czarnej Góry droga daleka.

Kobieta powoli przymknęła powieki, a olbrzym naraz zadrżał. Nie, nic nie poczuł, ale coś w wyrazie twarzy wojowniczkę zmusiło go, by postąpił krok wstecz. Leniwy, nieobejmujący oczu, zimny uśmiech kobiety uniósł mu włosy na potężnym karku, a niewiele rzeczy było w stanie wystraszyć namiestnika.

– Nie – odpowiedziała Rosa, odczytawszy myśli gospodarza. – Prowadźcie mnie do kowalówny.

– Skąd wiecie...? – Erunde cofnął się o kolejny krok.

Zakonna tylko uniosła brew.

– To prawda, co o was gadają? Czytacie w myślach? Weszliście mi do łba i... Święty Jurfie! – jęknął Erunde i ciężko klapnął na ławę. Przez chwilę dumął w ciszy nad niezwykłością tego, co go spotkało, oglądając grube paluchy. Kręcił przy tym głową w głębokiej zadumie. – Werdun! – krzyknął wreszcie. Za drzwiami zaszurały buty. Najprawdopodobniej służący czekał na polecenia. Niewysoki grubasek wszedł, kłaniając się nisko. Starał się jednocześnie nie patrzeć Rosie w oczy. Namiestnik machnął niechętnie do mężczyzny. – Werdun! Rusz dupę! Trza jaśnie panią do świątyni zaprowadzić. Chciałem dziewczuchę w dyby w lochach zakuć – Erunde zerknął na wojowniczkę – ale się księżulo zaparł, więc odpuściłem. Zamknął pannicę w jednej z przyświątynnych cel. Werdun was zaprowadzi. Poszedłbym i ja, ale coś nam ostatnio z arcykapłanem nie po drodze.

Rosa w milczeniu kiwnęła głową i wyszła wraz ze służącym. Namiestnik tymczasem wciąż drapał się po wielkiej głowie, nie mogąc uwierzyć, że bajania, które po szynkach opowiadali, były jednak prawdą i ktoś potrafi czytać w jego myślach.

\*\*\*

Czasy świetności świątynia zdecydowanie miała za sobą. Z odrapanych murów sypał się tynk, a okiennice zwisały smętnie na naderwanych zawiasach. Kiedyś zapewne był to imponujący budynek, świadczyły o tym zachowane na wieżach piękne witraże i kunsztowne płaskorzeźby wysoko na murach. Te na niższych poziomach zostały uszkodzone częściowo albo całkiem odbite. I, tak jak w innych tego typu przybytkach

Krainy, wewnątrz świeciło pustką. Próżno było szukać pobożnych wiernych pogrążonych w modlitwach. I owszem, kilku starców siedziało na ławach, ale przybyli tu raczej z przyzwyczajenia czy z prośbą o pomoc, nie zaś z potrzeby serca. Werdun i Zakonna przeszli bez słowa obok siedzących. Nie pochylili również głów przed żadnym z kilkunastu ołtarzy poświęconych starożytnym bóstwom. Sługa namiestnika dreptał szybko na krótkich nogach, nie oglądając się za siebie. Minął główną nawę i, nie pukając, wszedł do prywatnych komnat kapłanów.

– Świątobliwy! – wrzasnął, trzaskając drzwiami. – Świątobliwy!!!

– Czego? – Chudy, ale wyjątkowo wysoki duchowny odsunął kotary. Zatrzymał się w pół kroku, z zaskoczeniem wpatrując się w wojowniczkę. – Zakonna? – szepnął, a potem uśmiechnął się szeroko. – Witajcie! Nareszcie! Już myślałem, że Zakon nie zechce nam pomóc... Wielka to radość! Wielka. Wejdźcie, pani. Usiądźcie. Zaraz zawołam służbę... Poczęstunek przygotowują.

– Nie trzeba. Zaprowadźcie mnie do kowalówny.

– Ale... – zaczął. Widząc jednak wyraz twarzy Rosy, zmienił zdanie. – Wybaczcie. Już prowadzę. Dziewczyna jest trochę... No, wiecie.

– Wiem.

– A mówiłem namiestnikowi, żeby modły odprawić. – Ruszył przez ciasny korytarz, oświetlony pochodniami. – Nabożeństwa. Ofiary... Zawsześmy modły odprawiali na święta. Dobrobyt nam zapewniały. Bezpieczeństwo. Żadnych dziwów i strachów nie było. Trza nam było dalej bogom ofiary składać. Trza było świątynie odnowić, ludzi zwołać. A tak się bogowie obrazili i o! – Otworzył drzwi i odsunął się, wpuszczając wojowniczkę. – Chcecie, żebym został?

Rosa nie odpowiedziała. Przyglądała się dziewczynie siedzącej na pryczy. Pogrążona w katatonicznym transie kowalówna kiwała się to w przód, to w tył, zapatrzona w odległy punkt na ścianie. Nie dostrzegła gości, tak jak nie zauważała szczura skubiącego rąbek jej sukienki.

Zakonna podeszła do dziewczyny, płosząc gryzonia. Łagodnie położyła dłoń na ramieniu siedzącej. Nerwowy ruch ustał. Kowalówna uniosła wzrok. Napotkała bezbarwne tęczy i westchnęła ciężko. Nieprzytomne spojrzenie dziewczyny nabrało ostrości, a po chwili zalała się łzami. Rosa usiadła przy płaczącej. Czekwała w milczeniu, aż płacz ustanie.

– Tyle krwi – załkała kowalówna. – Tyle krwi na śniegu. Czerwone strumienie. Wszędzie posoka. Pochłapała sukienkę. O tu. – Pokazała plamy. – Piękna sukienka. Bielutka. A teraz brudna. Całkiem zniszczona. Do niczego. A taka piękna sukienka...

– Zamilkła nagle, przerywając potok krótkich zdań. Zmrużyła oczy i odetchnęła głęboko, wsłuchując się w łagodne polecenia Zakonnej, płynące wprost do

umęczonego umysłu. Nieustannie przy tym głąskała brudny materiał ślubnej sukni. – Chcieliśmy złożyć ofiarę bogom lasu – zaczęła cicho, prowadzona miękkim szeptem w duszy. – Taka tradycja. Nieśliśmy dary. Rozpaliliśmy ogień. Miał pochłonać ofiarę. Taka tradycja... – Zamilkła na chwilę. Ponownie odetchnęła głęboko, trąc palcami skronie. – Wyszli z lasu. Byli ogromni. Straszni. Zabili wszystkich... Wszystkich! Tylko mnie zostawili. Zabili Terina. Zabili Terina... – Załkała rozpaczliwie. Drżała gwałtownie, zanosząc się coraz głośniejszym płaczem. Pogrążona w przerażającym wspomnieniu, nie słyszała już głosu Rosy, szepczącego uspakajające zaklęcia.

Zakonna westchnęła i zacisnęła palce na ramieniu kowalówny. Łkanie ucichło nagle. Dziewczyna zamknęła oczy i ciężko opadła na posłanie, pogrążona w głębokim, magicznym śnie.

– Umyjcie ją i przebierzcie – poleciła wojowniczką, gdy podsłuchujący pod drzwiami kapłan wszedł do środka. – Natychmiast!

– Ale...

– I przenieście do gościnnych pokoi.

Kapłan przenosił wzrok z Zakonnej na kowalównę i z powrotem.

– Uwierziliście jej? A Erunde mówił, że nie uwierzycie. Że dziewczyna wszystkich wyrznęła. Z kochankiem. A mówiłem, że kowalówna nie łże! Mówiłem! Że olbrzymy przyszły nas pokarać?! Mówiłem?! Nikt mi nie wierzył. Wiara upada! Zapomniani bogowie ślą potwory! Ukarzą nas wszystkich! Wszystkich!

Rosa uniosła brew. Nie zamierzała tłumaczyć kapłanowi, że akurat ci młodzi pamiętali o bogach, więc nie powinni zostać ukarani.

– Przyjdą i nas wybiją! – krzyczał świątobliwy. – Trzeba powiedzieć ludziom! Trzeba bić w dzwony, składać ofiary, modlitwy wznosić! Trzeba błagać! Błagać!

– Potem. Teraz wezwiecie posługaczki, a one obmyją pannę i zmienią jej odzienie – chłodno poleciła Zakonna.

– Ale...

– Bogowie czekali ostatnie dziesięciolecia, to poczekają jeszcze kilka godzin. A dziewczyna nie powinna spać we krwi narzeczonego.

Mężczyzna nie wyglądał na przekonanego, więc Rosa użyła swojego słynnego spojrzenia, przed którym korzyli się najwięksi wojacy Krainy. Patrzyła zimno i bez słowa, ale najwyraźniej więcej dźwięków kapłanowi nie było potrzeba, bo błyskawicznie zawołał służki.

\*\*\*

Człowiek namiestnika nie czekał na Zakonną przed świątynią. Droga powrotna nie była co prawda zbyt skomplikowana, ale taki brak szacunku nieco zaskoczył Rosę.



Zrobiła ledwie kilka kroków w mroczną uliczkę, gdy pojęła, dlaczego Werduna nie ma przed świątynną bramą. Stał w ciemnościach, za rogiem kamieniczki, wraz z sześcioma innymi mężczyznami. Wyczuła ich niepokój, podniecenie, przyspieszające tętno i napięcie towarzyszące oczekiwaniu na walkę. Słyszała płytkie oddechy, brzdęk stali i nerwowe przestępowanie z nogi na nogę.

Rosa rozejrzała się. Nie miała ochoty walczyć. Mogła oczywiście zawrócić do świątyni. Mogła w niej nawet przenocować. Tak, mogła. Westchnęła niechętnie i obnażyła bezszelestnie oba miecze. Nim weszła w ciemność, wezwała w myślach Yorhów.

Gdyby nie była Zakonną po Przemianach, może napastnicy mieliby szansę. Weszłaby zapewne pomiędzy nich. Zdołaliby ją okrążyć i zaatakować ze wszystkich stron. Tak by było, gdyby Rosa nie wiedziała, gdzie każdy z nich stoi. Zrobiła trzy kroki w kompletnej ciszy, nim cięła pierwszy raz. Dwaj mężczyźni stojący z dwóch stron ulicy z jękiem zwałili się na bruk. Czterej kolejni wyskoczyli z kryjówek i rzucili się na Zakonną. Kobieta odskoczyła, a potem napała na przeciwnika. Zaatakowany zdołał jednak sparować cios. Uderzył. Rosa zasłoniła się jednym z ostrzy i uderzyła drugim. Metal gładko wszedł w ciało. Kolejny napastnik upadł. Pozostali, nie czekając, skoczyli jednocześnie. Przez chwilę ostrza tańczyły w rytm pokrzykiwań atakujących. Wojowniczką odbijała cięcia, nieco tylko zaskoczona, że walka wciąż trwa. Kolejne uderzenie. Odbicie. Zamarkowany cios. I cięcie. Następny mężczyzna upadł.

Pozostali zamarli na moment. Zaraz jednak wzmożli atak. Koniec jednego z mieczy przeciął kurtkę Zakonnej i drasnął jej skórę. Syknęła. Uniosła ostrza...

Dwie strzały ze świstem przecięły powietrze i wbiły się w karki pozostałych zbójców.

Rosa skinęła biegnącym Yorhom, otarła głownie z krwi i powoli wsunęła je do pochew. Rozejrzała się. Zauważyła sześciu napastników. Nie widziała Werduna, a przecież poprzednio czuła jego strach. Czyżby uciekł?

Znalazła grubaska pod ścianą, w głębi bocznej uliczki. Leżał we własnej krwi, wypływającej z głębokiej rany wzdłuż gardła.

Dziwne... Nie wyczuła jego śmierci.

\*\*\*

Karczma była niemal pusta. Najwyraźniej niewielu podróżnych odwiedzało miasto o tej porze roku. Gospodarz wybiegł na spotkanie Zakonnej, gnąc się w ukłonach. Obecność dwóch olbrzymów za plecami kobiety nieco ochłodziła zapędy mężczyzny, ale i tak czyścił podłogę przed stopami Rosy.

– Witamy, witamy. – Nie przestawał się kłaniać. – Szanowna pani raczy usiąść. Pieczyste podam. I panom również. Namiestnik kazali najlepsze pokoje przygotować.

Mało teraz gości, mało. Najlepsze pokoje czekają. Wody nagrzejem, co byście mieli gorącą kąpiel. I olejki damy. Najlepsze.

Zjedli w milczeniu i rozeszli się do izb przygotowanych przez służbę. W pokoju Rosy rzeczywiście czekała spora wanna, pełna wody. W pachnących oparach stała młoda posługaczka. Dygnęła, widząc gościa.

– Pomóc szlachetnej panience? – zapytała grzecznie.

Zakonna już miała odpowiedzieć, że nie, ale zmieniła zdanie. Skinęła głową. Kiedy jednak dziewczyna chciała podejść, zatrzymała ją gestem. Potem rozebrała się i szybko weszła do wanny. Woda była gorąca i podrażniła rozcięcie na skórze wojowniczk. Rosa przygryzła usta, a potem uśmiechnęła się ironicznie. Ot, kilkanaście tygodni czarnogórskich wygod i zaczyna się rozczulać nad sobą z powodu draśnięcia. Oparła głowę o brzeg kadzi i przymknęła oczy.

– Powiedz, moja droga – zapytała łagodnie – jesteś stąd? Z miasta?

– Tak, pani. Tu się urodziłam, tylko w innej części. Tej biedniejszej.

– Znasz kowalównę? Jesteście mniej więcej w tym samym wieku.

– Jesteśmy, pani, ale ona jest zamożna, a my nie.

– Rozumiem. A w dzieciństwie? Nie bawiłyście się razem?

– Nie.

– To nie wiesz, czy jej rodzina ma jakiś wrogów?

– Kowali, psze pani, wszyscy lubili. Całe miasto ich szanowało. Wspomagali każdego, kto potrzebował. A i kowal nie był... no wiecie... Pozwolił córce męża wybrać. Zgodnie z tradycją winna wyjść za namiestnikowego kuzyna, bo tak się umawiali namiestnik z kowalem, kiedy żeśmy jeszcze dziećmi byli, ale się zakochała w takim jednym... Ubogi był, ale ładny. No i kowal powiedział, że miłość najważniejsza. – Zamilkła, jakby się zastanawiała, czy nie powiedziała za dużo. – Ja... będę wam potrzebna, pani?

Rosa uniosła powieki i spojrzała na służkę. Mała wydawała się trochę wystraszona.

– Dziękuję, moja droga. Możesz już iść.

Dziewczyna dygnęła i szybko wyszła, a Zakonna ponownie pogłężyła się w rozmyśleniach. Ciepła woda pełna aromatycznych olejków odprężyła i przynosiła ukojenie. Przygaszone światło i mrok za oknami z wolna usypiały wojowniczkę.

Była na granicy snu, gdy skrzypnęły drzwi. Powieki wojowniczk drgnęły nieznacznie, ale nie uniosły się.

– Powinieneś zapukać – zauważyła cicho.

– Zapewne – odpowiedział Yasa, siadając na łóżku – ale ominąłby mnie ten wspaniały widok.

– Właśnie dlatego powinieneś zapukać. Co tu robisz?

– Przyłączam się?

Uniosła powieki i chłodno spojrzała na Pierwotnego.

– Rozumiem, że nie? – Czarodziej dzielnie wytrzymał wzrok kobiety, nadal jednak beczelnie przyglądając się jej nagiemu ciału. – Szkoda, przydałaby mi się ciepła kąpiel.

– Przedstaw się karczmarzowi, chętnie cię obsłuży.

– Wolałbym...

– Yaso – ostrzegawczo zaczęła Rosa – nie. I nie wracajmy do tego. Zapytam raz jeszcze: co tu robisz?

Mężczyzna skrzywił się.

– Czarnoelfi król mnie poprosił.

– Err? Err wysłał cię za mną?

– Czemu was to tak dziwi?

– Yudherthardere też nie mógł uwierzyć? – domyśliła się kobieta.

– Nie rozumiem dlaczego.

Zakonna uśmiechnęła się, bo oboje wiedzieli, że mag łże. Zajrzała w czarne tęczęwki przyjaciela i lekko zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– Nie kłamiesz. Err naprawdę poprosił, byś za mną wyruszył.

– Nie, nie kłamię.

Rosa pokręciła głową, ale milczała. Drwa pod kominkiem z wolna zaczynały dogasać. Robiło się coraz ciemniej. Yasa, jakby czytał w jej myślach, wstał i dorzucił polano. Sypnęły się skry, a ogień spotężniał, rozświetlając pokój.

– Może umyję ci plecy? – zaproponował mężczyzna, kucając przy wannie.

– Poradzę sobie.

– Jesteś ranna? – Zaskoczony mag sięgnął ku niewielkiemu rozcięciu, tuż pod żebrami Rosy. Zaczynało się już zablizniać, ale i tak go zaniepokoiło. Zanurzył palce w wodzie, by łagodnie przesunąć nimi wzdłuż brzegów tworzącej się blizny. – Co się stało?

– Drobnie nieporozumienie. Nie miałam sił go dzisiaj wyjaśniać.

– Jakie nieporozumienie?

– Za dużo czasu spędzasz z krasnoludem. Zrobiłeś się gadatliwy. – Wstała, sięgnęła po ręcznik i wyszła z wanny. Ominęła Yasę i usiadła na łóżku. – A właśnie, gdzie zostawiłeś kurdupła?

– Poszedł spać. Zmarzył po drodze.

– A mała czarownica?

– Została na Czarnej Górze. Co to za nieporozumienie?

Rosa uśmiechnęła się.

– Opowiem ci jutro. Jestem zmęczona. Ty też powinieneś się położyć.

Pokiwał głową.

– Może wezmę kąpiel u ciebie, a potem...

Nie odpowiedziała, a on nie skończył. Westchnął smutno. Przez dłuższą chwilę, w ciszy przerywanej strzelaniem ognia pod kominkiem, przypatrywał się wojownicze.

A potem, równie cicho jak poprzednio wszedł, wyszedł z pokoju.

\*\*\*

Sodi rzeczywiście przemarzył w drodze. Do tego stopnia, że nijak nie potrafił sam się rozgrzać. Wciąż było mu zimno, mimo okrywającej go grubej pierzyny i ognia trzaskającego pod kominkiem. Krasnolud przewracał się z boku na bok, mamrocząc co jakiś czas pod nosem wyjątkowo wysublimowane przekleństwa. Niestety, ani sen, ani błogie ciepło jakoś nie chciały otulić zmarzniętego brodacza. Wściekły wylazł wreszcie spod piernatów, żeby poszukać jakiejś innej – niż ogień czy pierze – rozgrzewki.

Owinięty w koce wyruszył po schodach karczmy w dół, do izby biesiadnej. Pozwolił wyobraźni pogrążyć się w marzeniach o śliczniutkiej karczmarczce, którą tulił ledwie kilka dni wcześniej, ale i te marzenia nie rozgrzewały wystarczająco. Ostatecznie wyobraźnia wyobraźnią, ale realny mróz najlepiej wygnać z członków realnym gorącym. Jak dobrze pójdzie, może jaka chętna się znajdzie. Ostatecznie mieszek wciąż miał zasobny, a przy takiej urodzie tutejsze służki wybredne być nie powinny. A jeśli będą... No trudno, zawsze ciepłe ciało może zastąpić dzban przedniego miodu.

Tak dumając, schodził po schodach, gdy naraz uśpiony od kilku dni Tropiciel warknął pod krasnoludzką skórą. Sodi zatrzymał się gwałtownie, chwytając poręcz. Tak, zdecydowanie Tropiciel wyczuł magię. Nie jakieś silne źródło, bo nie szarpał i nie próbował wyrwać się na wolność. Raczej echo potężnych czarów, słabe liźnięcie mocy. Krasnolud postąpił jeszcze krok, a później drugi, pozwalając stworowi powarkić lekko. Kiedy pozostało mu kilkanaście stopni do upragnionej biesiadnej, usłyszał dziewczęce szepty. Kolejny stopień i potrafił rozróżnić poszczególne słowa.

– Naprawdę? Tak powiedziała?

– Nie całkiem... Wiesz, stałam daleko, ale tak powiedział świątobliwy. Ciągłe powtarzał, że Zakonna przyznała mu rację i że to boska kara. Jadaczka mu się nie zamykała. Gadał i gadał...

– Dziwne, bo namiestnik odwrotnie... Sama słyszałam, jak wyklinał na kowalównę. I że nawet Zakon wie, że to wina rozpuszczonych gówniarzy...

– No... dziwne. Jedz, ciotka uchowała kawałek pieczystego przed tymi dwoma wielkoludami, co z Zakonną jeżdżą. Dobrze, nie?

– No, dobre. A masz jeszcze polewkę?

Zaabsorbowane posiłkiem dziewczęta, schowane pod schodami, nie zauważyły schodzącego krasnoluda. Sodi zaś wyraźnie czuł ich obecność. Którąś z nich czuć było echem mocy i gdy tylko Yudherthardere się do nich zbliżył, Tropiciel szarpnął krasnoludzkim umysłem. Przez krótką chwilę brodacz dumiał nad dziwnym zjawiskiem. Zaraz jednak dojrzał wymarzony dzban miodu, stojący na ławie w biesiadnej izbie. Każda rzecz ma swoją wagę, a miód zdecydowanie wygrywał z tajemniczym źródłem magii.

\*\*\*

Wyrwany ze snu Yudherthardere szedł za przyjacielem, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Najpierw telepiecie moją rzycią przez śniegi i mrozy – mamrotał – a potem spać nie dajecie. Kto to, kurwa, widział, żeby biedniuteńkiego krasnoluda z samego rańca spod pierzyny wrywać? Wiecie, jaką ciężką noc miałem, ha? Żadnej chętnej panny, a miodziku ino pół dzbana. A gdzie tam pół... Kilka ino łyčzków. Nie było ani kim, ani czym się ogrzać. I ledwie się wreszcie do snu utulił, ledwie mnie we śnie jedna śliczna panienska słodkości zapodawać poczęła, a tu mnie do sypialni gość się pcha. I to nie jaka cyczna ślicznotka, żeby na jawie sny moje spełniać, a jeden starożytny czarodziej. Na co ja wam, ha? Na co? Przecie macie swoją Zakonną. Tak jakeście chcieli, nie? Se we dwójkę poradzicie. A jak nie, to jeszcze macie te dwie owłosione góry mięsa, co za panną łążą. To po co wam jeszcze ja?

– Zupełnie na nic – spokojnie odpowiedział Yasa.

Sodi zatrzymał się w pół kroku.

– No, to kurwa, niczego nie rozumiem! Po coście mnie wyciągnęli z łóżka?

– Bo ja tego robić nie chciałam. – Rosa nawet się nie uśmiechnęła, wychodząc naprzeciw przyjaciołom. – Potrzebuję Tropicieła w ratuszu.

– Ale po co? – zdumiał się krasnolud.

– Ktokolwiek wyrznął weselników – odpowiedziała kobieta – użył do tego czarów, a wy wyczujecie nawet wspomnienie mocy.

Z tym Sodi dyskutować nie zamierzał. Pokiwał smętnie głową, z niejakim żalem zerkając na Pierwotnego.

Drogę do siedziby namiestnika przebyli w milczeniu. Nawet gadatliwy krasnolud mamrotał jedynie pod nosem, głównie komentując zaślepienie przyjaciela, wpatzonego wygłodniałym wzrokiem w Zakonną. Oczywiście komentarze były bardzo ciche. Tak ciche, że powinien je słyszeć tylko mówiący, acz – co pewne – usłyszał również czarodziej. Świadczyło o tym jedno szybkie i bardzo zimne spojrzenie.

Tym razem Yorhowie nie zostali pod bramą ratusza. Weszli za Zakonną i Yasą, w pełnym rynsztunku, potężni i włochaci, żywa demonstracja siły największej

z wojowniczek Krainy. Żaden ze stojących przy bramie gwardzistów nie odważył się stanąć na drodze idących czy też prosić, by oddali broń.

Erunde czekał w gabinecie. Nerwowo zaciskał pięści i przygryzał usta. Wstał, gdy tylko drgnęły drzwi.

– Witajcie pono... – przerwał, widząc towarzyszy Rosy. Zwłaszcza Yorhowie zrobili na nim wrażenie. Niewielu znał ludzi przewyższających go rozmiarami, ale z przybocznymi Zakonnej nie mógł się równać. – Zabraliście swoich zbrojnych, pani?

– Wczoraj przed świątynią – Rosa uśmiechnęła się chłodno, nie odpowiadając na oczywiste pytanie – to byli wasi gwardziści?

– Co? Gdzie?

– Wczoraj, kiedy wyszłam ze świątyni, zaatakowało mnie sześciu mężczyzn. – Usiadła przed namiestnikiem, pozornie spokojna i nadal uśmiechnięta. – Wyszkolonych i dobrze uzbrojonych żołnierzy.

Erunde cofnął się gwałtownie, wywracając ławę.

– Atak? Na Zakon? W moim mieście? – wyszeptał zszokowany. – Niemożliwe! – Zamilkł, wpatrując się w gości, by po chwili krzyknąć: – Werdun!!! Wer...!!!

– On raczej nie przybiegnie – przerwała mu Rosa.

Namiestnik zamrugał, gdy dotarło do niego, co oznaczają słowa kobiety.

– Ale... Werdun nie mógłby – szeptał, kręcąc głową. – Wychowaliśmy się razem. Nie mógłby... I rycerz z niego żaden. Nie potrafi... nie potrafił nawet miecza utrzymać.

– Nie walczyłam z waszym człowiekiem – wyjaśniła spokojnie wojowniczka. – Zabili go ci, którzy napadli na mnie.

– Biedny, głupi Werdun – westchnął Erunde. – Dobry był z niego chłop. Tylko strasznie... prosty.

– Skoro nie wy, to kto wysłał ludzi przeciw Zakonnej? – wtrącił się Yasa.

Namiestnik wzruszył ramionami i usiadł.

– Żebym to ja, kurwa, wiedział... Wybaczcie, pani, ale jużem całkiem ogłupiał. To moje miasto. Rządzą nim... a będzie już chyba piętnasty rok. Nic się tu nie działo. Znaczą nic dziwnego. Jasne, że bywały bójki, kradzieże, a w zeszłą wiosnę mały Tord pociął nożem teściową. No ale to teściowa, nie? – Uśmiechnął się krzywo. – A teraz wy przyjeżdżacie. Zakon. I mówicie, że to nie kowalówna tamtą rzeź... Taaa, świątobliwy już tu był, wczoraj, po waszej u niego wizycie. Ponoć kazaliście ludzi do kościoła gnać i ofiary przebłagalne składać. Może i tak trzeba? Skoro kowalówna prawdę mówi, to z lasu wyszły potwory. Może rzeczywiście bogowie chcą nas ukarać?

Zakonna nie odpowiedziała. Weszła w umysł namiestnika, napotykać tam Yasę. Wymienili spojrzenia i myśli, błyskawicznie oceniając Erundego. Nim opuścili

podświadomość gospodarza, zerknęli jeszcze na niezwykle cichego krasnoluda. Sodi pokręcił głową w milczeniu. Mag wycofał się pierwszy. Rosa po chwili poszła w jego ślady.

– Wiecie – zapytała cicho, ruszając ku drzwiom – że zabici weselnicy szli złożyć bogom ofiary?

Zaskoczony namiestnik pokręcił głową. Zarządzał miastem od wielu lat nie tylko dlatego, że robił to jego ojciec, dziad i pradziad. Nie dlatego też, że był wielkim wojownikiem i nie było w okolicy nikogo, kto by go pokonał. Zarządzał miastem głównie dlatego, że był jednym z inteligentniejszych mieszkańców. Zrozumiał, co oznaczały słowa Zakonnej, nim jeszcze goście zamknęli za sobą drzwi.

– Yudherthardere – Rosa zatrzymała krasnoluda przed ratuszem – nie wyczuliście żadnej magii?

– Jeno wspomnienie – wzruszył ramionami Sodi. – Ktoś tam się może telepał i smród został, ale ino słabiuski. Jak woń cichodajki na kliencie zamtuza, kiedy dzionek od jego wizyty w przybytku minie.

– Erunde mówił prawdę – zauważył Yasa. – To nie jego ludzie.

– Wiem. – Zakonna zacisnęła usta. Westchnęła, a potem zwróciła się do krasnoluda: – Pójdziecie z Olim – wskazała jednego z Yorhów – do świątyni. Rozejrzycie się tam. Z dziewczyną porozmawiacie.

– Do świątyni? Ogłupieliście? Tam tyle magii być może, że mi się Tropiciel obsra jak nic.

– O to się nie bójcie. Od lat nikt tam modłów nie praktykuje. Wypytajcie kowalównę. Może czegoś więcej się dowiecie.

– Niż wy? – zdumiał się Sodi. – Mam się, kurwa, do babskiej solidarności odwołać czy jak? Znaczy wiem, żeś słodycz sama i delikates jak się patrzy, ale jakoś się mnie nie wydaje, żeby dziewczuszka chętniej się zwierzała przystojnemu krasnoludowi niż kobitce.

– Wolicie iść z nami do lasu? – miękko zapytała Rosa.

Yudherthardere cofnął się o krok.

– Wiecie co, to ja może pójde z kowalówną pogadać. – Pokiwał szybko głową i, machnąwszy na Yorha, bez ociągania ruszył w kierunku świątynnej wieży.

Bramy przybytku były otwarte. Krasnolud stanął przed nimi, uniósł głowę, przyjrzał się niechętnie pięknym witrażom na wyższych poziomach budynku, bez podziwu obejrzał rzeźbienia, a potem niechętnie szarpnął warkocz brody. Nienawidził kościołów wszelakiej maści. Jakoś źle mu się kojarzyły. Głównie dlatego, że uwalniana w nich poprzez modlitwy i wszelkiego rodzaju nabożeństwa moc drażniła Tropicielea. Ten zaś kąsał nosiciela i rwał się na wolność.

No, ale jak mus, to mus. Westchnął ciężko i przestąpił próg świątyni.

Tropiciel szarpnął. Zawył i zaczął drapać jak szalony. Sodi padł na kolana, krzycząc. Idący za nim Yorh sięgnął, by pomóc krasnoludowi, ale ten wyciągnął rękę i powstrzymał woja. Za późno. Stwór zerwał więzy. Srebrzysta poświata szarpnęła leżącym brodaczem. Uniosła go, a potem ponownie pchnęła na marmurową podłogę. Uwolniony cień pomknął, wzywany tropem magii. Szybki, ledwie widzialny, sunął tuż nad podłogą jak ogar łapiący trop. Warcząc, zmieniał kształty. To cichł, to wydawał dźwięki. Naraz uniósł się ponad ziemię. Zadrżał. I rozpętał się na setki srebrzystych wstęg. Każda z nich skoczyła w innym kierunku. Połączone i rozdzielone jednocześnie. Tańczyły między ścianami, unosiły się ku powale i opadały do zimnych kamieni podłogi. Aż do chwili, gdy Tropiciel znalazł źródło mocy i zawył zwyczajnie. Wstęgi błyskawicznie wróciły, ponownie tworząc cień. Ten zaś w jednej chwili wrócił do leżącego Sodiego.

– Nie ma, kurwa, magii, co? – Krasnolud pociągnął nosem. Otarł go rękawem i skrzywił się, widząc krwawy ślad na skórze kurtki. Zamiast jednak płakać nad sobą, podniósł się szybko, wyciągnął zza paska toporek i polecił Yorhowi: – Szykuj się, chłopie.

Biegł nie patrząc, czy przyboczny Zakonnej idzie w jego ślady. Bezbłędnie odnalazł miejsce wskazane przez Tropiciela. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, zza których dobiegał jednostajny śpiew w dziwnym, nieznanym Sodiemu języku. Krasnolud odetchnął. W myślach wymamrotał zaklęcie, którego nauczył go dziadunio, a służyć miało ochronie przed nieznanym. A potem pchnął bramę.

Śpiew urwał się nagle. Kapłan odwrócił się, zaskoczony, z wciąż uniesionymi do modlitwy, zakrwawionymi dłońmi. W kompletnej ciszy wpatrywał się w gości, nie próbując nawet zasłonić straszliwego przedstawienia.

Nieprzytomna, naga dziewczyna leżała na niewysokim ołtarzu, w środku okręgu wyrysowanego jej krwią. Z rozciętych żył na rozkrzyżowanych rękach, tak jak i z innych ran, które pokrywały całe ciało kowalówny, wciąż płynęły szkarłatne strużki. Krew zbierała się w złobieniach ołtarza, by spłynąć – łącząc się po drodze – do złotego naczynia, stojącego u stóp kapłana.

Sodi zrobił krok. Zakrwawiony mężczyzna naraz jakby się obudził.

– Nie! – wrzasnął. – Nie wolno!

Sięgnął po długi nóż, leżący na ołtarzu. Krasnolud skoczył. Gospodarz był szybszy. Z ostrzem w dłoni rzucił się na gości. Yudherthardere zrobił unik i machnął toporkiem. Nie trafił. Chudzielec wyjątkowo sprawnie odskoczył... I nadział się na odsłonięty miecz Yorha. Przez chwilę dygotał bez słowa, bez jednego choćby jęku, a powietrze ze świstem uciekało przez rozwarte do krzyku usta.



Nagle ostatkiem sił, sięgnął do paska i nim któryś z napastników zdołał zareagować, wrzucił coś do naczynia z krwią.

– Idą bogowie. Idą... – wyszeptał i skonał.

Tropiciel warknął. Z krwawej misy wystrzelił ogień. Płomieniom towarzyszyło gwałtowne uderzenie wiatru, intensywny zapach piżma i grzmot.

A potem cisza.

– Kurwa – szepnął Sodi – Yasa!

\*\*\*

Likal siedziała na pieńku złamanego drzewa i przyglądała się młodym elfom, ćwiczącym na zaśnieżonej łące. Równe, idealne cięcia, uskoki, parowania i ataki, niemal bezbłędne, jak magiczny taniec ciał i stali. Zapominała o chłdzie i siedziała tak godzinami, bo symetria układów i bezdźwięczny taniec czarnoelfich adeptów uspakajał ją, przynosił ulgę.

Krzyki nie ustały, wciąż je słyszała, obecne tylko dla niej i dla Agrah Erra. O tak, wiedziała, że elfi władca też doświadcza tamtego bólu. Cierpienia konającego miasta. Ukochany Rosy towarzyszył młodej czarownicy od kilku dni. Trzymał się wystarczająco blisko, by czuć jego obecność. Bliski i daleki.

Odetchnęła głęboko. Kilkuletnia elfka, przemierzająca łąkę z łukiem prawie tak dużym jak ona sama, pomachała ręką do zamyślonej dziewczyny. Kiedy Likal również uniosła dłoń, mała podskoczyła radośnie i podbiegła do siedzącej.

– Chodź. – Złapała rękaw podopiecznej Pierwotnego i pociągnęła delikatnie. – Sprawdźmy się!

– Nie umiem strzelać.

– Naprawdę? – Dziewczynka zamrugnęła zaskoczona. Zaraz jednak uświadomiła sobie ogrom możliwości i aż klasnęła w ręce. – Nauczę cię! Jeszcze nikogo nie uczyłam. No! Chodź, chodź! Proszę...

Błagalny błysk w dziecięcych oczach sprawił, że Likal acz z ociąganiem – podniosła się z pieńka. Uśmiechnęła się odruchowo i ruszyła za elfką.

Ból przyszedł nagle. Przeciął lodowatym ostrzem. Spalił gorącym płomieniem.

– Yasa – szepnęła Likal.

\*\*\*

Słońce wciąż stało wysoko i do zmierzchu brakowało sporo czasu, mimo to ledwie Rosa z towarzyszami weszli w las, ogarnęła ich ciemność. Ścieżką, którą Zakonna widziała we wspomnieniach kowalówny, mogły iść obok siebie najwyżej dwie osoby. Drózkę z obu stron ograniczały wysokie, zdumiewająco blisko siebie rosnące drzewa

o grubych konarach i rozłożystych, splecionych ze sobą koronach. Absolutna cisza, bo nie słyszeli nawet skrzypiącego pod stopami śniegu, i mrok w środku dnia zaniepokoiły Yasę. Rozglądał się nerwowo, idąc obok wojowniczk.

– Jesteś pewna, że to dobra droga? – zapytał głównie po to, żeby usłyszeć jakikolwiek dźwięk.

Kobieta uniosła brew i uśmiechnęła się kpiąco. Zaraz jednak spoważniała.

– Też to czujesz, prawda?

– Dlatego wysłałaś Sodiego do świątyni?

Skinęła głową.

– Za dużo tu magii. Nie utrzymałby Tropicielea.

– Roso... – zawahał się – dlaczego Agrah Err chciał, żebym tu był?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Err ma własne plany.

– Czy ty...?

Zatrzymała się.

– Nie, Yaso. Ja...

Nie skończyła, bo naraz, tuż przed nimi, w mroku zamajaczyło światło. Słabiutki, drżące, jakby ktoś trzymał małe kaganek. Chybało się przez moment. I naraz zgasło. W tej samej chwili potężny huk przerwał ciszę. Grzmot pękających skał przetoczył się przez okolicę.

Ścieżka tuż przed Rosą rozwarła się jak wielka morda dzikiego zwierza. Z czarnej dziury wyskoczyła postać. Stwór wyprostował się powoli. Olbrzymi, sięgał prawie koron otaczających ich drzew. W mroku dojrzeli płonące ślepie. Jarzyły się bielą i złotem.

Yasa bardziej wyczuł, niż zobaczył, że olbrzym bierze zamach. Pierwotny skoczył przed Zakonną. Nie zdążył użyć magii. Uderzenie zważyło go z nóg. Rosa nie czekała. Zasłoniła leżącego, wykrzykując jednocześnie zaklęcie. W wyciągniętej dłoni kobiety w jednej chwili pojawiła się ogromna, niewidzialna tarcza, osłaniająca całą trójkę.

– Yaso! – krzyknęła wojowniczka.

Odpowiedziało jej milczenie. Z portalu wyszedł kolejny olbrzym. Pierwszy znów się zamachnął. Cios wstrząsnął ciałem Rosy, ale nie zniszczył magicznej osłony.

– Yaso!!!

– Jestem.

– Co z tobą?

Mag jęknął cicho. Podciągnął się, ale zdołał jedynie usiąść. Dotknął brzucha i ze zdumieniem poczuł ciepłą wilgoć.

– Yaso?

– Nie goi się – szepnął Pierwotny.

Kolejne uderzenie zatrzęsło tarczą. Yorh podbiegł do Rosy, położył dłoń na jej ramieniu, wzmacniając czar Zakonnej. Kobieta spojrzała za siebie. W ciemności widziała ledwie zarys sylwetki leżącego maga.

– Jak to się nie goi?

– Nie wiem.

– Cholera, Yaso, potrzebuję twojej mocy. Tarcza słabnie. Jeśli przejdą, wyrzną całe miasto.

Właściwie nawet nie boli – pomyślał czarodziej. – Tylko ta słabość. Dziwne.

Kolejny cios pchnął Rosę na kolana. Słyszała myśli przyjaciela. Wiedziała, co oznaczają.

– Yaso...

– Weź, Roso.

– To cię zabije.

– Nieważ...

– Yaso!

Ośłona słabła. Cztery biało-złote plamy połyskiwały złowieszczo w mroku. Zakonna zacisnęła zęby i wyciągnęła dłoń, by dotknąć leżącego. Nie miała wyjścia, musiała ratować miasto.

Nie sięgnęła. Potężne światło rozjaśniło mrok tuż obok Yasy. Most. Likal wyskoczyła z jasności, a portal zgasł. Dziewczyna błyskawicznie kucnęła przy opiekunie. Dotknęła jego dłoni, poczuła ciepłą wilgoć krwi. Odetchnęła głęboko. Gniew tańczył pod skórą. Nie. Nie pozwoli. Nie tym razem.

– Likal, tarcza! – krzyknęła Rosa.

Młoda czarownica przyskoczyła do Zakonnej. Splotła z nią dłonie, wzmacniając zaklęcie. Olbrzym napał kolejny raz, ale połączone moce utrzymały osłonę. Kobiety wymieniły myśli.

– Teraz! – krzyknęła młodsza.

Rosa uniosła tarczę. Likal uderzyła zaklęciem. Pchnięty potężną magią olbrzym wpadł na stojącego za nim. I na jego ostrze. Zakonna ponownie opuściła osłonę. Ryk rannego stwora wstrząsał lasem.

– Już!

Ponowiły atak. Wrzask zamilkł. Niestety, paszcza znów się rozwarła, a w niej zamajaczyła kolejna wielka postać. Nowe uderzenie w osłonę szarpnęło kobietami. Znów wymieniły myśli. Tym razem bardziej rozpaczliwe.

– Wy tam!!! – Krasnolud pędził ile sił w nogach, machając ręką, a za nim biegł drugi z Yorhów. – Mam! Mam! – Dotarł do przyjaciół i zamarł, widząc nieprzytomnego

Yasę. – Co z nim?

– Żyje. Jeszcze – odpowiedziała Likal. – Co macie?

– A ty tu skąd?

– Yudherthardere – ostrzegawczo zaczęła Rosa – co macie?

– Źródło – wyszeptał. Otworzył dłoń.

– Co to? Kamienie?

– Nie – zirytował się Sodi. – Fasole. Kapłan wrzucił je do krwi ofiary, żeby otworzyć portal. Trzeba to znów unurzać we krwi, a potem wrzucić w portal, żeby odesłać olbrzymy. Babka mi opowiadała. To magia z innego świata.

Likal nie słuchała dłużej. Wyrwała nasiona z dłoni krasnoluda i przesunęła je między zakrwawionymi palcami. Zrozumiały się z Rosą bez słów. Ponownie splotły dłonie. Obaj Yorhowie położyli ręce na ramionach kobiet. Krok w kierunku olbrzymów. I jeszcze jeden. I jeszcze. Stwór uderzył w osłonę. Raz i drugi. Tarcza zadrzała. Kobiety spojrzały na siebie.

Rosa uniosła osłonę.

Likal rzuciła fasolki.

Najpierw nic się nie działo. Nagle huk wstrząsnął lasem. Z rozwartej paszczy wydobył się płomień. Olbrzymy zawyły rozpaczliwie. I rzuciły się w ogień.

– Panie Yaso! – Likal przyklękła przy opiekunie i delikatnie chwyciła go za rękę. – Panie Yaso!

Magiczny mrok opadł. Rosa odetchnęła i również pochyliła się nad Pierwotnym.

– Yaso – położyła dłoń na policzku nieprzytomnego i wyszeptała mu do ucha – nie waż się. Należysz do mnie, a ja nie pozwalam.

Rzęsy rannego zadrzały i uniosły się powoli.

\*\*\*

– Zawsze mówiłem, że nie ma nic gorszego niż nadgorliwy wierzący. Kiedyś jeden taki, już nie pomnę jak mu tam było, wygonił cichodajki z całego miasta. Wyobrażacie sobie?! Z całego miasta! – rozżalił się krasnolud.

– Miana grodu też pewnie nie pomnicie, bo po takiej stracie pewnieście już więcej tam nie zajrzeli, co? – zagruchała słodko Likal.

– Dyc, że nie pomnę. – Sodi uśmiechnął się szeroko. – Jakoś się nie złożyło, żeby do tego bogobojnego siedliska trza było wracać. Jedno zapamiętałem na całe życie: nie ma nic gorszego niż nadgorliwy księżulo. O! Patrz panna, taki na ten przykład świątobliwy. Ogłupiał z tej swojej wiary. Wyrznął weselników, wojów do zdrady namówił, a i śliczną młodkę całkiem z posoki wypłukał. Pewnie i miasta by nie

oszczędził, byle ino ludziska znów pokłon jego bożkom oddawali. Popieprzyło chłopą dokumentnie. Nie, panie Yasa?

Nieobecne spojrzenie Pierwotnego przeniosło się na moment na dyskutującą dwójkę. Mag skinął odruchowo głową i ponownie zapatrzył się przez okno, na znikającą sylwetkę Zakonnej.

– Dziwny jest ten świat, panna, oj, dziwny. Taki na ten przykład elfi król... No dyć wybryk natury, nie? Przyszłość widzi, więc i czasami cokolwiek pomóc może, nie? Wie, gdzie i kiedy kogoś wysłać, żeby ten se poukładać wszystko mógł. Bo i czasami można jednym ocaleniem inszą kaźń nieco złagodzić, nie?

Likal uśmiechnęła się miękko i pokiwała głową.

– Panie Yaso – podeszła do opiekuna – jeszcze żeście nie wydobrżeli. Wracajcie do łóżka.

– Ano, panie Yaso, słuchajcie gówniary – potaknął krasnolud. – Czasem i ona co mądrego powie.

Mag westchnął i z ociąganiem usiadł na pościeli.

– To gdzie teraz pojedziem? – zainteresował się Sodi. Bo chyba nie wracamy do elfów, nie?

Yasa oparł głowę o zagłówek łóżka, przymknął oczy i odpowiedział:

– Nie, przyjacielu. Nie wracamy. Wybierzemy się do naszej starej przyjaciółki. Do Itru.

## ***Podziękowania***

Bardzo wiele osób przyczyniło się do powstania historii Sodiego. Najbardziej jednak pragnę podziękować Michałowi Rybińskiemu, Oli Buczek-Stachowskiej, Sylwii Finklińskiej, Gosi Banasiewicz, Kubie Sasowi i oczywiście mojej Rodzince.

Bez nich zapewne też dałabym radę, ale byłoby i trudniej i mniej zabawnie.

Tropiciel  
Copyright © Małgorzata Lisińska  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Robert Rajszczyk

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-125-3

epub ISBN 978-83-7995-126-0

mobi ISBN 978-83-7995-127-7

Redakcja: Marcin Jamiołkowski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczyk

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)  
[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)